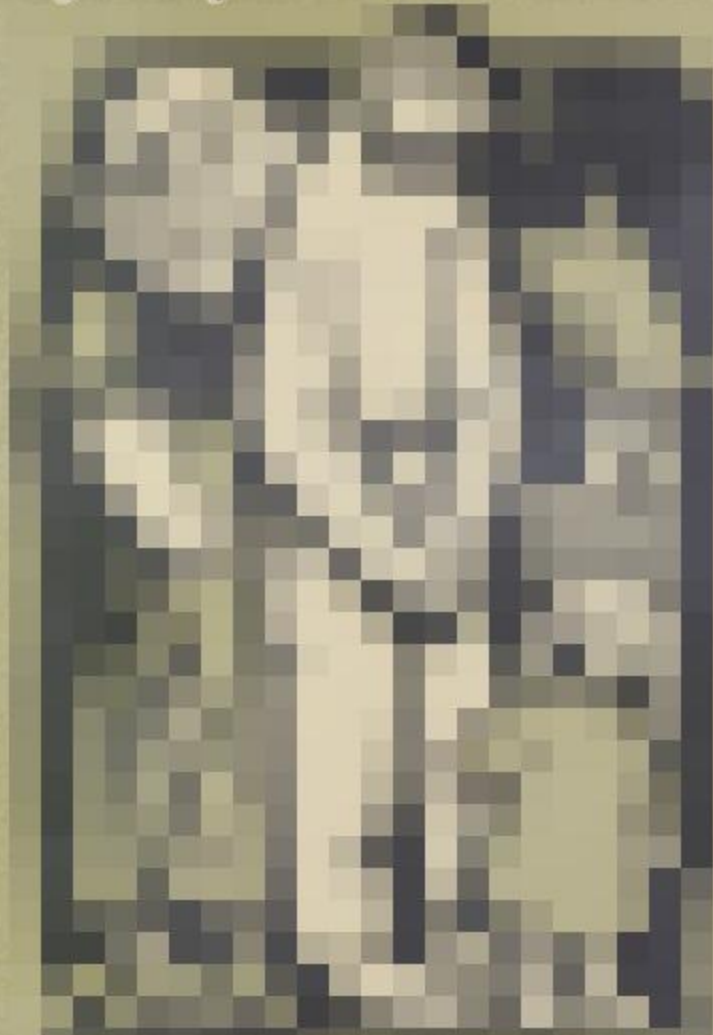
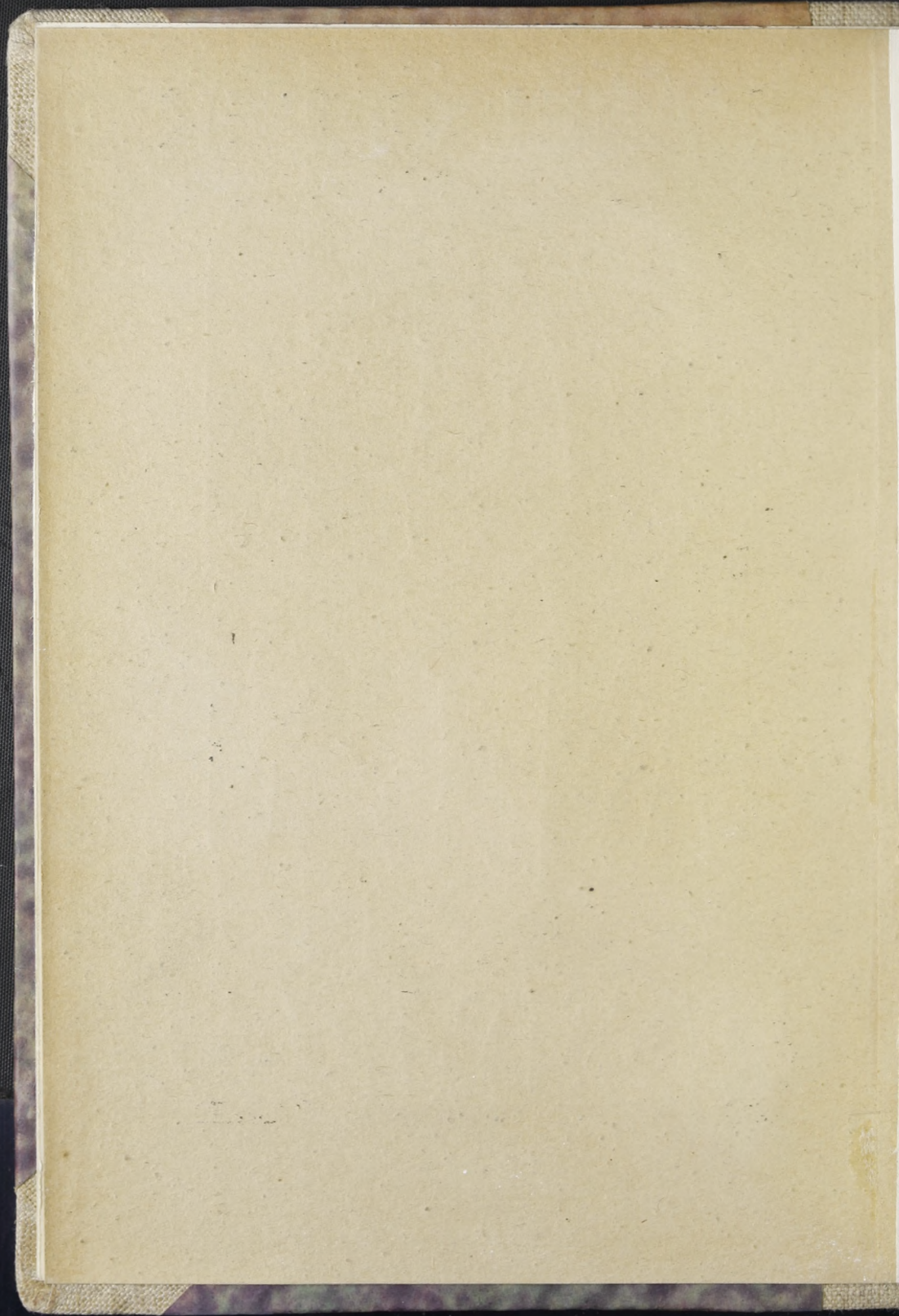


KAREL ČAPEK

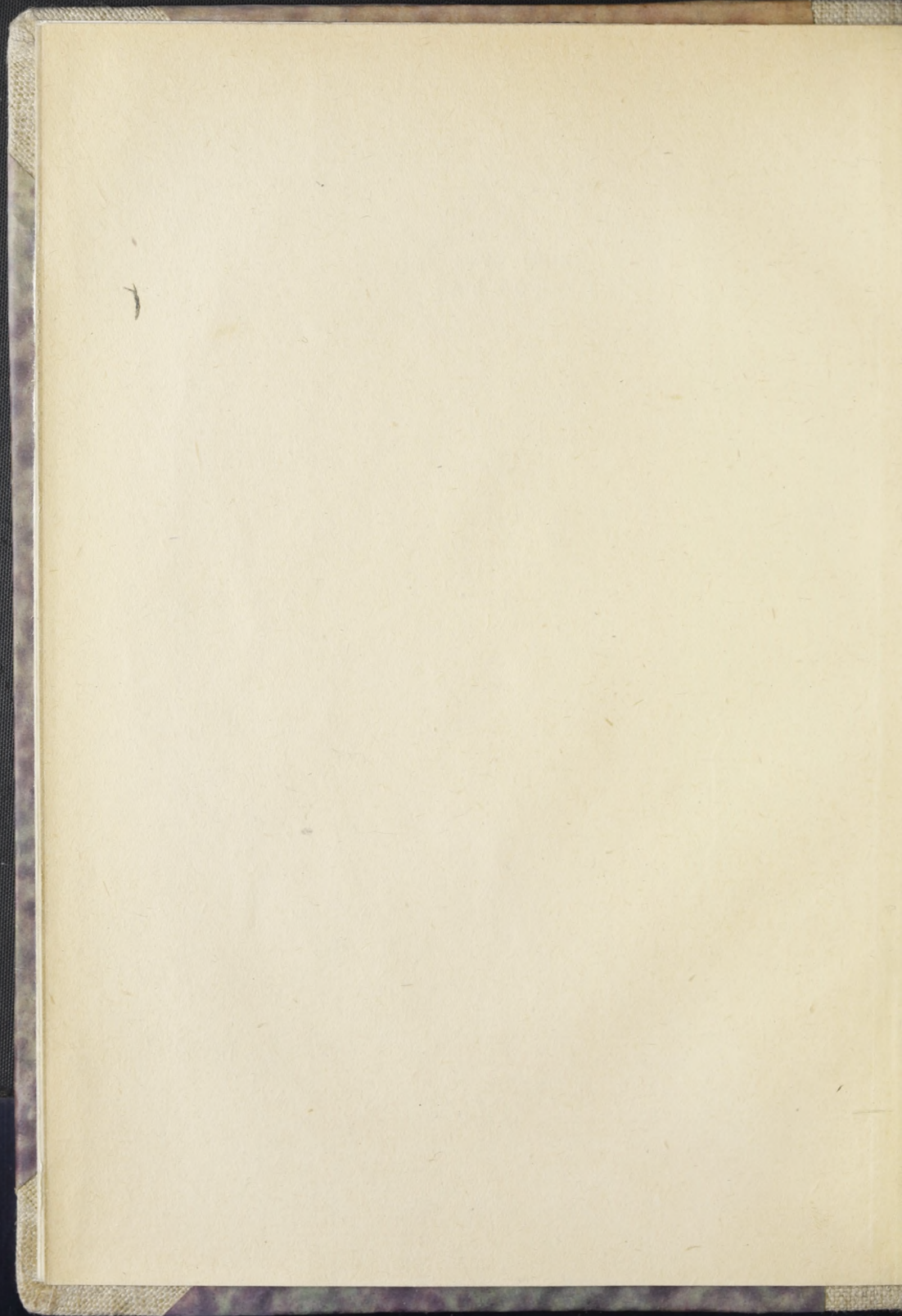


HORDUBAL

• WIEDZA •



KAROL ČAPEK
H O R D U B A L



KAROL ČAPEK

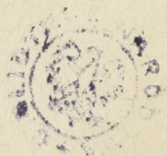
HORDUBAL

PRZEŁOŻYŁ Z CZESKIEGO
PAWEŁ HULKA-LASKOWSKI

»WIEDZA«
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
WARSZAWA 1948

007111 *

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁA
M. HISZPAŃSKA



II. 534.541

ALL RIGHTS RESERVED
SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA
„WIEDZA“ 1948 WARSZAWA
PRINTED IN POLAND

WZ. ARCHIWALNY

Nakład 7300 egz. Format A5. Ark. 9¹/₄. Papier dzieł. żeberk. kl. V, g. 80.
Podpisano do druku 9 VII 1948 r. — Zam. nr 2472/47. — F 20584.

Drukarnia nr 2 Spółdz. Wyd. „Wiedza“, Wrocław, ul. Wierzbowa 30.

1948 202852/2

UWAGA TŁUMACZA

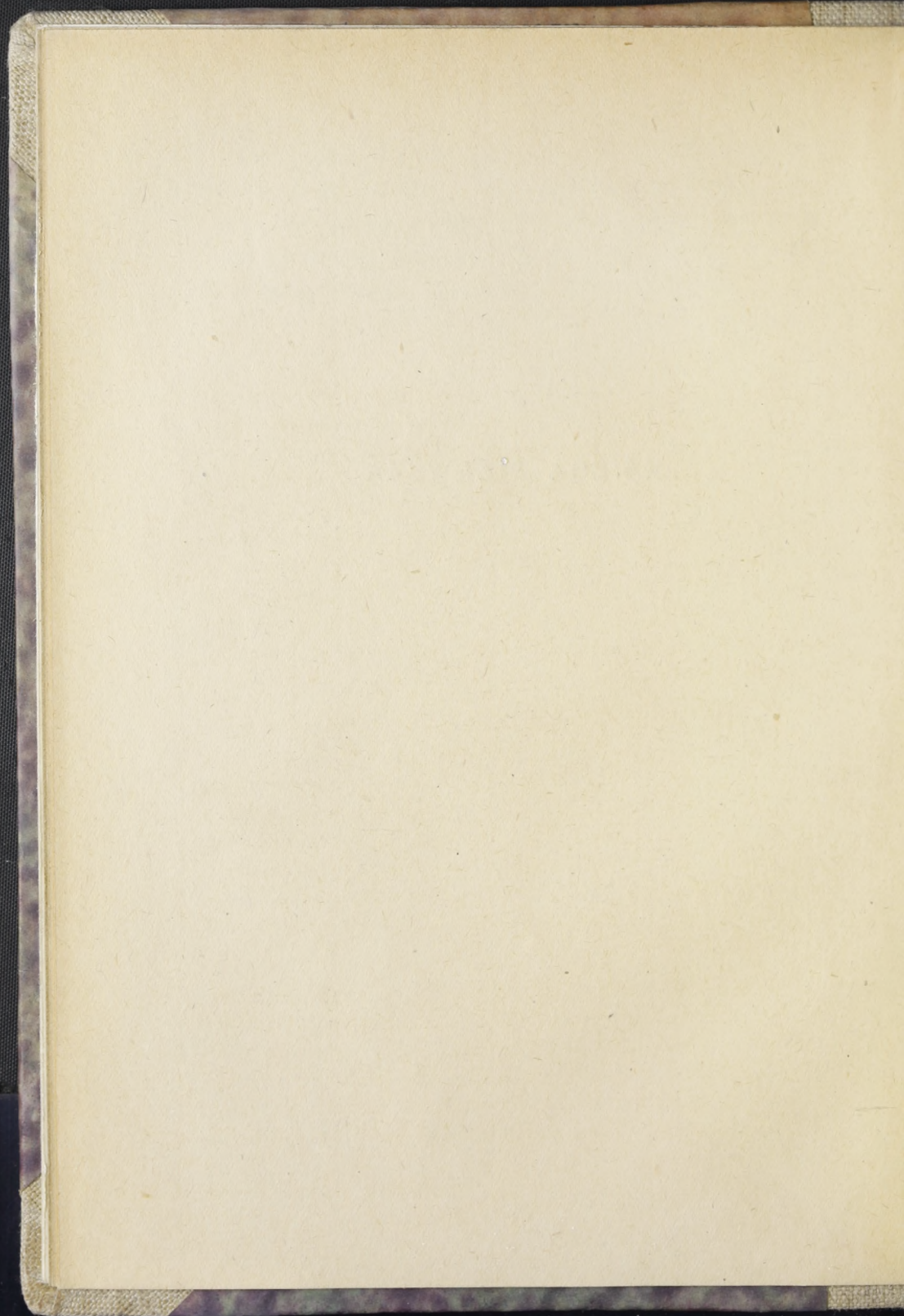
Jak wszyscy emigranci europejscy w Ameryce, tak i Hordubal mówi żargonem, obficie używając słów angielskich. Autor czeski dla zachowania kolorytu charakterystycznego odtwarza ten żargon. Ponieważ i nasi wychodźcy amerykańscy używają takiego żargonu polsko-amerykańskiego, zachowałem w tłumaczeniu amerykanizmy Hordubala. Dla osób nie znających języka angielskiego podaję szereg objaśnień.

Waiter — kelner; ice-cream — lody; boy — chłopiec; damn — klątwa bardzo ogólnikowa, jak np.: niemieckie „verflucht”; dziob (job) — zajęcie, robota, przydział; majner (miner) — górnik; seven — siedem; yessr (yes, sir), tak, panie; formen — przodownik w robocie; advance — zaliczka; okey — wszystko w porządku; lojer (lawyer) — prawnik, adwokat; you’ge a swine — świnia pan jest; pit — szyb kopalniany; trejn (train) — pociąg; leave — zwolnienie, np. z pracy; factory — fabryka; can’t write, sir — nie umiem pisać, panie; shut up, sir — daj pan spokój, przestań gadać; lower-deck — miejsce na okręcie pod pokładem; Teddy-bear — niedźwiadek z pluszu; handbag — torebka ręczna; flash-light — latarka kieszonkowa; advertisement — ogłoszenie; propeller — śruba okrętowa; business — interes, itd.

Kto rozmawiał z reemigrantami z Ameryki bezpośrednio po ich powrocie, ten w języku Hordubala bardzo łatwo pozna ów żargon polsko-amerykański, jakim rozmawiają wszyscy reemigranci, zanim po dłuższym pobycie w kraju przyswoją sobie na nowo poprawny język ojczysty.

P. H.-L.

KSIĘGA PIERWSZA



I

Niby ten drugi od okna, ten w wygniecionym ubraniu? Nikt nie powiedziałby o nim, że to Amerykanin. Nie gadajcie: Amerykanie nie jeżdżą przecie pociągami osobowymi, ale rozbijają się kurierami, a i tego im jeszcze mało, bo w Ameryce są pociągi nie takie jak u nas, mają daleko dłuższe wagony, a w nich taki biały waiter podaje wodę z lodem i ice-creamy, wiadomo. Hallo, boy, wrzeszczy taki Amerykanin, dawaj no tu piwa, rundę piwa, wszystkim w wagonie po szklance, niech to sobie kosztuje pięć dolarów, damn! Tak to, tak, moiściewy, w Ameryce, tam się dopiero żyje. Co tu dużo gadać!

Ten drugi od okna kiwa się drzemiąc z otwartymi usty, spocony i zmęczony, a głowa trzęsie mu się jak nieżywa. Ach, Boże, Boże miły, już przecie jednaście, trzynaście, czternaście, piętnaście dni! Piętnaście dni i nocy przesiedzieć na kufrze, spać na podłodze lub na ławie, lepić się od potu i drętwieć w ogłuszającym łaskocie maszyn! Dziś już piętnasty dzień. Gdybyż przynajmniej można było wyciągnąć nogi, podesłać sobie pod głowę siana i spać, spać, spać...

Tłusta Żydówka przy oknie z obrzydzeniem wtula się w kąt. Jeszcze toto usnie i zwali się na nią jak wór. Któż tam wie, co mu jest? Wygląda tak, jakby się w ubraniu tarzał po ziemi czy Bóg wie gdzie. Nie podobasz mi się, człowieku, zaraz przesiadłabym się gdzie indziej. Ach, Boże, żeby to już był koniec jazdy! Zaś ów drugi od okna

przechyla się raptownie naprzód i budzi się od nagłego szarpnięcia.

— Co za upał! — ostrożnie nawiązuje rozmowę starszek o twarzy sklepikarza. — Dokąd pan jedzie?

— Do Krywej — z wydechem odpowiada zapytany.

— Do Krywej — powtarza sklepikarz z miną życzliwego znawcy. — A z daleka? Z daleka?

Tamten nie odpowiada, ociera sobie brudną łapą zwilgłe czoło i jest mu aż mdło od osłabienia, a w głowie mu się kręci. Sklepikarz sapie obrażony i odwraca się ku oknu. Tamten nie odważa się wyrzeć oknem, spuszcza oczy ku zaplutej podłodze i czeka, że zapytają go jeszcze raz. Potem im powie. Z daleka. Aż z Ameryki, proszę państwa. Dajże pan spokój: z Ameryki?! I cóż, jedzie pan z tak daleka w odwiedziny? Nie, wracam do domu. Do Krywej. Mam tam żonę i córeczkę, Hafia jej na imię. Hafia. Trzy lata miała, kiedym odjechał. No, patrzajcież państwo, aż z Ameryki! A jak długo pan tam mieszkał? Osiem lat. Już osiem lat temu będzie. I przez cały ten czas miałem dziob w tym samym miejscu. Jako majner. W Johnstown. Miałem tam przyjaciela rodaka, Michał Bobok mu było. Michał Bobok z Talamaszu. Zabiło go, będzie chyba pięć lat temu. Od tego czasu nie miałem z kim porozmawiać, bo jakże, proszę państwa, dogadać się z nimi? Ba, ten Bobok nauczył się po tamtejszemu, ale gdy się ma żonę, to się myśli tylko o tym, żeby jej wszystko jak się należy opowiedzieć, a tego w obcej mowie nie można. Na imię jej Polana.

A jakże pan tam pracował, kiedy nie mógł się pan dogadać? No jak? Powiedzieli po prostu: Ellou, Hordubal, i pokazali mi mój dziob. Aż siedem dolarów dziennie pobierałem, proszę państwa. Seven. Ale w Ameryce jest drogo, moi państwo. Na samo życie dwóch dolarów za mało. Pięć dolarów tygodniowo za nocleg. I wtedy ten pan z przeciwka powiada: W takim razie, panie Hordu-

bal, musiał pan naciulać ładnego grosza. Juścić, naciulać by się dało. Ale ja posyłałem pieniądze do domu, żonie. Czy powiedziałem już, że na imię jej Polana? Co miesiąc, moi państwo, pięćdziesiąt, sześćdziesiąt albo i dziewięćdziesiąt dolarów. Ale mogłem jej posyłać, tylko dopóki żył Bobok, ponieważ Bobok umiał pisać. Zręczny był człowiek ten Bobok, ale zabiło go przed pięciu laty, belki spadły na niego. Potem już nie mogłem posyłać pieniędzy żonie, ale składałem je w banku. Naskładałem przeszło trzy tysiące dolarów, proszę państwa, ale mi je ukradziono. Ależ to niemożliwe, panie Hordubal! Co też pan mówi! Yessr, przeszło trzy tysiące dolarów! I nie zaskarżył pan ich do sądu? Jakże tu skarżyć do sądu, moi państwo? Nasz formen zaprowadził mnie do jakiegoś lojera, a ten poklepywał mnie po ramieniu, okey, okey, ale musisz wpłacić advans. Formen powiedział mu na to: you're a swine i sprowadził mnie po schodach na dół. Tak już jest w tej Ameryce, proszę państwa, co tu dużo gadać. Jezu, Jezu, panie Hordubal, trzy tysiące dolarów? Przecie to wielkie pieniądze! To cały majątek. Boże drogi, takie nieszczęście! Trzy tysiące dolarów, ile to będzie na nasze pieniądze?

Juraj Hordubal odczuwa wielkie zadowolenie. Dopieroż byście wytrzeszczali oczy, wy wszyscy tutaj, gdybym zaczął mówić, co i jak. Z całego trejnu zbiegaliby się ludzie, żeby popatrzeć na człowieka, któremu w Ameryce ukradziono trzy tysiące dolarów. Yessr, to właśnie ja. Juraj Hordubal podnosi oczy i rozgląda się po ludziach. Tłusta Żydówka wtula się w kącik, sklepikarz z miną obrażoną wygląda oknem i bezzębnymi ustami coś przeżuwa, kuma z koszem na kolanach spogląda na Hordubala, jakby się na coś w żaden sposób nie zgadzała.

Juraj Hordubal znowu zamyka się w sobie. Można i tak, bez łaski; pięć lat z nikim nie rozmawiałem i dałem sobie radę. No i teraz panie Hordubal, wraca pan z tej Ameryki bez grosza? Cóż znowu, miałem dobry dziob, ale pienię-

dzy już do banku nie zanosilem, you bet. Do kufierka i kwita, a kluczyk na szyję pod koszulę. Siedemset dolarów wiozę sobie do domu. Well, sir, byłbym tam jeszcze siedział, ale straciłem employment. Po ośmiu latach, proszę państwa. Loc out, sir. Za dużo już mieli węgla, czy co. Z naszego pitu sześciuset chłopą dostało leave, moi państwo. I wszędzie, wszędzie odprawiali ludzi. Nigdzie nie było roboty dla człeka. Dlatego jadę z powrotem. Do domu juścić. Do Krywej. Mam tam żonę i trochę gruntu. I Hafię. Trzy lata miała wtedy. Siedemset dolarów wiozę pod koszulą i zacnę znowu gazdować, albo też pójdę do jakiej factory. Albo na wyrąb lasu.

A cóż, panie Hordubal, za żoną i dzieckiem nie tęsknił pan? Ej, miły Boże, tęskniłem, ale ja im posyłałem pieniądze i myślałem, że to będzie na krowę, to na morgę pola, a to znowu Polanie na coś tam, już ona będzie wiedziała. Każdy dolar był na coś przeznaczony. A gdy składałem pieniądze w banku, to za te pieniądze mogłoby być całe stado krów. Yessr, i to mi skradli. A żona pisywała do pana? Nie pisywała. Nie umie pisać. Ale pan do niej pisywał? No, sir. Can't write, sir. Od czasu gdy zmarł Michał Bobok, nie posyłałem jej nic, tylko składałem pieniądze. Ale zatelegrafował pan do niej chyba, że pan przyjedzie? Co znowu, co znowu, na to szkoda pieniędzy. Przestraszyłyby się, gdyby przyszedł ktoś z telegramem, ale mnie się nie przestraszy. Haha, cóż znowu! No, może myśli, że pan nie żyje, panie Hordubal, skoro przez tyle lat nie dostała od pana żadnej wiadomości. — Nie żyje? Taki chłop jak ja i miałby nie żyć? Juraj Hordubal spogląda na swoje kościaste pięści. Taki chłop, co też pan gada! Polana jest mądra, Polana wie, że wróć. No tak, ale wszyscy jesteśmy śmiertelni. A cóż, gdyby Polana umarła? Shut up, sir. Miała dwadzieścia trzy lata, kiedym wyjeżdżał, i krzepka była, krzepka jak rzemień. Nie znacie mojej Polany. Przy tych pieniądzech, przy tych dolarach, com jej posyłał, miałyby nie żyć? No, thank you.

Nadąsany sklepikarz przy oknie ociera pot niebieską chustką. Może znowu powie: co za upał! Upał, proszę pana? Pan to nazywa upałem? Niechby pan posiedział w lowerdecku albo w głębi szybu, gdzie się kopie antracyt... Tam posyłają tylko niggerów, ale ja to wytrzymałem, yessr. Za siedem dolarów dziennie. Hallo, Hordubal! Hallo, you niggahs! Tak, panie, człowiek dużo wytrzyma. Koń już mniej. Tam w głębi nie mogli już trzymać koni do przesuwania wozów. Tam jest za gorąco, panie. Albo taki lowerdeck na okręcie... Człowiek dużo wytrzyma, tyle tylko, że nie zawsze się dogada. Czegoś od ciebie chcą, a ty nie wiesz, o co tam chodzi. Krzyczą, wściekają się, wzruszają ramionami. — Bardzo proszę, jak się mam w Hamburgu dopytać, którędy jedzie się do Krywej? Oni mogą krzyczeć, a mnie nie wolno. Ale do Ameryki jedzie się jakby nigdy nic. Jeden wprowadzi cię na statek, drugi już na ciebie czeka z tamtej strony, ale gdy jedziesz haj, haj, mój panie, nikt ci już nie pomoże. No, sir. Ciężka jest droga powrotna do domu.

Juraj Hordubal kiwa głową, później głowa kiwa się sama, trzęsie się ciężko, jakby nieżywa, i Juraj zasypia. Tłusta Żydówka koło okna zacisnęła usta z wyrazem oburzenia. Kuma z koszem na kolanach i obrażony sklepikarz spojrzeli po sobie wymownie. Tak, tak, tacy to dzisiaj ludzie. Jak bydło.

II

Co to za jeden, ten tam, co idzie po przeciwnym zboczcu doliny? Patrzajcie no, co za jaśnie pan w butach! Może monter czy ktoś taki niesie czarną walizkę i idzie pod górę. Gdyby to było trochę bliżej, przyłożyłbym ręce do ust i huknąłbym na niego: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Która też godzina, proszę pana? Druga po południu, pastuszk. Żebyś nie był tak daleko, krzyknąłbym na ciebie, czyje krowy pasiesz, a ty byś może pokazał co i jak, że ta łaciata, ta łyska, ta z gwiazdką, ta czerwonka



i ta jałówka, to krowy Polany Hordubalowej. Tak, tak, chłopcze, ładne krowy, miło popatrzeć. Tylko nie puszczaj ich w dół ku Czarnemu Potokowi, bo trawa tam jest kwaśna, a woda gorzka. No, patrzcież, pani Hordubalowej, a dawniej miewała tylko dwie krowy. A cóż, chłopcze, czy nie ma ona także paru wołów? Ach, mój Boże, i jakie woły, podolskie, z rogami jak rozwarte ramiona! Dwa woły, panie. A owce? I barany i owce, panie, ale pasą się one na Durnej Połoninie, na górze. Mądra jest Polana i bogata. A męża nie ma? Czemu machasz ręką? Czy nie ma Polana gospodarza? Ach, jaki głuptasek, nie pozna człowieka. Zasłania oczy dłonią i patrzy, patrzy jak pień.

Juraj Hordubal czuje bicie serca aż w gardle. Musi się zatrzymać i odetchnąć z głębi: aach, achaach! Tyle tego na raz, takie to wszystko niespodziewane, że człowiek zachłystuje się tym, jakby wpadł do wody. Od razu, od razu jest w domu. Jeszcze tylko parę kroków przez kamienisty zalew i ze wszystkich stron otoczy go to, co jest swoje i bliskie. Tak, ten zalew był tu zawsze, były tu także krzewy tarniny, a i wtedy już były opalone od ogni pastuszych. I znowu na piaskach kwitną dziewanny, droga gubi się w suchej trawie i w suchej macierzance, tu jest wielki kamień, obrośnięty zieleń, kwitnie goryczka, zieleni się jałowiec na skraju lasu, leży suchy krowieniec i widać opuszczony szałas. Już nie ma Ameryki i nie ma ośmiu lat; wszystko jest, jak było, błyszczący robak w główce ostu, śliska trawa, z dali słychać dzwonki krów, widać przełęcz nad Krywą, kępy ostrej trawy i droga do domu — —

— droga dla miękkich kroków górala, noszącego kierpce i nie znającego Ameryki, droga pachnąca krowami i lasem, ciepła jak piec do wypiekania chleba, droga wiodąca w dolinę, kamienista i wydeptana nogami stad, zbagniona strużkami źródeł zeskakujących po kamieniach, ach Boże, jaka cudowna ścieżka, bystra jak potok, miękka trawą, krusząca się żwirem, mlaszcząca w mokradle, schylająca się pod koronami lasu. No sir, to nie żuźlowy chodnik skrzy-

piący pod butem jak w Johnstown, nie nasyp, po którym tłumy ludzi drepcą śpiesząc ku majnie, ani żywego ducha dokoła, ani jedyne go, tylko droga wiodąca w dół, potok i dzwonienie stad, droga ku domowi, padanie ku domowi, dzwonki cieląt i koło potoku fioleto wy tojad —

Juraj Hordubal schodzi w dół długimi krokami. Cóż tam znaczy cała ta walizka i te osiem lat! Oto jest droga do domu i po tej drodze idzie człek, jakby go niosło, jak o zmierzchu powraca stado z pełnymi wymionami, z wielkimi dzwoneczkami krów i małymi dzwoneczkami cieląt. A może by tak usiąść tutaj i poczekać aż do zmierzchu, przybyć do wsi z dzwonieniem stad, o godzinie gdy baby wychodzą na zaproża, a chłopcy opierają się o płoty? Patrzcie, patrzcie, kto tu idzie? A ja — jak stado z pastwiska — prosto w otwarte wrota. Dobry wieczór, Polano. I ja także nie wracam z pustymi rękoma.

Albo nie: poczekać aż do nocy, gdy już przejdą wszystkie boże bydłatka i wszystko pozasypia. I zapukać w okno: Polano! Polano! Jezu Chryste, któż to puka? Ja, Polano, żebyś ty pierwsza mnie ujrzała. Chwałaż ci, Boże! A gdzie jest Hafia? Hafia śpi, czy mam ją zbudzić? Nie, niech sobie śpi. Bogu niech będzie chwała!

I Hordubal idzie żywiej. Miły Boże, dopieroż się ładnie idzie człowiekowi, gdy myśli jego tak się rozigrają! Nawet nie nadążysz za nimi, daremnie wyciągasz nogi. Własna głowa cię wyprzedza i jest już koło jarzębin, a sio, gęsi, a sio, i już jesteś w domu. Należałoby huknąć, czy zatrąbić: patrzcie wszyscy i uważajcie, kto tu idzie, jaki to Amerykanin, tratata! Dopieroż się gapiacie, boys, hallo! A teraz cicho, tu już jesteśmy w domu, Polana na podwórku międli len, ej zakraść się ku niej od tyłu i zakryć jej oczy! Juraj! Jakże ty mnie poznałaś, Polano? Nie daj Boże, żebym miała nie poznać twoich rąk!

Hordubal idzie doliną, walizki w ręku nie czuje, a w niej jest złożona cała ta jego Ameryka, niebieskie koszule, ubra-

nie manczestrowe i Teddy-bear dla Hafii. A to, Polano, dla ciebie materiał na suknię, jaki się nosi w Ameryce, handbag z łańcuszkiem, a to Hafio, jest flash light, naciśniesz ten guziczek i lampka świeci, a tu wiozę ci obrazki powycinane z gazet. Ej, dziewczynko, co ja ich miałem! Przez osiem lat zbierałem wszystko, co tylko znalazłem. Musiałem dużo rzucić, bo już mi się nie mieściły w sjutkejsie. Ale nie bój się, w walizce jest jeszcze dużo rzeczy.

A tutaj, chwała Bogu, droga prowadzi już przez potok. Nie ma tu żelaznej kładki, tylko kamienie wystają z wody i trzeba skakać z kamienia na kamień, i machać rękami. Ej, chłopcy, tam, spod korzeni olch, wyciągaliśmy raki; spodnie podwijaliśmy do kolan, a zmoczeni byliśmy aż po uszy. Czy też tu na skręcie jest jeszcze dawny krzyż? Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, jest, stoi pochylony nad drogą wozową, miękką od ciepłego piasku i pachnącą stadem, słomą i żytem. Powinien tu już być płot ogrodu Michalczuka. Jest! Zarośnięty bzem i leszczyną i przewalony, jak był. Chwałaż ci, Boże, więc już jesteśmy we wsi. Witajcież nam, Juraju Hordubalu, I Juraj Hordubal zatrzymuje się diabli wiedzą czemu, ta walizeczka staje się raptem taka ciężka! Trzeba otrzeć pot z czoła. Jezus Maria, czemuż nie umyłem się nad potokiem, czemu nie wyjąłem z walizki brzytwy i zwierciadelka, aby się ogolić! Wyglądam pewno jak Cygan i włóczęga, jak zbójnik. Zawrócić by chyba nad potok i umyć się, zanim pokażę się Polanie. Ale tego już zrobić nie można, Hordubalu, patrzaj, przyglądają ci się. Zza płotu Michalczuka, zza rowu pełnego łopuchu; stoi tam dziecko nieruchomo i patrzy wytrzeszczonymi oczami. Odezwiesz się do niego, Hordubalu? Powiesz mu: ej ty, Michalczuków będziesz? A dziecko, kląskając bosymi łapkami, w nogi.

Albo obejść wieś i dostać się do domu od tyłu? Jeszcze czego, żeby na mnie wypadli, ty taki owaki, gdzie się tu pchasz? Marsz na drogę, bo dostaniesz batem! Cóż robić? Trzeba iść środkiem wsi, tylko, dobry Boże, żeby ta wali-

zeczka nie była taka ciężka! W oknie widać twarz kumy za doniczką pelargonii, wytrzeszczone spojrzenia słoneczników, babka na podwórku coś tam wylewa. Pochylona, jakby się rozglądała zadkiem po świecie, dzieci przystają i gapią się, o, o, ktoś tam idzie obcy, dziadek Cyryl miele pustymi ustami i nawet oczu nie podniesie. Jeszcze jedno kolnięcie w serce i wejdź z pochyloną głową w bramkę swego domostwa.

Ej, ty głupcze, jak też mogłeś się tak mylić! To przecie nie jest drewniana chałupa Hordubala, drewniana obora i stodoła ze słupków. Tu jest prawdziwy dwór, budynek murowany, a strzecha z dachówek na podwórku, żelazna pompa i żelazny pług z żelaznymi bronami, jednym słowem jakiś dwór. Prędej, Hordubalu, prędej, uciekaj razem ze swoim czarnym kufereczkiem, zanim przyjdzie gazda i powie: — Czego ci trzeba? Co się tu szwendasz? — Dzień dobry, gospodarzu, czy nie mieszkała tu dawniej Polana Hordubalowa? Przepraszam grzecznie, nie wiem, gdzie mi się oczy podziały.

Na zaproże wychodzi Polana i staje jak skamieniała. Wytrzeszczyła oczy, ręce mocno przyciska do piersi i oddycha szybko, z postękiwaniem.

III

I teraz Juraj Hordubal nie wie, co ma powiedzieć. Tyle początków sobie wymyślił i cóż się stało, że mu żaden nie pasuje? Nie zakryje oczu Polanie, nie zapuka nocą w okno, nie powróci razem z dzwonieniem stad i ze słowy błogosławieństwa. Ale włązi do domu skudłany i nieumyty, więc nie dziw, że się kobieta wystraszy. I głos wyszedłby ze mnie dziwny i zduszony — poradź Panie Boże, co tu powiedzieć takim zduszonym, do niczego niepodobnym głosem!

Polana ustępuje z zaproża, aż nazbyt daleko ustępuje. Ech, Polano, byłbym się przecież prześliznął i tak. I odzywa się do niego głosem, który już jakby nie był jej głosem

i wcale nie jest głosem: — No, wejdźże, ja — zawołam Hafię. — Dobrze, zawołaj, ale naprzód tobie chciałem położyć ręce na ramiona i rzec: — No, Polano, nie chciałem cię przestraszyć. Chwała Bogu, że już jestem w domu. I patrzajcież, jak się zagospodarowałaś: nowe łóżko, wysoko zasłane, stół nowy i ciężki, na ścianie święte obrazy. Ej-że, nawet w Ameryce nie mają lepszych. Podłoga z desek, a w oknie pelargonia. Dobrze, Polano, gazdowałaś! — Juraj Hordubal cichutko siada na swej walizce. Mądra jest ta Polana i umie sobie radzić. Jak tu wszystko ładnie wygląda! Zgaduję, że ma dwanaście krów, dwanaście, a może więcej. Chwała Bogu, nie na próżno harowałem. Ale ten gorąc tam w szybie, duszko, gdybyś wiedziała, co za piekło!

Polana nie wraca. Jurajowi Hordubalowi jest jakoś smutno i nieswojo, jak takiemu, co sam został w cudzej izbie. Poczekam na podwórku, może by się umyć tymczasem. Ech, zrzucić koszulę i napompować sobie zimnej wody na ramiona, na głowę i włosy, rozrzutnie pryskać wodą dookoła i ryknąć z uciechy, hej! Ale to by nie pasowało chyba, jeszcze nie, jeszcze nie. Tylko trochę wody z żelaznej pompy (stała tu studnia drewniana z żurawiem i ten zimny mrok w głębi, który oddychał taką wilgocią, gdy się człek pochylił nad studnią — a to jest tak, jak w Ameryce, tam miewają takie pompy farmerowie — nosić pełne kubły do obory, poić krowy, aż im się załsnia nozdrza od wilgoci i zaczną głośno pochrapywać). Juraj zwilża brudną chusteczkę do nosa i ociera sobie czoło, ręce, kark, ach jaki przyjemny chłodek! Wyżyma chusteczkę i rozgląda się, gdzieby ją tu powiesić, ale jeszcze tego nie robi, jeszcze nie czuje się tu w domu u siebie, więc mokrą chusteczkę pcha do kieszeni.

— Masz tu, Hafio, swego tatę — słyszy Hordubal i Polana popycha ku niemu jedenastoletnią dziewczynkę o płochliwych, bladoniebieskich oczach.

— Więc to ty jesteś Hafia — mruczy Hordubal w zakłopotaniu (na miły Bóg, dla tak dużej dziewczynki Teddy

bear!) i chce dotknąć jej włosów, choć tylko jednym palcem. Ale dziewczynka cofa się, przytulona do matki, i nie spuszcza oczu z tego obcego człowieka. — No, przywitaj się, Hafio — mówi Polana twarzą i kuksa dziewczynkę w plecy. Ech, Polano, daj jej spokój, cóż w tym dziwnego, że dziecko jest przestraszone? — Dzień dobry — szepcze Hafio i odwraca się. Jurajowi robi się nagle jakoś dziwnie, oczy mu się zalewają, twarz dziecka trzęsie się przed nim i rozplywa. No, no, cóż to znowu? Nic, nic, tylko że przez tyle lat nie słyszałem tego słowa: Dzień dobry! — Pójdź i popatrz, Hafio — mówi szybko — czegom ja ci naprzywoził.

— Idźże, głupia! — popycha ją Polana.

Hordubal kłęczy nad walizką. Matko Boska, jak się to wszystko przez drogę pomiętosilo, i szuka elektrycznej lampki. Dopieroż będzie Hafio patrzeć! — Widzisz Hafio, tutaj oto naciśniesz ten guziczek i zaraz świeci. — Co to, co to, że lampka nie chce świecić? Hordubal naciska guziczek, obraca lampkę na wszystkie strony i smutnieje. — Cóż to się zrobiło? Aha, niezawodnie wyszło coś tam w środku, gdzie jest ta elektryka. Widzisz, na lower-decku było tak gorąco. Ale świeciła bardzo jasno, Hafio, jak słończko. No, poczekaj, przywiozłem ci obrazki, zaraz je zobaczysz! — Hordubal wyławia z walizki karty powycinane z magazynów i gazet, którymi poprzekładał swoją odzież. Pójdź, Hafio, i popatrz, żebyś wiedziała, jak wygląda Ameryka.

Dziewczynka wierci się z wielkim zakłopotaniem i ogląda się za matką. Polana sucho i surowo wskazuje głową: Idź! Dziecko nieśmiało i niechętnie szura się ku temu wysokiemu obcemu człowiekowi. Ach wyrwać się z izby, wybiec na dwór i polecieć do Maryki, do Zofki, do dziewczynek, które tam za stodołą zawijają w poduszkę takie pocieszne, małe szczenię — —

— Patrz, Hafio, na te ładne damy — a tu, spojrzuj, jak ci się biją, co? To się nazywa football, wiesz? Taka gra amerykańska. A tu znowu, te wysokie domy — —

Hafia dotyka już jego ramienia i nieśmiało pyta: — A co to jest?

Juraja Hordubala zalewa radość i wzruszenie: więc dziecko już się przyzwyczaja. — To? To jest, wiesz... Felix the cat.

— Ale przecież to jest kizia! — protestuje Hafia.

— Ha, ha, ma się wiedzieć, że to jest kizia! Jesteś bardzo mądra, Hafio! Tak, to jest taki amerykański kocur, all right!

— A co on robi?

— Wylizuje taki tin, rozumiesz? Takie blaszane pudełko od konserwów. To jest advertisement od konserwów, wiesz?

— A co tu jest napisane?

— To jest... to pewno coś po amerykańsku, Hafio, ty tego nie rozumiesz. Ale tutaj, te statki — Hordubal szybko zmienia temat rozmowy. — Takim okrętem jechałem.

— A co to jest?

— To są kominy, wiesz? Te okręty mają w środku parową maszynę, a w tyle taki... taki propeller...

— A co tu napisali?

— Przeczytasz sobie kiedy indziej. Umiesz przecież czytać, czy nie? — odpowiada Hordubal wymijająco. — A tutaj, widzisz, zderzyły się dwa wagony — —

Polana stoi na zaprożu, z rękoma założonymi na piersi i suchymi upartymi oczami rozgląda się po podwórku. Tam w izbie, za nią, pochylają się ku sobie dwie głowy i męski głos wolnymi słowami stara się wytłumaczyć, co jest to i co tamto. — Takie rzeczy robią w Ameryce, Hafio, a to, patrz, to ja sam kiedyś widziałem — — A potem ten głos utyka jakoś, waha się i mruczy: — Idź, Hafio, idź zobaczyć, gdzie jest mamusia.

Hafia rzuca się ku zaprożu, jakby się wyrwała z więzów.

— Czekaj — zatrzymuje ją Polana — zapytaj się go, czy chce co zjeść albo wypić.

— Nie trzeba, duszko, nie trzeba — mówi wesoło Hordubal i idzie ku zaprożu. — Dobra jesteś, że o tym po-

myślalaś, bardzo ci dziękuję, ale nic pilnego. Może robisz akurat co innego...

— Robotę ma się zawsze — odpowiada Polana, jakby mówiła do siebie.

— Więc widzisz, Polano, więc widzisz, nie będę ci przeszkadzał, a tymczasem ja, może ja tymczasem — —

Polana zwraca się ku niemu, jakby mu chciała coś powiedzieć, jakby chciała powiedzieć zbyt wiele na raz, aż jej usta drgają. Ale połyka słowa niewymówione i idzie sobie, bo robotę ma się zawsze.

Hordubal stoi we drzwiach i spogląda za Polaną. A może pójść za nią do obórki? Jeszcze nie, tymczasem jeszcze nie. W obórce jest ciemno, nie pasuje jakoś. Osiem lat, bratku, to osiem lat. Polana to kobieta rozsądna, nie rzuci ci się na szyję jak jaka młódka. Trzeba się przepytać o to i o owo, o pole, o bydło, ale niechże sobie idzie z Bogiem, kiedy ma robotę. Polana zawsze była taka. Pracowita, żwawa, mądra.

W zamyśleniu rozgląda się Hordubal po podwórku. Czyste podwórko, zarośnięte trawą i kwitnącym rumiankiem, nigdzie ani śladu gnojówki. No dobrze, rozejrzeć by się po gospodarstwie, ale jeszcze nie, jeszcze nie. Polana powie przecie sama: — Pójdź, spojrzysz, Juraju, jakom gazdowała. Wszystko murowane i żelazne, wszystko nowe, tyle a tyle kosztowało — — A ja powiem: — Dobrze, Polano. I ja przynoszę z sobą coś niecoś do gospodarstwa.

Polana dobrze robi. A smukła jest, smukła jak młódka. Panie Boże, jakie równiutkie ma plecy! Zawsze tak prosto trzymała głowę, jeszcze jako dziewczyna — Hordubal westchnął i podrapał się po potylicy. No więc, Polano, niech będzie tak, jak ty chcesz. Przez osiem lat byłaś sobie sama panią, tego nie można odmienić na poczekaniu. Sama powiesz, że dobrze jest mieć chłopa w domu.

W zamyśleniu rozgląda się Hordubal po podwórku. Wszystko jest inne i nowe, dobrze się Polana rządziła. Ale ten nawóz, ten nawóz mi się jakoś nie podoba. To nie jest gnój z obory, to gnój stajenny. Na ścianie wiszą dwa cho-

mąta, na podwórku końskie łajno. — Ani słowem się Polana nie zdradziła, że trzyma konie. Ale konie, to przecież sprawa nie dla kobiety. Do stajni trzeba chłopca. Tak! Hordubal marszczy zatroskane czoło. Teraz słyszał uderzenie końskiego kopyta o drewniane przepierzenie. Koń grzebie kopytem, pewno chce mu się pić. Zaniósłbym mu wody w zagłowym wiaderku, ale poczekam, aż mi Polana powie: — Pójdź, Juraju, rozejrzeć się po naszym gospodarstwie. — W Johnstown mieli także konie, tam, w tych szybach. Chodziłem do nich, żeby je pogłaskać po pysku. Polano, krów tam nie było. Złapać taką krowę za róg i potrząsnąć jej głową, na-na-na, stara, cicho, cicho! Ale koń — no, chwała Bogu, będziesz tu teraz miała chłopca.

Nagle zapachniało coś znajomego i starego, coś, co tu pachniało od dzieciństwa. Hordubal długo i z wdzięcznością wdycha ten zapach: drzewo, smolisty zapach drzewa, pachnące w słońcu polana świerkowe. Juraja pociąga coś ku tej kupie polan. Ma się przecie ręce krzepkie jak ta gruba kora, jest tu i pień z zadziabniętą w nim siekierą, drewniany koziołek i piła, jego własna stara piła, wypolerowana jego własnymi łapami. Juraj Hordubal odetchnął z głębi. No, dziękować Bogu, wrócił zdrowy w domowe pielesze, więc zrzuca kapotę i układa polano w mocnych ramionach koziołka.

Spocony i szczęśliwy trze Juraj drzewo na zimę.

IV

Juraj się prostuje i ociera pot. Co tu dużo gadać, to jest całkiem inna robota i inny zapach niżli tam, w głębi kopalni. Kwaczą kaczkę, z krzykiem pędzą gęsi, turkocze jakiś wóz w rozpędzie i z paradą wjeżdża w uliczkę. Polana wybiega z obórki, pędzi, pędzi (ej, Polano, przecież ty biegiesz jak dziewczynka!) i na oścież otwiera wrota. Któż to będzie? Któż do nas zajeżdża? Trzaskanie z bicza, wysoko wzbijają się złoty i ciepły kurz, na podwórko wpada zaprzęg,

stukają koła drabiniastego wozu, a na nim ładnie, po węgiersku stoi chłopak, wysoko trzyma lejce, wysoko śpiewa prrr, zeskakuje z wozu i płaską dłonią uderza konia w mokry kark.

Od wrót zbliża się Polana, blada i jakaś zdecydowana.
— To jest Szczepan, Juraju. Szczepan Manya.

Człowiek, pochylony nad postronkami zaprzęgu, prostuje się żywo i staje czołem do Juraja. Jesteś, bratku, jakiś czarniawy, dziwi się Hordubal. Boże święty, co to za kruk!

— Był tu parobkiem — dodaje Polana twardo i wyraźnie.

Obcy człowiek mruknął coś, pochylił się ku uprzęży, odcina co trzeba i prowadzi konie, trzymając oba jedną ręką przy pysku, a drugą, jakby nigdy nic, podaje Hordubalowi. — Witam was, panie gospodarzu!

Hordubal śpiesznie ociera rękę o nogawicę i podaje ją Szczepanowi. Jest trochę zmieszany i bardzo pochlebiony, popada w zakłopotanie, mruczy coś i jeszcze raz potrząsa Szczepanowi rękę po amerykańsku. Niewielki jest ten Szczepan, ale krzepki. Podchodzi Jurajowi tylko do ramion, ale spogląda mu w oczy zuchwale i twardo.

— Ładne konie — mruczy Hordubal i chce je pogłaskać po nozdrzach, ale konie stają na zadnich nogach i zaczynają tańczyć.

— Bacność, gospodarzu — przestrzega Manya, a w oczach zapala mu się drwiący uśmieszek. — Węgierskie konie.

Ej, ty czarny, myślisz, że ja się nie znam na koniach? No tak, nie znam się na nich, ale konie przywykną do gazdy.

Konie podrywają łby, jakby chciały rzucić się w skok. Włóż ręce w kieszenie, Hordubalu, i nie uchylaj się, żeby sobie ten Murzyn nie myślał, że się boisz.

— Ten tu ma trzy lata — mówi Manya — z wojskowej stadniny. Hej, ty! — szarpie konia za pysk. — C-c-c! Stójże diable, cicho! — Koń podrywa go, ale Szczepan śmieje się tylko, a Polana podchodzi do konia i podaje mu kawał chleba. Szczepan łysnął na nią zębami i oczami i przytrzymuje ko-

nia za łańcuszek u wędzidła. — Ej, ty! S-s-s! — Wygląda to tak, jakby wślaczał konia w ziemię, a między zębami świszczę mu wysilek. Koń stoi z pięknie wygiętym karkiem i wargami zbliża się do dłoni Polany. — Hej! — woła Manya i w klusa, zawieszony u pysków końskich, prowadzi konie do stajni.

Polana spogląda za końmi. — Cztery tysiączki dają za niego — mówi z ożywieniem — ale nie dam go. Szczepan mówi, że wart osiem. Tę klaczkę będziemy na jesieni pokrywać. — Diabli ją wiedzą, czemu się nagle zacięła, jakby się w język ugryzła. — Muszę im przyszykować obrok — mówi, waha się i nie wie, jak się oddalić.

— Tak, tak, obrok — zgadza się Juraj. — Ładny konik, Polano. A cóż, do roboty dobry on jest?

— Takiego do wozu szkoda — odpowiada Polana podrażniona. — To przecież nie wiejska chabeta.

— No przecież — wymusza z siebie Hordubal. — Prawda, byłoby szkoda takiego junaka. Ładne masz konie, duszko, aż miło popatrzeć.

W tej chwili Manya wychodzi ze stajni i niesie dwa wiaderka z żaglowego płótna, żeby napompować wody. — Osiem tysięcy za niego dostanie, gospodarzu — mówi z wielką pewnością. — A tę klaczkę należałoby na jesieni pokryć. Obiecano mi dla niej ogierka, ej, takiego jak szatan!

— Brutus czy Hegüs? — zwraca się ku niemu Polana.

— Hegüs. Brutus za ciężki. — Manya wyszczerzył zęby spod czarnych wiech wąsów. — Nie wiem, jak wy gospodarzu, ale ja nie przepadam za ciężkimi końmi. Mocne są, prawda, ale brak im gorącej krwi. Nie mają żadnej gorącości.

— A tak — mówi Hordubal niepewnie. — Tak jest z tą końską krwią. A cóż tam krówki, Szczepanie?

— Krowy? — dziwi się Szczepan. — Aha, mówicie o krowach. Taaak, gospodyni ma dwie krowy, dla mleka niby. Jeszczeście nie byli w stajni, gospodarzu?

— Nie, jeszcze nie, widzisz ja właśnie przed chwilą wróciłem — odpowiada Hordubal i popada w zakłopotanie. Oczywiście, ta kupa tartego drzewa mówi swoje, ale jednocześnie Juraj cieszy się, że tak szczęśliwie zaczął Szczepanowi tykać, jako gazda parobkowi. — Właśnie — dodaje — chciałem tam zajrzeć.

Szczepan prowadzi go usłużnie, niosąc wiaderka z wodą. — Mamy tam — gospodyni ma tam małe źrebiątko trzytygodniowe i klacz, pokrytą przed dwoma miesiącami. Tędy, panie gospodarzu. Ten wałach tutaj jest już jakby sprzedany. Półtrzecia tysiąca będzie za niego. Dobry koń, ale ja muszę zaprzęgać tego trzylatka, żeby się nabiegał do woli. Nie chce stać spokojnie. — Manya znów szczyrzy zęby. — Wałach pójdzie do wojska. Wszystkie konie od nas zabierają do wojska.

— Tak, tak — mówi Juraj. — No, jest tu czysto w tej stajni. A ty, Szczepanie, służyłeś już w wojsku?

— W konnicy, panie gospodarzu — pyszni się Manya i poi trzylatka. — Spójrzcie, gospodarzu, jaka sucha głowa, jaki zad. Ej, ty tam! No już c-c-c! Baczość, gospodarzu! Co za zbójnik! — mówi i uderza konia pięścią w kark. — Co to za koń, panie gospodarzu, co za koń!

Hordubal nie czuje się dobrze w ostrych wycziewach stajni. Inaczej, bratku, jest w oborze, gdzie pachnie nawozem i mlekiem, pastwiskiem i domem. — A gdzie masz to źrebię? — pyta.

Źrebię jest jeszcze kudłate i akurat ssie. Wygląda, jakby to były same nogi. Klacz odwraca głowę i mądrymi oczami spogląda na Hordubala, jakby pytała: Coś ty za jeden? Juraj staje się tkliwy i głaszcze klacz po zadzie. Jest ciepła i gładka jak aksamit.

— Dobra klacz — mówi Szczepan — ale ciężka. Gospodyni chce ją sprzedać. Sami wiecie gospodarzu, chłop nie zapłaci za konia jak się należy, a w wojsku chcą koni gorących. Zimne konie nie zdały się na nic. Najlepsza jest

stajnia jednego gatunku — wywodzi Szczepan. — Ale nie wiem, jak wy myślicie o tym, panie gospodarzu...

— No, Polana zna się na tym—mruży Hordubal z ociąganiem. — A woły ma Polana?

— Na co woły, gospodarzu? — uśmiecha się Manya. — Do roboty w polu wystarczy klacz i wałach. Bydło jest tanie, gospodarzu. Co innego jeszcze hodowla wieprzów. Widzieliście, gospodarzu, jakiego ma gospodyni knura? Sześć macior, gospodarzu, i czterdzieści prosiąt. Za prosiętą płacą dobrze, kupcy przychodzą po nie z daleka. Świnie mamy jak słonie, czarne ryje, kopyta czarne...

Hordubal kiwa głową z zastanowieniem. — No a mleko, skąd bierzecie dla nich mleko?

— Od chłopów, panie gospodarzu — śmieje się Manya. — Ej ty, taki owaki, że ci się zachciewa naszego knurka do swojej brudnej świni! Takiego pewno knurka nie ma w całej okolicy. Ile konwi mleka, ile worków kartofli za to dasz? — Tak, panie gospodarzu, nie warto harować, gdy się nie opłaca. Do miasta daleko, sprzedaje się kiepsko. Głupi naród, gospodarzu. Uprawia tylko to, co można zjeść. Niech więc daje, gdy nie umie sprzedać.

Hordubal przyświadcza bez przekonania. Prawda, prawda, tutaj sprzedawało się niewiele, najwyżej gęsi i kury. Juścić dużo się na świecie zmieniło, ale Polana umie sobie radzić, już to jej trzeba przyznać.

— Jak sprzedawać, to sprzedawać — rozumuje Szczepan — ale takie rzeczy, co się opłacają. Któż by tam latał na targ z oselką masła? Po oczach ci widać, że jesteś goły, więc opuść albo idź do diabła!

— A ty skąd będziesz? — zaciekawia się Juraj.

— Z Rybar, z doliny, wiecie gospodarzu?

Hordubal nie wie, gdzie to jest, ale kiwa głową. Tak, tak, z Rybar. Gazda musi wiedzieć o wszystkim.

— Inna kraina, gospodarzu, a jaka równina! Na przykład rybarski moczar — cała tutejsza okolica zmieściłaby

się w nim jak składany nóż w kieszeni. A trawa, gospodarzu, trawa aż po piersi. — Manya machnął ręką. — E, tutaj marna okolica, gdy się orze, to pług obraca tylko kamienie. U nas, gdy się kopie studnię, to ziemia jest czarna aż do głębi.

Hordubal spochmurniał. Co ty mi będziesz gadał, tatarska twoja mać — ja, ja tutaj orałem i obracałem kamienie, ale za to te lasy i te pastwiska, miły Boże! Nadąsany wychodzi Juraj ze stajni. Marna, powiada, okolica. No to po co się tu pchasz, diable czubaty? Czy stadom źle się tutaj powodzi? No, chwała Bogu, oto jest godzina stad; już podzwaniają w dolinie i brzęczą na skraju wsi. Dzwonki zachryplę, głębokie i powolne jak kroki krowy. Tylko wysokie dzwoneczki cielątek biegną na wyścigi. No-no, i ty będziesz krową i będziesz chodzić poważnie i statecznie, jak całe stado i jak my wszyscy. Dzwonienie stada się przybliża i Jurajowi chce się zdjąć kapelusz jak na Anioł Pański, aby zmówić „Ojciec nasz, któryś jest w niebie”. Dzwonienie przybliży się jak rzeka, rozdziela się na ciężkie krople, rozlewa po całej wsi, krowa za krową odłącza się od swego stada i bimbam, bimbam, zmierza do swej obory. Zalatuje zapach kurzu i mleka, bimbam odzywa się we wrotach i kiwając głowami dwie krówki wchodzi na podwórko Hordubalów. To są zwierzęta mądre i łagodne, idą prosto ku drzwiom obory. Hordubal westchnął głęboko: no i ja już jestem w domu, chwalaż ci, Boże. Taki to jest powrót do domu. Anioł Pański stad rozprasza się po wsi i zamiera, nietoperz zygawkowatym lotem śmiga za muchami śladem stada, dobry wieczór, gazdo. Z obory przeciągłym buczeniem odzywa się krówka. No, no, już idę. Po ciemku wchodzi Juraj do obory, obmacuje rogi, twarde i kudłate czoło, mokrą gębę i nozdrza, gładzi kędzierzawą sierść na karku. Znalazł blaszany kubełek i stołek na trzech nogach, przysiadł się do pełnego wymienia i doi raz — dwa, raz — dwa, aż mleko ciepłą strugą uderza o blachę wiadra. I cienko, półgłosem zaczyna Juraj śpiewać.

We drzwiach obory zarysowała się sylweta ciemnej postaci. Hordubal nie dokończył śpiewania. — To ja, Polano — mruczy, tłumacząc się. — Żeby się bydelko do mnie przyzwyczało...

— Na kolację nie pójdziesz? — pyta Polana.

— Gdy skończę dojenie — odpowiada Hordubal z ciemności. — Szczepan będzie jadł z nami.

V

Juraj Hordubal siada na czele stołu, składa ręce i zmawia modlitwę. Tak trzeba teraz robić, skoro się jest gazdą. Polana zacina usta i składa ręce. Hafia wytrzeszcza oczy i nie wie, co ma robić, Szczepan ponuro i z uporem patrzy w ziemię. Ech, wy, cóż to, nie zmawialiście pacierzy, Polano? Pewno Szczepan jest człowiekiem innej wiary, ale przy stole powinno się zmawiać pacierz. Patrzcie ich, nadąsali się, jedzą szybko, w milczeniu. Hafia nie je porządnie, ale dłubie w talerzu. — Jedz, Hafio — sucho rozkazuje Polana, ale sama też prawie nic nie je. Tylko Szczepan głośno siorbie, pochylony nad talerzem.

Po jedzeniu Manya śpieszy, żeby się co rychlej dostać na dwór. — Poczekaj chwilę, Szczepanie — zatrzymał go Hordubal. — Cóż to ja chciałem powiedzieć — — — Aha — jaki jest tego roku urodzaj?

— Sianokos będzie dobry — uchyla się Manya.

— A żyto?

Polana rzuca na Szczepana szybkie spojrzenie. — Żyto? — mówi Szczepan, jakby żuł to słowo. — To jest, gospodyni sprzedała ten grunt, co był na górze. Nie warto było mordować się tam. Szkoda roboty. Same kamienie, gospodarzu.

Hordubala kolnęło. — Same kamienie — mruczał — prawda, same kamienie, ale ziemia, Polano, to fundament...

Szczepan z wielką pewnością siebie wyszczerza zęby. — Ta ziemia nic nie dawała, gospodarzu — tłumaczy Manya.

— Lepsze są łąki nad rzeką. Kukurydza zrodzi się tam wysoka na chłopa.

— Nad rzeką? — dziwi się Hordubal. — Tyś kupiła, Polano, ziemię na równinie?

Polana chce coś rzec, ale woli milczeć. — To pańskie łąki, gospodarzu — tłumaczy Manya. — Grunt jak boisko, głęboki, buraczany — — — Tylko że buraki spadły w cenie. Lepiej już trzymać konie: gdy się uda jeden koń, to dostanie się za niego więcej, niż przez cały rok zarobi gospodarz pracą w polu. Żeby tak mieć jeszcze kawał równiny i zbudować stajnię tam w dolinie... — Oczy Szczepana błyszczą. — Koniowi potrzebna jest równina, gospodarzu. Koń, to nie koza.

— Dziedzic sprzedałby tamte łąki — dodaje Polana w zamyśleniu i na głos liczy, ile mogłyby kosztować. Ale Hordubal nie słucha, Hordubal myśli o gruntach żytnych i kartoflanych, które Polana sprzedała. Prawda, że to prawie same kamienie, ale czyliż kamienie nie były tam zawsze? To już należy do tej tam roboty. Na dwa lata przed odjazdem do Ameryki przemieniłem kawał ugoru w pole... E, cóż ty wiesz o wiejskiej robocie!

Hafia przyszuriała się do Szczepana i wsparła się łokciem o jego ramię. — Wujku Szczepanie... — szepcze...

— Czego chcesz? — śmieje się Manya.

Mała wierci się zakłopotana. — Nic, ja tylko tak...

Szczepan sadza ją na kolana i kołysze. — No więc, cóż mi chciałaś powiedzieć?

Hafia szepcze mu do ucha: — Wujku Szczepanie, widziałam dzisiaj takie ładne szczenię!

— Nie może być — mówi z wielką powagą Manya. — A ja widziałem zajęzycę z trzema młodymi zajęzkami.

— Ojej! — zdumiewa się Hafia. — A gdzie?

— W koniczynie.

— I będziesz je na jesieni strzelał?

Szczepan z ukosa patrzy na Hordubalę. — Jeszcze nie wiem.

Dobry człowiek — myśli Juraj z zadowoleniem — dziecko go lubi. Do mnie nie podeszłaby tak, jak do niego. No, nic, przyzwyczai się dzieciak, tylko tyle, że ani słowem nie wspomniała o tych obrazkach, co jej przywiozłem z Ameryki. Należałoby dać coś Szczepanowi, uważa Hordubal i szuka oczami swej drewnianej walizki.

— Masz swoje rzeczy poukładane na ławie — mówi Polana. Zawsze była taka troskliwa, myśli Juraj, i poważnie podchodzi do tej kupki amerykańskiej. — Więc tak, to jest dla ciebie, Hafio, te obrazki i ten Teddy-bear — —

— Co to jest, wujaszku? — pyta Hafia z głębokim westchnieniem.

— To niedźwiedź — tłumaczy jej Manya. — Czy już widziałaś kiedy żywego niedźwiedzia? Tam daleko, w górach, są niedźwiedzie.

— A tyś je widział? — nastaje Hafia.

— Owszem, widziałem. Mruczają tak: mrumru.

— To jest, Polano, dla ciebie — nieśmiało szepcze Hordubal. — To głupstwa takie, ale cóż robić, nie wiedziałem, co by ci... — Juraj odwraca się i szuka czegoś, co by tak można ofiarować Manyi. — A to, Szczepanie — mówi zakłopotany — byłoby może w sam raz dla ciebie: amerykański nóż i amerykańska fajeczka...

— Ach, ty! — zduszonym głosem zawołała Polana, oczy zalały się jej łzami, wybiegła na dwór. No, Polano, cóż ci się stało?

— Grzecznie dziękuję, gospodarzu — kłania się Manya, pokazując w uśmiechu wszystkie zęby, i podaje Jurajowi rękę. Ej, ty, jaką ty masz siłę w ręku! Z tobą byłoby warto wziąć się za bary. No chwała Bogu, odetchnął Hordubal, to wszystko byłoby już załatwione.

— Pokaż mi wujaszku ten nóż — prosi Hafia.

— Widzisz, to jest nóż aż z Ameryki — pyszni się

Szczepan. — Wystrugam ci nim amerykańską lalkę. Czy chcesz?

— Ojej, wujaszku — piszczy Hafia z uciechy — ale na pewno!

Juraj uśmiecha się szerokim, szczęśliwym uśmiechem.

VI

Ale nie wszystko jeszcze załatwione, Juraj wie, co i jak trzeba zrobić. Kiedy człowiek wraca z Ameryki, powinien pokazać się w karczmie, przywitać się z sąsiadami i zafundować im gorzałki. Niech wszyscy wiedzą, że wraca nie ze wstydem i z pustymi rękoma. Hej, karczmarzu! Każdemu szklanekę, ale zwawo! Czy nie znasz Hordubala i czy nie jestem majner z Ameryki? Niechże się rozejdzie wieść po całej wsi o tym, co powrócił, i niech wszyscy przyjdą popatrzeć na Hordubala. Dawaj, żono, gunię i kapelus —

— Wróć, Polano, niedługo, ale idź spać i nie czekaj na mnie — wywodzi Juraj obszernie, a potem okazałe idzie przez ciemną wieś do karczmy. Ech, jak swojsko i rozmaicie pachnie wieś: drzewem i krowami, słomą i sianem, tu znowu czuć gęsi, a tam zalatuje rumiankiem i pokrzywami. Nie ma już w karczmie starego Sali Berkowicza. Jakiś rudy Żyd wstaje od stołu i pyta nieufnie: — Pan sobie życzy?

W kącie siedzi jeden, ale kto? Chyba to będzie Pjosa, nieprawdaż, Andrej Pjosa, zwany Huzarem? A ten patrzy na Juraja, jakby chciał krzyknąć: Tyśże to, Juraju? Tak, to ja, Andreju Huzarze, jak mnie widzisz. — Ale nic takiego. Nie zerwał się Pjosa, nie krzyknął, tylko patrzy, a Hordubal, aby pokazać, że jest z tutejszych, pyta: — Czy żyje stary Berkowicz, karczmarzu?

Piegowaty Żyd stawia na stole szklanekę gorzałki.

— Sześć lat temu, jako go pochowano. — Sześć lat, ej Pjoso, duży to kawał czasu. Ile zostanie z człowieka po sześciu latach — ile po ośmiu? Osiem lat, karczmarzu, nie piłem gorzałki. Wie Bóg, że czasem byłbym się jej napił —

smutno bywało, chciało się splunąć na tę obczyznę, wiesz? Ale zakazali gorzałkę w Ameryce. Przynajmniej mogłem więcej dolarów posyłać Polanie. I widzisz, kupiła parę koni, a pole sprzedała. że niby tam są tylko kamienie. Zaraz wi- dać, że nie byłeś, bracie, w Ameryce.

Żyd stoi przy szynkwasio i spogląda na Juraja. Wdać się z nim w rozmowę? — myśli Żyd. Rozmowny widać nie jest, patrzy tak jakoś dziwnie, lepiej dać mu spokój. Ale który też z tutejszych mógłby to być? Maciej Pagurko ma syna gdzieś w świecie, więc może to syn Macieja. Czy miał- by to być ten Hordubal, mąż Polany Hordubalowej, co jest w Ameryce?

Juraj mruga oczami. Żyd odwraca się od niego, bo musi ustawić szklanki na szynkwasio. A ty, Pjoso, czemu chowasz oczy pod brwiami? Mamże krzyknąć na ciebie po imieniu? Widzisz, jest tak, Andreju Pjoso. Człowiek odzwyczai się od gadania, gęba mu zdrętwieje, ale juści, nawet koń i krowa chcą usłyszeć ludzkie słowo. Prawda, Polana była zawsze milkliwa, a osiem lat nie robi z milczka gaduły. Sam nie wiem, jak zacząć, samotność gadać nie nauczy. Ona nie pyta — ja nie odpowiadam; ona nic nie mówi, mnie się py- tać nie chce. Ech, co tu gadać, Szczepan jest dobry parobek i nawet gadanie załatwi za gospodynię. A gospodyni ziemię sprzedała, kupiła łąkę na równinie i masz tobie!

Hordubal popija i kiwa głową. Pali ta pieska gorzałka, ale się człek przyzwyczai. Szczepan dobry chłop — zdaje się. Zna się na koniach i lubi Hafię. A co do Polany — przyzwyczai się kobieta i samo przyjdzie, co ma przyjść. Ech, Pjoso, a twoja żona bywa czasem dziwna? No, spie- rzesz ją kiedy trzeba, ale Polana jest jak szlachcianka, Andreju. Takie są te sprawy. Mądra jest, pracowita i czy- sta — chwała ci Boże. Prawda, że dziwna. I chodzi, bracie, tak jakoś, jak żadna inna baba we wsi. Nie umiem z nią po- stępować, Huzarze. Powinienem był wtargnąć do domu jak wicher, porwać ją i przycisnąć, aźby jej tchu zabrakło. Tak się to robi, Andreju. Ale ba — widzisz, nie udało się. Prze-

straszyła się, jakbym był upiorem. I Hafia przstraszyła się jakoś. I ty też, Pjoso. No, już wróciłem. Cóż robić, gdy lody nie pękają od razu, to znikają po trochu. Na zdrowie, Andreju!

Andrej Pjosa, zwany Huzarem, wstaje i idzie ku drzwiom, jakby go nie widział. We drzwiach się odwraca i wyrwie się raptem: — Witam was, Juraju! Rad jestem, żeś wrócił zdrów! Dziwak z ciebie, Huzarze! Jakbyś się nie mógł przysiąść! Nie myśl sobie, że wróciłem jak żebrak: mam ładnych parę setek dolarów, o których nawet Polana jeszcze nie wie. Patrzcie, poznał mnie Pjosa. A więc to przyszło samo i reszta też przyjdzie sama, ucieszył się Hordubal. Nalej jeszcze jedną, Żydzie!

Drzwi się otwierają i wpada do karczmy chłopisko znajome, wali się jak fala powodzi i widać od razu, że to Wasyl Gerycz Wasylów, przyjaciel najlepszy. Tylko spojrz i już jest przy stole. Wasylu! Juraju! Drapie takie chłopskie pocałowanie i śmierdzi tytoniem, ale dobre jest, ej, ty, Wasylu! — Witam cię, Juraju! — mówi z jakąś wielką troskliwością. — I co się stało, żeś przyjechał? — A cóż chcesz, ty koniu boży, chciałeś może, żebym tam był umarł? — śmieje się Hordubal. — Ano — mówi Gerycz wymijająco — chłopom się teraz dzieje niedobrze. Zdrów, co? Chwała Bogu przynajmniej za to. — Dziwny jesteś, Wasylu, siadasz tylko na pół zadu, a szklankę wywracasz od razu do góry dnem. Co nowego? No, stary Kekerczuk umarł w tydzień po Wielkanocy, Panie świeć nad jego duszą, a w niedzielę miał wesele młody Horolenko z dziewczyną Michalczuka. Zeszłego roku diabli nam nadali zarazę pyska i racic — — — No i tego, Juraju, zrobili mnie tu starostą, jestem biro, ale mam z tego, juścić, tylko zgryzoty. — — —

Rozmowa się urywa, Wasyl Wasylów nie wie, co by jeszcze powiedzieć. Wstaje i podaje łapę Jurajowi. — Pan Bóg z tobą, Juraju. Muszę już iść.

Juraj uśmiecha się i obraca szklankę w ocieżałych palcach. Już nie jest Wasyl taki, jak bywał dawniej. Boże ko-

chany, jak ten potrafił pić, aż okna brzęczały. Ale przynajmniej podszedł i pocałował, przyjaciel. Pan Bóg z tobą, Juraju! Cóż ty tak od razu? Czy mam wypisane na nosie, że mi się powrót nie udał? Oj, nie udał się, bo nie udał, ale wszystko jeszcze będzie. Powoli, powoli, będę powracał, co dzień o kawaleczek bliżej i nagle będę w domu. Mam pieniądze, Wasylu. I ziemi mogę kupić i krów, ze dwanaście krów, jeśli zechcę. Sam wyprowadzę je na pastwisko, choćby i na Wołowy Chrbat, dwunastu dzwonekmi będą dzwoniły, a Polana chyżo jak dziewczyna pobiegnie otwierać wrota...

W karczmie jest cicho, Żyd podrzemuje za szynkwasem. No, cóż robić? Dobra jest czasem taka samotność. W głowie się kręci, porządnie się kręci, przyjacielu, ale myśli się uleżą. Wraca się krokiem wolnym i pomalutku, jak powraca stado. A cóż by to było, gdyby tak wpaść jak zaprzęg, szturmem wtangnąć na podwórze, żeby się iskry posypały — wysoko stać, wysoko trzymać lejce i zeskoczyć? Oto jestem, Polano, i już cię nie puszcze. Wysoko na rękach zaniosę cię do domu i przycisnę cię do serca, aż ci tchu zabraknie. Gładka jesteś, Polano. Osiem lat, osiem lat myślałem o tobie. Ale teraz dopiero pójdę do ciebie. Hordubal zacina zęby, aż mu mięśnie na twarzy obrzmiewają. Hej, dzikie konie, hej! Niech Polana widzi. Kolana ugną się pod nią ze strachu i radości. Niech widzi: mąż powraca!

VII

Pijany idzie Hordubal miesięczną nocą; pijany, bo odwykł od gorzałki, bo odzwyczaił się od takich myśli, bo idzie do żony. Czemu ziębisz, miesięczku — czy nie idę dość cicho, i tak lekko, lekko, że nawet rosy nie strąciłbym z trawy? Ej, wy psiska całej wsi, to idzie Juraj Hordubal, po ośmiu latach wraca chłop, a ręce wyciągnął przed siebie, aby w nie porwać żonę. Tak, teraz mam ciebie pełne objęcia, ale mi jeszcze nie dość, chciałbym cię chwytać ustami i ścisnąć kolanami, między palcami chciałbym czuć ciebie,

Polano, Polano! Ej, czemu ziębisz, ty tam, wysoko? Prawda, że jestem pijany, bo piłem na odwagę, bo chcę prosto na łeb rzucić się do swego domu. Oto mnie masz, Polano, jestem tu, i tu, i tu, wszędzie gdzie są twoje ręce, twoje nogi i usta. Ech, duża jesteś, duża, ile cię jest od stóp do głów, kiedy ja zabiorę cię całą?!

Hordubal idzie miesięczną nocą i drży na całym ciele. Nie krzyknąłbyś, nie odezwałbyś się w taką noc miesięczną, nie zamąciłbyś tej gładkiej ciszy. Cicho, cicho, ten jasny cień to ty jesteś, nie nazywaj mnie po imieniu, to jestem ja. Tak delikatnie cię trzymam, jakbyś z objęć moich wyrastała drzewem, i nie zmacę tej ciszy gładkiej, nie odezwę się, nie odetchnę. Ach, Polano, usłyszałbym padającą gwiazdę.

Ale nie, na drodze ku nam miesiąc nie świeci, u nas księżyc studzi. Świeci nad czarnym borem, a u nas jest ciemno, tak ciemno, że ta ciemność aż dyszy. Musisz po ciemku macać rękoma i znajdziesz żonę. Śpi — nie śpi, nie widzisz jej, ale pełno jej tu, cicho się śmieje i robi ci miejsce obok siebie. Jak tu zrobić miejsce dla takiego drągala, nie zmieścisz się, musisz się wcisnąć w jej objęcia. Zaś ona szepcze ci do ucha, sam nie wiesz co — słowa są chłodne, ale szept jest ciepły i ciemny. I zaraz ciemność robi się gęstsza, taka gęsta i ciężka, że możesz ją zmacać, dotykasz jej, a to jest żona, tu włosy, tu ramiona, i dyszy, dyszy z sykiem między zębami, dyszy ci ciemno w twarz... — Ech, Polano! — wyrwało się Hordubalowi. — Ach ty!

Cicho otwiera Juraj furtkę wiodącą na podwórko. Na zaprożu siedzi Polana w miesięcznym świetle i czeka. — Ty, Polano — mruczy Hordubal i serce mu upada. — Czemu nie śpisz?

Polana zadygotała od chłodu. — Czekam na ciebie. Chciałam cię zapytać — — — Zeszłego roku dostaliśmy za parę koni siedem tysięcy, więc co ty, co ty myślisz?

— Taaak — mówi Hordubal wahając się. — To dobrze, jutro o tym porozmawiamy.

— Ja chcę teraz — odpowiada Polana twardo. — Dlatego czekam. Już nie chcę być krowiarką... Harować w polu... No — — — nie chcę!

— Nie będziesz — mówi Hordubal i patrzy na jej ręce, białe w miesięcznym świetle. — Ja tu jestem teraz, ja będę robił.

— A Szczepan?

Juraj milczy, wzdycha, na co akurat teraz gadać o tym? — No — mruczy pod nosem — dla dwóch nie będzie tu dość roboty.

— A konie? — wtrąca nagle Polana. — Ktoś musi mieć staranie o konie, a ty się na nich nie znasz...

— Prawda — przyznaje Hordubal. — No więc, jakoś to będzie.

— Ale ja chcę wiedzieć — nastaje Polana i zaciska pięści. Ej ty, jaka ty jesteś prędką!

— Jak chcesz, Polano, jak chcesz — słyszy Juraj swój własny głos. — Zostanie Szczepan, duszko... Żebyś wiedziała, przynoszę pieniądze... Wszystko zrobię dla ciebie.

— Szczepan zna się na koniach — słyszy Hordubal — takiego drugiego nie znajdziesz. Pięć lat tu służył — — — Polana wstaje dziwna i blada w miesięcznym świetle. — Dobranoc. Stąpaj cicho, Hafia śpi.

— Co — co ty — dokąd idziesz? — zdziwił się Hordubal.

— Spać, na strych. Ty śpisz w izbie, ty jesteś... gazda. — Coś twardego i złego jest w twarzy Polany. — Szczepan śpi w stajni.

Bez ruchu siedzi Hordubal na zaprożu i patrzy w miesięczną noc. Tak, tak. Głowa nie chce myśleć, zdrętwiała. I co mi tak utknęło w gardle, że tego połknąć nie mogę? Ty śpisz w izbie, ty jesteś gazda. A więc tak.

Gdzieś w dali poszczekuje psisko, w oborze szczełknął łańcuch krowy. Ty śpisz w izbie. Ech, taka głupia głowa! Możesz nią kręcić i tak i tak, nic — tylko drętwieje. Że niby gazda. To wszystko jest twoje, gazdo, te białe ściany, podwórko, wszystko. Coś ty za pan! Całą izbę masz dla siebie, sam rozwalisz się na łóżku. Jak gazda, to gazda!

I co się stało, że nie mogę wstać, że głowę mam taką tępą? Ach to pewnie gorzałka, nalał mi drzewnego spirytusu ten rudy Żyd. Ale z karczmy wracałem przecie, jakbym tańczył! No więc w izbie. Tak chce Polana uczcić gazdę. Jak gość będzie spał — — —

Niezmierne zmęczenie spadło na Hordubala. No tak, chce zapewne, abym sobie odpoczął, abym się wywczasował po podróży. Ba, przecież nie mogę nawet wstać. Jakie to głupie, mieć nogi takie sflaczałe! A miesiąc schował się już za strzechą.

— Bijcie godzina je-de-na-sta, chwał Boga, duszo chrześcijańska — — —

To stróż nocny śpiewa. W Ameryce nie wywołują godzin nocni stróże. Dziwna jest ta Ameryka. Lepiej, żeby mnie nie widział. Byłby wstyd. Hordubal zląkł się i cicho jak złodziej skrada się do izby. Zdejmuje kapotę i słyszy cichy oddech... Chwałaż ci, Boże, Polana tylko zartowała i śpi tutaj. A ja, głupi, jak ten pieniek siedziałem tymczasem na dworze! Juraj stąpa cicho, skrada się ku łóżku i szuka omackiem: to są włoski, to ramionka cieniutkie i chude — Hafia. Dziecko mruczy i wtula się w poduszkę. Tak, to Hafia. Juraj delikatnie usiadł na krawędzi łóżka. Przykryję nóżki dziewczynce. E, Boże drogi, jak się tu położyć? Jeszcze bym dziecko zbudził. Chciała widać Polana, żeby się dziecko przyzwyczajało do ojca. Więc tak: tatuś z córeczką w izbie, a ona na strychu.

Coś rozbłysnęło w Juraju i nie daje mu spokoju. Powiedziała: — Idę spać na strych. — Mogła to przecie powiedzieć rozmyślnie. Ty, głupi, możesz przyjść za mną. Wiesz, gdzie jestem. Idę spać na strych. Na strychu nie ma Haffii. Hordubal stoi w ciemnościach jak słup i serce w nim drży. Polana jest handa, nie powie: masz mnie, bierz! Sam musisz za nią pójść, jak za dziewczyną, po ciemku będziesz macać drogę rękoma, a ona się po cichu zaśmieje, ach, Juro, ty głupi, osiem lat myślę o tobie!

Cichutko, cichutko, wchodzi Juraj na strych. O, jak tu

ciemno! Polano, gdzie jesteś? Słyszę, jak bije twoje serce. — Polano, Polano — szepce Hordubal i maca ciemności. — Idź, precz! — stęknęła, zadygotała ciemność. — Ja cię nie chcę! Proszę cię, proszę cię, Juraju, proszę...

— Nic, nic, Polano — mruczy Hordubal straszliwie zmieszany. — Tylko tak, żeby zobaczyć, czy ci się dobrze śpi — — —

— Proszę cię, idź precz, idź — dygotce przestraszona ciemność.

— Chciałem ci tylko powiedzieć — jąka Hordubal. — Wszystko będzie, duszko, jak zechcesz. I łąki możesz dokupić...

— Idź, idź precz! — krzyczy Polana jak oszalała.

I Juraj nawet nie wie, jak się dostał na dół, tak jakoś, jakby prosto na łeb spadł w przepaść. Nie, skądże znowu, nie spadł, lecz siedzi na ostatnim stopniu i spada w przepaść. Tak głęboko, Jezu Chryste, tak głęboko się pada! I kto to stęka tutaj? To ty, to ty! Nie, nie stękam, tylko próbuję oddychać i nie moja to wina, że za każdym razem tak jęknie we mnie. Jeszcze i jeszcze! No, stękać sobie! Jesteś w domu, jesteś gazda...

Hordubal przestał spadać, siedzi na ostatnim schodku i wżera się oczami w ciemność. Ty śpisz w izbie, ty jesteś gazda... Tak powiedziała. A więc to taka sprawa, Polano. Przez osiem lat byłaś sama sobie panią, a teraz się gniewasz, że będziesz miała gazdę nad sobą. Ech, duszko, popatrz dobrze, jaki on tam gazda! Siedzi na schodku i chlipie, mogłabyś mu fartuchem nos utrzyć. Taki on gospodarz! Hordubal czuje coś na twarzy, dotyka tego ręką i — mój ty Boże, przecie to jest uśmiech! Hordubal uśmiecha się w ciemność: co za gazda, parobek! Przyszedł parobek do krów, a ty, Polano, będziesz jak dziedziczka. No widzisz, wszystko da się ułożyć i pogodzić: konie i krowy, Szczepan i Juraj. Krowy ci wyhodują takie, Polano, że miło będzie na nie patrzeć. I owce. Wszystkiego będziesz miała dość, nad wszystkim będziesz gazdowała.

No więc, już można oddychać swobodnie i bez postępowania. Możesz nabrać w siebie powietrza, jak kowalski miech. Gdzie zaś, pani gospodyni, izba nie dla parobka! Pójdzie spać do krów, tam jest jego miejsce. Przynajmniej człek nie jest taki samotny, słyszy czyjś oddech. Zdarzy się czasem, że raptem przemówi na głos i sam przestraszy się swoich słów, ale do krowy odezwać się można: odwróci głowę i słucha. Dobrze się śpi w oborze.

Cicho, cicho idzie Juraj do obory. Owionął go ciepły zapach krów, poruszył się łańcuch nad drabiną. Het — het, krówki, to jestem ja. Chwała Bogu, dość tu słomy dla człowieka.

— Już bije godzina dwu-na-sta, chwał Boga, duszo chrześcijańska, i Jezusa, syna jego — — — Nie, tego w Ameryce nie było. — Strzeżcie światła, strzeżcie ognia, by nie spadła na was szkoda. — — —

Huu-huu-huu — — — trąbi stróż, jakby ryczała krowa.

VIII

Szczepan zaprzęga konie do wozu. — Dzień dobry, gospodarzu! — woła. — Czy nie pojedziecie popatrzeć na łąki?

Juraj się trochę krzywi. Cóż to, ja jestem dworski rządca, żeby miał jeździć wozem na oglądanie pola? Ale cóż? Nie ma się nic do roboty, nie można pójść z kosą, aby kosić żyto. Czemuż nie popatrzeć na gazdostwo Polany?

Szerokie portki płócienne ma Szczepan i niebieską zapaskę. Zaraz widać: człowiek z równiny, a czarny jak ten Cygan. — C - - - c — mlaska na konie i wnet wóz pędzi z łoskotem i turkotaniem, a Juraj musi się trzymać drabiny. Ale Szczepan stoi, kapelusz zsunął na tył głowy, lejce trzyma wysoko i biczem igra sobie nad karkami koni. No, no — wolnego, nie ma się czego tak śpieszyć!

— Ech, ty — mówi Juraj niezadowolony — czemu tak mocno ściągasz konie przy pysku! Widzisz, jak miałą wargami, to przecie boli!

Szczepan odwraca się i szczyrzy zęby. — Tak trzeba, gospodarzu — odpowiada. — Żeby zadzierały łby do góry.

— Po co? — pyta Hordubal. — Niech trzymają łby, jak im wygodniej.

— To się dobrze oplaca, gospodarzu — objaśnia Szczepan. — Każdy kupiec patrzy, czy koń zadziera łeb do góry. Patrzcie, gospodarzu, patrzcie, teraz biegną dobrze: na zadnich nogach, a przednimi tylko przebiegają bardzo lekko. C-c-c!

— I nie pędź ich tak! — woła Hordubal.

— Uczą się biegać — odpowiada Manya obojętnie. — Niech się uczą. Cóż po koniu ociążalym, gospodarzu?

Czy Szczepan tak samo wozi Polanę? — myśli Hordubal. — Cała wieś ogląda się za nią pewno. Że to jedzie żona Hordubala, jakby jaka dziedziczka. Ręce założy i jedzie sobie. Może sobie pozwolić — myśli Juraj. — Chwała Bogu, inna jest niż tamte wszystkie kobiety, twarda i prosta jak słup. Gospodarstwo rozbudowała jak dwór, siedem tysięcy utargowała za parę koni, więc może głowę zadzierać do góry. To się, bratku, dobrze oplaca.

— A więc tutaj jest ta równina — wskazuje Szczepan biczem. — Aż po te akacje należy ona do gospodyni.

Hordubal złazi z wozu jak połamany. Roztrząsłeś mnie, diable. A więc to jest ta równina. Prawda, trawa tu jest aż po pas, ale sucha i twarda. I nie gadaj, że to jest grunt buraczany, to jest step.

Manya drapie się po karku. — Dokupić tej łąki aż po skraj, gospodarzu, można by tu paść i trzydzieści koni.

— Nooo — zastrzega się Hordubal. — Tłuste to, bratku, nie jest.

— Jakie tłuste? — uśmiecha się Manya. — Koń, gospodarzu, powinien być suchy. Czy może chcecie, gospodarzu, karmić konia dla rzeźnika?

Hordubal nie odpowiada i podchodzi do koni, aby je pogłaskać po łysinie. — No-no-no, malutki, nie bój się, jesteś zuch. Czemu strzyżesz uszami? A ty, co znowu?

Taka mądra jesteś. Czemu grzebiesz nogą? Czego ci?

Szczepan wyprzęga konie, prostuje się i mówi jakoś twardo: — Nie odzywajcie się, gospodarzu, do koni. Zmiękną!

Hordubal odwraca się ku niemu ostro. Jak ty się odzwasz do gazdy! A może on tylko tak sobie, żeby się konie do mnie nie przyzwyczaiły. No, już ja ci się do twoich koni wtrącać nie będę, ty drabie. No, no, nie trzeba zaraz tak się boczyć na mnie!

Szczepan pozwala koniom paść się swobodnie, a sam bierze kosę i będzie siec trawę. Co za głupiec, że nie wziął drugiej kosy! Juraj wzdycha i ponad równiną spogląda ku górcom nad Krywą. Tam są przynajmniej porządne pola. Prawda, dużo kamieni, ale co pole, to pole: kartofle, owies, żyto. Gdzieś tam żyto jeszcze stoi, indziej wiążą je już w snopki. — A któż to, Szczepanie, kupił nasze pole na górze?

— Niejaki Pjosa — mówi Manya.

Ach Pjosa, Andrej Pjosa, Huzar. I dlatego w karczmie trzymał się z dala. Było mu wstyd, że kobietę pozbawił ziemi. Juraj spogląda ku górcom i jest mu tak dziwno, jakby jego pole zbiegło z góry i siadło na równinie.

— A Rybary są też w dolinie? — pyta Juraj.

— Tutaj w dolinie — rzecze Szczepan. — W tę stronę. Trzy mile drogi.

Trzy mile drogi, no to daleko jeszcze do Rybar. Hordubal nudzi się, więc urywa źdźbło trawy i żuje je. Trawa ma smak kwaskowy i jest jakaś twarda. Tam na górze, na połoninach, trawa smakuje zgoła inaczej, korzennie jakos, macierzankowo. Juraj włóczy się po łące i brnie coraz dalej. Jaka tu równina! Nic nie widać, tylko niebo nad głową, ale to niebo nie jest takie, jak tam, na górze: takie jakies zakurzone, czy co.

A tutaj łąn kukurydzy. Prawda, wysoka na chłopca i chrzęści. Ej, miły Boże, że też kukurydza wygląda tak nieporządnie! Puścić tu świnię, dopieroż byłoby chrząka-

nia! A znowu pole żytne, jak kozuszek! Akacje! Juraj nie lubi akacyj. Tam na górze jest tarnina i trzmielina, jarzębina i jałowiec, a nie ma tam takiej paskudnej akacji. Nie widać już i Mani w tej zapasce i w butach z cholewami. Jakże to, nie odzywać się do konia! I koń jest zwierzę mądre, takie samo jak krowa. Przez rozmowę z człowiekiem staje się łagodniejszy.

Przed Jurajem rozkłada się równina, a z niej wali się na niego smutek. Jakby stał nad morzem. Tam jest inaczej. Odwraca się ku góróm. Ej, wy, i was równina pożera, robi was małymi i głupimi. Iść pod górę, przyjacielu, to się przynajmniej rozumie, co to jest ziemia! Nie, Juraj już tu nie może wytrzymać, więc zawraca ku wsi i pozostawia Szczepana samego z całym jego zaprzęgiem. Popatrzę na żyto — myśli, ale idzie już z godzinę, a góry są jeszcze ciągle gdzieś daleko. I gorąco tu porządnie. Ani wietrzyk nie powieje. Taka to i równina twoja. Kto by to był powiedział, że Szczepan zapuścił się tak daleko? Cmoknął tylko raz i drugi, i już się było na końcu świata. Szybkie konie ma Polana. Na co zdał się koń ociężały?

Hordubal idzie już dobre dwie godziny i nareszcie widzi skraj wsi. Cyganie, hołota brzydka, wyleguje się to między krzakami bielunia i szaleju, a tutaj oto jest już kuźnia przy szosie — — Hordubal przystaje. Coś przychodzi mu do głowy. Ej, Polano, ja ci pokażę! I idzie do kuźni. Hallo, mistrzu, zróbcie mi hak. Co za hak? Taki, jak zaworę do drzwi. Poczekam sobie na niego. Kowal nie poznaje Hordubala, w kuźni ciemno, blask ognia oślepia. Jak ma być hak, niech będzie hak. I kuje, jakby walił piorunem. I co, panie kowalu, dobre konie ma Hordubalowa? No tak, konie ładne, ale pańskie. To nie konie robocze, kumie. Ale podkuwać taką bestię — — dwa chłopcy nie strzymają.

Przygląda się Juraj temu kawalkowi rozżarzonego żelaza. Coś ci przyniosę, Polano, coś, co się przyda w gospodarstwie. A ile, kowalu, może taki koń kosztować? Panie Boże odpuść, spluwa kowal, chce za jednego podobno aż

osiem tysięcy! Tyle pieniędzy za jednego konia? Złamię nogę taki dzikusi i co ci zostanie? Lepszy już huculski konik albo taki ciężki wałach roboczy, z zadem jak ołtarz, z piersią jak organy. Juścić, bywały dawniej konie po dworach, ale teraz — — traktor! Słysząc, że dziedzic wyprzedaje się z łąk. Na co, powiada, siano, na co konie, kiedy teraz wszystko maszyny.

Hordubal przyświadcza skinieniem głowy. Prawda, maszyny. Jak w Ameryce. Muszę przypilnować, żeby Polana nie narobiła głupstw. Nastaną maszyny i co zrobisz ze swoimi końmi? Aha, więc widzisz sama. Nie, nie, Polano, nie dam dolarów na łąkę. Kawał roli i krowy, to co innego. Maszynami się ludzie nie najedzą. I że się to niby nie opłaca. No, choćby się nawet nie opłacało. Ale masz mleko i ziarno. To też coś znaczy.

Hordubal wraca do domu i niesie kawał żelaza, jeszcze gorącego. Polana — pewno gotuje obiad. Juraj zakrada się po schodkach na strych i przymocowuje hak do wewnętrznej strony drzwiczek. Tak, jeszcze tylko ten krążek — — Po schodkach wchodzi Polana i patrzy, co też ten Juraj tak majstruje. Zapyta go się? Nie, nie pyta, tylko uparcie patrzy.

— Już zrobione, Polano — mruży Hordubal. — Przymocowałem ci tu hak, żebyś mogła się zamykać.

IX

Zaczyna ci już być głupio, Juro Juraju. Włóczysz się po podwórku, gapisz się i nie wiesz, co robić. Wziąć się do kapusty? To robota nie dla chłopca. Karmić drób? Doglądać świń? To wszystko praca babska. Wszystkie drzewo już potarte i porąbane, płot naprawiony, to i owo zrobione z drzewa. Gapisz się jak stary Cyryl, co miele pustymi bezzębnymi ustami na podwórku Michała Herpaka. A sąsiadki spoglądają i myślą: ładny gazda! Łazi po podwórku z rękoma w kieszeniach i ziewa. Bodajś sobie szczękę wykręcił!

Tam w dolinie na łąkach jest Manya, więc cóż mam robić? Siedz tam sobie, co mnie do równiny! Patrzcie go, parobek, a dogaduje: żebyście, gospodarzu, to, żebyście owo. I żebyś wiedział, zrobię! Nie potrzebuję niczych rozkazów, ale jeśli coś ma być z drzewa, zrobię! Dawniej lasy wyrąbывano, a teraz podobno nikt drzewa nie kupuje, tartaki stoją, drzewo gnije.

Ach, miły Boże, żeby tak znowu krowy pasać! Nie dwie krówki, bo to tylko ludziom na śmiech, ale dwanaście krów, i pędzić je gdzieś daleko, choćby na Wołowy Chrbat, a w rękę mieć siekierę na niedźwiedzia. I nikt nie powie: nie gadaj do krów! Trzeba czasem krzyknąć coś bydłatku.

Ale Polana ani słyszeć o tym nie chce. Powiada, że osiem set da ci rzeźnik za krowę i jeszcze się krzywi, jakby ci łaskę robił. Co mi do rzeźnika! Dla siebie chowałbym bydło. Ale jeśli nie chcesz, dobrze. Pieniędzy w łąkę pchać nie będę.

Albo zaprzęgać krowy do wozu i wyjechać w pole, żeby zwozić plon. Człowiek idzie, idzie, z jedną ręką na jarzmie. Ruszaj, stara, ale nie ma nic pilnego, krowie kroki w sam raz. Nawet w Ameryce nie przywykłem do innego kroku: tylko tak, jak krowa chodzi. A potem z plonami do domu, łapać czasem koło za szprychy, cały naładowany wóz trzymać w rękę, człek wtedy czuje przynajmniej, że chwalić Boga, ma łapy. Taka jest, Polano, robota chłopska. Ach, zmiłuj się, Boże, nad tą nędzą, bo ręce zmiękną na nic! I takie przecie dobre ręce, zręczne, twarde, amerykańskie.

Cóż, Polano, tobie dobrze biegać, bo masz ciągle robotę: tu kurki, tu świnię, tu znowu coś w obórce, ale chłopu wstyd wystawać u płota. Gdybyś przynajmniej powiedział: mógłbyś, Juraju, zrobić to albo tamto. Ale ty śmigasz, jak ta strzała, i nawet pogadać z tobą nie można. Mógłbym Ci, Polano, dużo naopowiadać, na przykład, że w Ameryce może chłop zmiatać izbę, zmywać statki i szorować podłogę, i to nie wstyd. Dobrze jest babom w Ameryce. Ale ty się zaraz dąsasz, jak tylko wezmę coś w rękę, że to nie pa-

suje, że ludzie śmiać się będą. No to cò? Niech się śmieją, głupcy! Gdy robię cò w stajni, karmię albo poję konie — Szczepan krzywi się na mnie. Że niby z końmi nie należy gadać i tego i owego. Sama wiesz. I w ogóle jest taki nasrozony, mało czleka nie zeżre tymi czarnymi oczami. Nawet z gospodynią nie rozmawia, jakby mu się nie chciało gęby otwierać, tylko tymi ślepiami zerka. Zły jest jakiś, aż żółknie ze złości i dusi się. I Polana też się go boi, więc mówi do Hafii: — Idź, Hafio, do Szczepana, żeby zrobił to i to, albo: zapytaj Szczepana, jak jest z tym czy z owym — — Hafia się nie boi. Wujaszku — powie do niego, a on sadza ją sobie na kolanach i kołysze ją: — Tak pan jedzie po obiedzie, tak chłop, tak chłop, tak chłop! I śpiewa jej, ale jak kogo zobaczy, zaraz się nadaśa i włazi do stajni.

Hordubal drapie się po głowie. Ki diabeł, że mnie się Hafia boi? Bawi się, bawi, ale jak tylko wyjdę, patrzy na mnie bezustannie i myśli tylko, jakby uciec — — No to sobie idź! A ja bym ci, Hafio, strugał zabawki, żebyś tylko chciała oprzeć głowę o moje ramię i czekać z ciekawością, co też to będzie? I wiele mógłbym ci naopowiadać o Ameryce, dziewczynko. Murzyni tam są i tyle maszyn przeróżnych, ale Pan Bóg z tobą, Hafio, idź już sobie do tego swego Szczepana. Nie kuksaj jej, Polano, biciem nikogo nie obłaskawisz. Ale gdybyś się czasem przysiadła, gdybyśmy z sobą rozmawiali, podeszłaby do nas Hafia, łokciem wsparłaby się na moim kolanie, ja mógłbym opowiadać o Bóg wie czym, dziecko słuchałoby z rozwartą gębulą... No, może zimą, zimą przy piecu — —

Ze wsi dolatuje dziki krzyk spłoszonych gęsi i turkotanie wozu — Manya wraca. Juraj machnął ręką i poszedł zniknąć za stodołą. Còz miałby tu wystawać jak jaki nierób i gapić się tylko. Wiesz garstkę siana, a hałas narobisz tyle, jakbyś wiozł Bóg wie co! — — A tu jest cicho, tak cicho, jakby człowiek był gdzieś za górami, za lasami. Ogrodowi pozwolili zestarzeć się: gruszki tu dawniej dojrzewały i śliwki, a teraz nic. Należałoby powycinać

te przestarzałe drzewa i nasadzić jesienią nowych, ale gdzie tam! Już tu nie ma nic starego i dawnego, co tu było niegdyś, pozostały tylko te nieplodne drzewa. A stójcie tu sobie, Bóg z wami! Cienisty ogródek tu był, a teraz ryją tu świnie. A co pokrzyw, miły Boże!

Juścić, dużo widziałem różności w tej Ameryce, więc i tutaj można by niejedno zrobić tak, jak tam robią. Ładne rzeczy tam mają, zręczne takie, już choćby samych narzędzi ileż tam jest! Albo takie hodowanie jarzyn. Czy lepiej — królików. Ale króliki hoduje się najlepiej przy odpadkach jarzyn. Niejedno dałoby się zrobić i niejedno bym zrobił, żebyś tylko, Polano, spojrzeć chciała, popatrzeć, co ten Juraj robi. Cóż to będzie, Juraju? Klatki dla królików. Hafia będzie miała uciechę i futerko jej z królików uszyjesz. Albo na ten przykład gołębnik, albo ul. Nie chciałybyś mieć pszczółek? Mógłbym porobić ule, nie takie pniaczki, ale prawdziwe ule, z okienkiem w tyle, żeby było widać, co się w środku dzieje. W Johnstown był jeden majner, Polak, wielki pszczelarz. Pomyśl tylko, nawet taką siatkę drucianą nosił na głowie. Dużo się człowiek nauczy w świecie. Gdybyś chciała, Polano, gdybyś tylko spojrzała — zrobiłoby się niejedno. Albo żebyś zapytała, jak to i to robią w Ameryce? Ale ty się nie pytasz, więc trudno ci o tym mówić. Wstyd człowiekowi, żeby miał wszystko robić tylko dla własnej uciechy i tylko dla siebie, jakby się bawił. Ale dla kogoś innego — — splunie w garść, robi i jeszcze sobie pogwizduje. Tak się rzeczy mają, Polano.

Chwałaż ci, Boże, że już podzwaniają krowy, że już nadszedł wieczór. Zaraz przyjdą i nasze krowki, trzeba je przywiązać, napoić, wydoić, pogłaskać. Przyjdzie Hafia i zawoła: Szczepanie, tatku, na wieczerzę! Szczepan głośno siorbie, Polana milczy, Hafia szepcze coś wujaszкови Szczepanowi, a potem, coź robić? Dobranoc wszystkim. Hafia śpi w izbie, Polana na strychu. Szczepan w stajni. Jeszcze trzeba obejść podwórko i wleźć do obory spać.

A tam, z rękoma pod głową gadaj sobie nawet głośno, co i jak można by zrobić i jak mogłoby wszystko być.

A krówki — jakby rozumiały: obracają głowy i patrzą.

X

— Powiedz, Hafio, że wrócę dopiero wieczorem.

Kawał chleba i słoniny i dalejże w góry! Hordubalowi jest tak jakoś lekko, a zarazem tęsknie, jak dziecku, które uciekło od matki. Stoi nad wsią i patrzy. Ile się tu zmieniło! Cóż się stało takiego? Że ten grunt należał do Hordubala? Prawda, było tu dużo kamieni, a jednak Pjosa zebrał tu sporo żyta, kartofle też ma i kawałek lnu. Tak się oto grunta Pjosa połączyły z gruntem Hordubala. Ale nieco wyżej, koło tej jarzębiny, jest widok na całą wieś. Tutaj nie można się dość nadziwić bożej mądrości. Krywa nazywa się wieś i jest naprawdę krzywa, wygięta w łuk jak leżąca krowa. Strzecha za strzechą wszystkie podobne do siebie jak stado owiec. Ale tamten biały dworek, to dom Polany. Wyróżnia się i po prostu nie pasuje do tych innych chałup — myśli Juraj. Strzecha czerwona, nowa, że aż się chce pytać, kto też się tu przyprowadził? Pewnie jacyś z równiny, gdzie nie ma drzewa, więc budować się muszą inaczej, domy mają z cegieł.

Równina! Widać stąd i równinę. Modra, prosta — jak morze i taka wielka pustka. Dlatego tak szybko tam jeżdżą. Droga jest tam smutna, idziesz, a jest ci tak, jakbyś dreptał w jednym miejscu. Nie chodzi się na równinę szukać pięknych widoków, ale tutaj jest jakby święto, człowiek może iść tylko naprzód i wciąż ma dość powodów, żeby iść coraz dalej. Dostać się tutaj za ten skręt drogi, tam do tego świerka, przez górne pastwisko, a gdy się już dotarło do niego, jakże nie iść do lasu! Ku południu las jest bukowy, same szare i jasne pnie, jakby się między nimi rozpostarła mgła, a tu i owdzie, gdzie tylko spojrzeć, jasnymi płomykami kwitnie gdula. Tu zaś, patrzajcież, jaki płowy grzyb, jak

rozpycha suche liście! Jaka krzepka, biała noga! Zostawię cię tu, ty grzybie, borowiku, nie narwę ani dzwonek, ani kukuleczek, ale najwyżej parę gałązek jagód dla Hafii, w dole na skraju lasu, gdzie są najśodsze. Hordubal przystaje i powstrzymuje oddech: sarna! Tam, opodal zatrzymała się sarenka, płowa i jasna, jak to listowie zeszłoroczne, przystanęła wśród paproci i uważa: człowiek ty jesteś czy pieniek? Jestem pień, ścięte drzewo, czarna gałąź, tylko nie uciekaj! Czy i ty się mnie boisz, zwierzątko dzikie? Nie, nie boi się, zrywa listek, patrzy i miele pyszczkiem jak koza. Me-mee — powiada, tupnie kopytkami i pędzi dalej. I Juraj jest nagle jakoś dziwnie szczęśliwy; lekko idzie się pod górę i o niczym się nie myśli. Idzie, idzie i jest mu dobrze. Sarnę widziałem — powie Hafii wieczorem. — Ojej! A gdzie? — W lesie, ale wysoko w górach, bo na równinie, Hafio, nie ma saren.

A zaś tutaj jest już tak jakoś, nie wiadomo jak. Jakiś zrąb czy ściana rozwalona, porozrzucane belki i słupy, ale takie, że i dzwonnice można by z nich zbudować, pozarastane lulkami i wronim okiem, dzikimi liliami i ciemiernikiem, paprociami i bodziszkiem... Dziwne zaiste miejsce i jakby zaczarowane; tutaj las obraca się ku północy. Czarny tu bór, zarosły mchami, czarna ziemia i wilgotna miejscami, a mówią ludzie, że tu nawet straszy. Rosną tu bedłki białawe i przezroczyście jakieś jak galareta, pleni się zajęcza koniczyna i jest ciemno, zawsze tak ciemno. Ani tu wiewiórki, ani muszki nie słyhać, taki tu jest czarny bór, że i dzieciaki boją się tędy chodzić, i chłop dorosły przeżegna się w takim miejscu. Lecz oto już skraj lasu, czarne jagody po kolana, istne zatrzęsienie mchów przeróżnych, jeżyny łapią cię za nogi, ej, człowiecze, niełatwo wypuści cię las na połoninę, musisz przebrnąć przez gąszcz jak odyniec. I hajda! Jakby cię sam las wystrzelił, jakby cię wypłuł z siebie, stoisz na połoninie, niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!

Szeroka jest połonina. Tu i owdzie stoją świerki wielkie

i potężne jak kościół, aż się człowiekowi chce zdjąć kape-
lusz i głośno kogoś pozdrowić. A trawa jest gładka, śliska
i króciutka, chodzi się po niej miękko jak po kobiercu.
Długa i lysa połonina między lasami rozlała się szeroko,
niebo sklepiła nad sobą, a lasy odgarnęła na bok. Jak gdy-
by chłop obnażył pierś i leżał, leżał, gapiąc się w niebo...
Ach, ach, jak dobrze się tutaj oddycha! I Juraj Hordubal
staje się nagle malutki jak mrówka i pędzi szeroką połoni-
ną, dokądże, dokąd, mróweczko? A tam, na sam wierzch
góry, gdzie się pasą te czerwone mróweczki. Tam ja sobie
pójdę. Szeroka jest połonina!

Szeroka jest, miły Boże. Dla stada wołów? Te czerwone
punkciki w dali? Dobrze Pan Bóg stworzył świat; spoglą-
da z nieba na ziemię i mówi sobie: ten czarny punkcik, to
niejaki Hordubal, a znowu ten jasny tam dalej, to Polana.
Muszę uważać, czy się te dwa punkciki z sobą spotkają.
Czy może należałoby popchnąć je ku sobie palcem? A tu
po zboczcu pędzi coś czarnego i prosto ku mnie. Co zacz ta-
kie stworzenie? Pędzi, wali się z góry na pazury... Ach, to
czarne psisko, i szczeka, szczeka, jakby sobie chciało pysk
rozedrzyć. Idźże ty głupi, czyż ja wyglądam na zbójnika?
No pójdź tu, jesteś dobry piesek. Idę w gości do pastucha
na górze. Już słyhać dzwonięcie stada. — Hej-hej! —
woła pastuch, a woły wielkimi spokojnymi oczami spoglą-
dają na Juraja, machają ogonami i pasą się dalej. Pastuch
stoi bez ruchu jak krzak jałowca i patrzy na nadchodzą-
cego.

— Hej! — woła Juraj — czy to ty, Misiu? No? chwala
Bogu!

Misio nic, tylko patrzy.

— Nie znasz mnie? Jestem Hordubal.

— A, Hordubal — mówi Misio i nie dziwi się. Bo i cze-
mu się dziwić?

— Z Ameryki wróciłem.

— Co?

— Z Ameryki.

- A, z Ameryki.
- Czyje woły pasiesz, Misiu?
- Co?
- Czyje to woły?
- A czyje mają być? Z Krywej.
- Tak, tak, z Krywej. Ładne zwierzęta. No a ty, Misiu, zdrow jesteś? Przyszedłem pogadać z tobą.
- Co?
- Pogadać trochę.
- Misio nic, tylko mruga. Tu na górze odzwyczaił się od gadania. Hordubal kładzie się w trawie i wsparty na rękę wtyka sobie do ust zerwane źdźbło trawy. Tu jest inny świat, nawet rozmawiać nie trzeba. Obejdzie się. Od kwietnia do września pasie tu bydło Misio i przez cały tydzień nie widuje żywego ducha.
- No, cóż, Misiu, czy byłeś kiedy tam w dole, gdzie jest równina?
- Co?
- Byłeś na równinie, Misiu?
- A, na równinie? Nie byłem.
- A tam, na górze, na Durnom, byłeś?
- Byłem.
- A tutaj, za tą górą nie byłeś?
- Nie byłem.
- Widzisz człowieku, a ja aż do Ameryki się zawłokłem. I co z tego mam? Nawet żony własnej teraz nie rozumiem.
- Tam to już inne są pastwiska — powiada Misio.
- A słuchaj no — pyta Juraj, jak pytywał, gdy był jeszcze chłopcem — co to za ściana rozwalona, ten zrąb w lesie?
- Co?
- Ten zrąb w lesie.
- A, ten... — Misio w zamyśleniu pyka swoją fajeczką. — Kto go tam wie. Podobno zbójnicy chcieli tam zamek budować. Ale bo to ludzie wiedzą?
- I prawda to, że tam straszy?

— Czy prawda? — powtórzył Misio ze wzruszeniem ramion.

Hordubal położył się na wznak. Dobrze tu być, myśli. A co dzieje się na dole, sam już nie wiesz. Mrowią się tam ludzie na podwórku, jeden drugiemu zawadza i omal że nie rzucą się na siebie jak koguty. Aż usta bolą, tak je mocno zaciskasz, żeby głośno nie krzyknąć.

— Żonę masz, Misiu?

— Co?

— Czy masz żonę?

— Nie mam.

Nad równiną nie ma takich obłoków jak tutaj. Tam niebo jest puste, ale tutaj obłoki jak krowy na pastwisku. Człowiek leży sobie na murawie i pasie. Obłoki zdają się płynąć, a człowiek płynie razem z nimi i dziwi się, że może stawać się takim lekkim i płynąć z obłokami. Dokąd pójdą te obłoki wieczorem? Będzie tak, jakby się rozplynęły, ale czy może coś zapodziać się i zagubić bez śladu?

Hordubal znowu wsparł się na łokciu. — Chciałem cię zapytać, Misiu, czy nie znasz jakiego ziela na miłość.

— Co?

— Ziela, co wzbudza miłość, lubczyka. Żeby się na ten przykład dziewczyna w tobie zakochała.

— A — mruczy Misio — ja tego nie chcę.

— Ty nie chcesz, ale inny mógłby chcieć.

— Na co to? — gniewa się Misio. — Nie potrzeba.

— Nie znasz takiego ziela?

— Nie znam. — Misio splunął. — Nie jestem Cyganką.

— Ale leczyć potrafisz, Misiu, nieprawdaż?

Misio nic, tylko mruga. — A bo ty wiesz, na co umiesz? — wyrывa mu się nagle.

Hordubal usiadł z bijącym sercem. — Sądziś, Misiu, że niedługo?

Misio mruga w zamyśleniu. — A Bóg raczy wiedzieć. Długoż człek żyje?

— A ty, Misiu, ile masz lat?

— Co?

— Ile masz lat?

— Tęgo nie wiem. Na co mi wiedzieć?

— Ba, na co wiedzieć? — westchnął Juraj. — Na co wiedzieć, na przykład, co myśli Polana. Tam na dole człek się tym męczy. Ale tutaj? Myśl sobie, duszko, co ci się podoba. Gdybyś była szczęśliwa, to byś nie myślała. Aż dziw, jakie to wszystko jest dalekie, gdy się jest tutaj. Robi się smutno od tej dalekości. Zdaje się, jakby człek spoglądał na siebie z takiej wielkiej wyżyny i widzi siebie, biegającego po podwórku, rozgniewanego i rozmyślającego, a w gruncie rzeczy jest tylko taką podrażnioną mróweczką, która nie wie, co z sobą zrobić.

Wielki pokój splywa na Juraja, tak wielki, że aż boli w jakiś dziwny sposób. Patrzcie na niego, takie chłopisko, taki wielki drab, a wzdycha i wzdycha pod brzemieniem pokrzepienia. Ale teraz nie chciałby jeszcze wstać i nieść to wszystko na dół, w dolinę. Co to jest: nie chciałby? Nie mógłby! Cicho, cicho leżeć, żeby się wszystko uleżało i uspokoiło. Może należałoby czekać tak w ciągu dni i tygodni, dopóki to wszystko nie zapadnie się w sobie. Niech krążą niebiosa, niech pochyli głowę wół i obwacha sapliwie ludzką twarz, niech się przygląda świstak, czy to kamień tu leży. Tak, to kamień, więc dalej, hyc na niego, sięść na zadnich łapkach i wietrzyć! Z rękoma rozłożonymi leży Hordubal na wznak. Nie ma Hordubala, nie ma i Polany — tylko niebo i ziemia i dzwonienie stad. Rozpływają się obłoki i nic po nich nie zbędzie, nawet tyle, ile zostaje po chuchnięciu na szkło. Myśli wolek, że tyle czeka na niego biegający, a to tylko podzwanie z oddali. Na co wiedzieć, co jest i jak jest? Patrz! I Bóg patrzy. Jakie ogromne oko, a takie spokojne jak spojrzenie bydłęcia. Ten wiatr, to coś, jak gdyby sam czas płynął i huczał. Skąd bierze się go aż tyle? Ale na co to wiedzieć?

Nadchodzi wieczór i Juraj wraca do domu, idzie poloniną i dociera do lasu, idzie sobie lekko i długo. Już wyrów-

nało się w nim brzemień pokoju i nawet nie trzeba myśleć o niczym. Dobrze, Polano, dobrze, już nie będę się kręcił koło ciebie, za mało dla dwojga miejsca na podwórku. Znajdzie się dla mnie praca u kogo, a jeśli nie, będę tu siedział i czekał, czekał aż do wieczora. I czemużby nie? Długoż to człowiek żyje? Czemuż, proszę cię, miałyby sobie przeszkadzać dwie mrówki, gdy miejsca taki nadmiar, że aż nie pojmujesz, skąd bierze się go tyle. A ja mogę sobie patrzeć i z daleka. Chwała Bogu, dosyć tu szczytów, z których może człowiek spoglądać ku domowi. Można wdrapać się Stwórcy aż na ramię i spoglądać wniżej na samego siebie. Tak jak obłoki: wznoszą się i rozplywają niby technienie.

Już rozbrzmiewa Anioł Pański stad, a Hordubal wciąż jeszcze siedzi na tymiankowej miedzy z bukiecikiem w ręku i spogląda w dół na tę nową czerwoną strzechę. I podwórko widać jak rozwartą dłoń. Zabrać tu z sobą Hafię i pokazać jej to. Patrz Hafio, czyliż to nie jest jak zabawka? Na podwórko wychodzi maluteńka jasna postać i stoi, stoi. A potem, ze stajni wychodzi druga malutka postać, ciemniejsza, podchodzi ku niej i stoi także. I nie poruszają się — jak zabawki. Mrówki ruszałyby mackami i biegałyby żwawo, podczas gdy ludzie są tacy dziwni: stoją obok siebie i nic. Na co to wiedzieć? — myśli Hordubal. Ale dziwne to, że tak długo, tak nieruchomo stoją. Aż strach oblata człeka, że stoją tak bez ruchu. I to miałyby być pokój, Juraju, który niosłeś sobie zwyczaj? To brzemień, które cię przytłacza? Nabrałeś tam czegoś aż za wiele, i to jest smutek. Rozwarłeś ramiona i dźwigasz teraz — krzyż. A tych dwoje tam w dole stoi, stoi — Ach, Jezusie, niechże się już poruszają! I nagle jasna malutka postać drgnęła i znikła. A ciemna postać stoi dalej i nie rusza się, a potem, chwała Bogu, znika także.

Z bukiecikiem jagód wraca Hordubal. Nie ma nic prócz tego bukiecika i na dobitkę zapomina go na podwórku. Czwooro ludzi siedzi przy stole z wieczerzą. Omal nie zaczął

mówić Hafii o tym, że widział sarnę, ale nie powie tego, bo słowa rozrastają mu się w ustach jak kąski. Polana nie je, blada jest, jakby z kości wystrugana. Szczepan chmurzy się nad talerzem, krzywi się, kruszy chleb w palcach, nagle rzuca nóż na stół i wybiega, jakby się dusił.

— Co się stało wujaszskowi Szczepanowi? — z westchnieniem szepcze Hafia.

Polana nic, zbiera talerze ze stołu, jest blada i sina, aż jej zęby szcękają.

A Hordubal idzie do krówek. Łyska obraca ku niemu głowę, jej łańcuch brzęczy. Cóż ci się stało, gazdo, że odychasz tak głośno? Ech, łysko, na co to wiedzieć? Na co wiedzieć? Ale to ciężka rzecz, cięższa od łańcucha. Tam na górze podzwaniałibyśmy dzwonekami, ty i ja. Ile tam miejsca! I Bóg się tam zmieści, ale wśród ludzi jest ciasno. Dwoje, troje ludzi, łysko, a tak ciasno wśród nich! Czyż nie słyhać brzęczenia ich łańcuchów?

XI

Schlał się tej nocy Manya, jak zwierzę się schlał. Nie tutaj w Krywej, ale aż hen w Tolczemeszu, u Żyda, pobił się z parobkami i podobno nawet nożami się pokłuli. Któż go tam wie! Powrócił dopiero nad ranem, spuchnięty i pobity, a teraz wysypia się w stajni. Należałoby konie напоić, myśli Juraj, ale nie będę ci się mieszał do twoich rzeczy. Skoro nie wolno odzywać się do koni, niech będzie i tak. Sam się o nie kłopotcz. A Polana — jak cień. Lepiej nie patrzeć na nią. Takie to sprawy — chmurzy się Hordubal. Cóż robić?

A gorąco, gorąco, jak przed burzą. Muchy dokuczają, co za ohydny dzień! Juraj wlecze się do ogrodu za stodołą. Ale i tu jest jakoś dziwnie. Co to jest? Pokrzywy aż duszą i na co tu tyle skorup? Niechlujstwo cygańskie... Polana jak cień. Siedzi gdzieś w komorze i nic. No, Bóg z tobą, ale wiesz, ciężko tu człowiekowi. Spochmurniały Hordubal

drapie się uważnie po wilgotnej potylicy. Burza będzie na pewno, powinien by Szczepan zwieźć siano do domu — —

Hordubal przelazi przez płot i obchodzi wioskę od tyłu, żeby rozejrzeć się po niebie, co i jak. Wieś widziana od tyłu podobna jest do stołu, gdy się nań patrzy od podłogi: nic, tylko szorstkie drzewo i wręby. I jest jakoś tak, jakby cię nikt nie widział, jakbyś się z całym światem bawił w chowanego. Tylko płoty i łopuch, kapusta poogryzana przez liszki, a tam jakieś śmietnisko, szalej, blekot i Cyganie, cygańskie lepianki za wsią... Juraj przystaje i waha się: miły Boże, gdzie też ja tu zaszedłem! Polana jest sama, Szczepan leży nieprzytomny w stajni. Hordubal poczuł kolatanie serca. Do diabła z Cyganichą! Akurat tu się rozsiadła i iska Cyganię.

— A czego tobie, panie? — skrzeczy Cyganka.

— Cyganko, Cyganko — drętwieje Juraj — umiałabyś ty ugotować napój miłosny?

— Czemużby nie? — śmieje się Cyganka. — A co mi dasz?

— Dolara, amerykańskiego dolara — wyrwało się Hordubalowi. — Dwa dolary — —

— Ech, ty, drański chłopie! — krzyczy Cyganka. — Za dwa dolary, powiedzmy, nawet psa nie sparzysz, za dwa dolary, powiedzmy, nawet krowy nie zaczarujesz — —

— Dziesięć dolarów — szepcze wzburzony Hordubal — dziesięć, Cyganko!

Cyganka uspokoiła się od razu. — Dawaj! — powiada i wyciąga brudną łapę.

Jurajowi trzęsą się palce od gorączkowego grzebania w pieniądzech. — Ale zrób dobre czary, Cyganko, nie na jedną noc, nie na miesiąc i na rok. — Żeby serce zmiękło, żeby się język rozwiązał, żeby mnie mile widziała — —

— Hej — przyświadcza mrukiem Cyganka. — Ilko, roznieć ogień!

Grzebie w worku, ręce ma pomarszczone i suche jak ptasie szpony. Ach, cóż za wstyd! Niebo się chmurzy, bę-

dzie burza. Śpiesz się, Cyganko, a żywo — — Widzisz, widzisz, Polano, coś ze mnie zrobiła!

Cyganka mruczy i rzuca do kociołka po szczypcie czegoś wyjmowanego z worka. Czuć to obrzydliwie, a Cyganka ciągle coś mruczy, potrząsa głową i czaruje szponami. Okropne to jest dla Juraja, chciałby się zapaść w ziemię. To dla ciebie, Polano! Tylko ty, tylko ty! Och, jakież grzech!

Juraj biegnie do domu, niesie czary i biegnie, będzie burza. W ślad za krową, zwożącą plony z pola, za dreptaniem biegnącego dziecka podnosi się kurz. Spocony Hordubal otwiera furtkę ogrodu i musi przystanąć, oprzeć się o płot. To dla ciebie, Polano. I nagle ze stajni wybiega trzylatek, staje, rzy i szybko pędzi ku wrotom.

— O-o-o! — krzyczy Juraj i podnosi przeciwko niemu ramiona. Z domu wybiega Polana.

Koń staje na zadnich nogach, obraca się, pędzi przez podwórko z piersią wypiętą i schylonym zadem, kopiąc kopytami ziemię.

I Bóg wie, skąd się raptem wzięła Hafia, biegnie przez podwórko ku matce, piszczy ze zgrozy i pada. Krzyknęła Polana, ryknął Hordubal. Och, nogi zdrętwiały! Czyż nie zdołam skoczyć? A tu znowu biegnie Manya, białe rękawy wiewają na wietrze, koń stanął dęba, a w jego grzywie wisi chłop. Koń szarpie nim, ech, nie strąśniesz go, koniu, wpił się w twą szyję jak dziki kot. Koń odskakuje, podrzuca łbem i zadem na przemian. Bęc! Manya leci ku ziemi, ale trzyma się grzywy, klęczy i ciągnie konia ku ziemi. I teraz dopiero rozwiązały się nogi Hordubala, więc biegnie po Hafię. Koń wlecze Manę przez podwórko, ale Szczepan opiera się piętami i ciągnie go za grzywę. Hordubal przyciska dziecko do piersi i chciałby je zanieść w miejsce bezpieczne, ale zapomina o wszystkim dla widoku, jaki ma przed sobą w człowieku i zwierzęciu. Polana z rękoma na sercu patrzy — — Nagle Manya zaśmiał się przejmującym

uśmiechem, zarżał jak koń i w chyżych podskokach odprowadza chrapiącego ogiera do stajni.

— Na, weź dziecko — mówi Hordubal, ale Polana nie słyszy. — Polano! Słyszysz! Polano!

Po raz pierwszy Juraj kładzie jej rękę na ramieniu. — Polano! Hafia! — Podniosła oczy. Ach, czyś ty miała kiedy takie oczy, czy oddychałaś kiedykolwiek w taki sposób, z usty otwartymi? Jak wypiękniałaś nagle! Ale wnetże to zgasło.

— Nic jej się nie stało — mruczy i odnosi szlochające dziecko do domu.

Ze stajni wychodzi Manya, rękawem ociera krew z nosa, spluwa krwią. — Już dobrze — powiada.

— Pójdź — mówi Hordubal — pójdź, Szczepanie, napompuję ci wody na głowę.

Szczepan prycha z rozkoszą pod strumieniem wody i wesoło, rozrzutnie rozpryskuje wodę na wszystkie strony. — Dobrze było, co? — mówi z ożywieniem. — Rozpalił się ogierek, gospodarzu, i dlatego zdziczał raptem. — Manya wyszczerza zęby, mokry i ze zwichrzonym czubem. — Hej, jaki to ogier będzie!

Juraj chciałby rzec Szczepanowi, że zuch z niego, że dobrze konika wziął za łeb, ale między chłopami takich rzeczy się nie mówi. — Będzie burza — mruknął i powlókł się za stodołę. Na południu niebo jest czarne, złe są burze nadciągające z nizin. Ogierek się rozpalił i dziwna rzecz, że niemoc człekowi nogi odejmie, tak iż nawet dziecku na pomoc skoczyć nie może. Pewnie już jestem stary, Polano, czy co... Dziwna rzecz: nogi zdrętwieją, jak oczarowane.

Boże wielki, jakie czarne chmury! Już grzmi. Cyganka robi swoje czary i patrzcież, ogierek się rozpala, a ja nie potrafię skoczyć i złapać konia za grzywę, nie — tylko drętwieję i gapię się. Ja nie skoczę, ale Szczepan skoczy. Czemuż by nie skoczył, gdy jest młody? Ach, Polano, Polano, czemu tak patrzyłaś, czemu tak wypiękniałaś?

A burza tuż! Burza jak koń oszalała: kopytami krzesze iskry i rży. Już ty nie skoczysz, by złapać konia za grzywę! Nogi nie pytają i same się wahają. Nie skoczysz z jasnym okrzykiem, ale Szczepan owszem. Tfy! Wstrętne są czary cygańskie, że aż ogierek się rozpala i takie różne rzeczy się stają. A tobie się zdaje, że to Polana. To czemu ty sam nie skoczyłeś ku koniowi? Patrzyłaby Polana z rękoma na sercu i z oczyma — jak nigdy.

Juraj mruga i nawet nie czuje na karku ciepłych kropeł deszczu. Niebo się rozrywa, słychać grzmoty i loskot, Hordubal żegna się automatycznie i nie może ustać na miejscu. Jeszcze nie pójdzie, naprzód trzeba wylać między pokrzywy czary Cyganki. A potem szybko pod strzechę drwalni i patrzeć, jak szaleje burza.

XII

Gdzieżby mógł być? Wlaźł za stodołę i rozmyśla. Na przykład myśli tak: dajmy na to, że jestem stary. Ale bardzo proszę, co to znowu takiego? Żyjesz z dnia na dzień, dziś tak samo jak wczoraj i nagle — stary! Jakby na ciebie czary rzucono. Już nie schwytasz spłoszonego konia za grzywę, nie pobijesz się w karczmie. Zamiast chwycić konia, podnosisz — dziecko. Być może, że dawniej byłbym chwycił konia. I żebyś wiedziała, kiedyś pobiliem się nawet w karczmie, chwalebnie się pobiliem z Geryczem. Zapytaj Wasyla, Polano. I nagle — stary! Polana nie jest stara.

Ale niechby sobie był i stary. Dobrze i dziecko podnieść. Ech, Polano, mógłbym ci pokazać, na ten przykład, jaki ze mnie gazda. Mogłabyś sobie żyć jak szlachcianka, dziewczki posyłać do roboty i tylko rozkazywać. Hej, Maryka, kurom ziarno syp, a żwawo! Aksenia, daj krowom wody! Prawda, że mi skradli trzy tysiące dolarów, ale mam jeszcze siedem set, można by zacząć to i owo. Tak, duszko, nie na próżno byłem w Ameryce. Młody, niemłody, przynajmniej pozna-

łem, jak tam jest na świecie. A tu raptem gadają, że nie oplaca się hodowla krów. Głupstwo! Trzeba umieć je sprzedać. W Ameryce, dajmy na to, chłop nie czeka, aż przyjdzie do niego rzeźnik, ale sam jedzie do miasta i zawiera umowę: tyle a tyle sztuk rocznie, tyle a tyle miar mleka dziennie, all right. Tak się to robi. Czemu by tego nie można było robić i tutaj? Kupić wózek i konika — sprzedać swoje konie, Polano, ja chcę konika, z którym można porozmawiać i którym można jeździć do miasta. No, Amerykanin, zna się na rzeczy, nie na próżno był w świecie. Do domu wozi pieniędzy pełen trzos. Przyjdą potem sąsiedzi: czy nie mógłbyś, Juraju, sprzedać w mieście parę gęsi? Czemu nie, lecz nie tak, żeby z gąską pod pachą szukać kupca. Ale pięćdziesiąt czy sto gęsi tygodniowo — mieć takie gospody i hajda z towarem do miasta! Tak się, sąsiedzi, robi business. Albo drzewo opałowe — pięćdziesiąt wozów drzewa! Kartofle — wagonami. Patrzcie no, ten Hordubal, jakich rozumów nazwoził sobie z Ameryki! I ty sama, Polano, powiesz jeszcze, że Juraj jest mądry i że żaden młodzik nie byłby zwawszy od niego. Hej, Maryka, Aksenia, zzućcie buty gaździe, bo wrócił z targu. A co ty robiłaś, duszko, przez cały boży dzień? Gospodarki ci doglądałam, z czeladzią się kłóciłam, a potem, no tak, Juraju, czekałam na ciebie.

Hordubal siedzi na jakimś pniaku i mruga. Spróbować by można, czemu nie? Chłop jest młody, dopóki coś przedsięwzię. Nie to, to co innego. Choćby na przykład, kupić skalę pod Menczulem, kamień tam jest jak marmur, i wozić takie bloki do miasta. Bo czyż mają na równinie jaki kamień? Tylko błoto i kurz, nawet niebo jest tam zakurzone. Sam mógłbym łamać kamień. Małoż się go nałamałem w Ameryce? I z dynamitem, bratku, potrafię się obchodzić. Wykujesz dziurę, założysz ładunek — wszyscy uciekać — i bum! Oto, Polano, taka jest robota dla chłopca. W porównaniu z tym łapanie ogierka to głupstwo. Trzymasz w ręku czerwoną chorągiew i krzyczysz: baczność, wybuch!

Wspaniale będą wybuchy, a ty, drugi, uganiaj się po wsi za koniem.

I wiele innych rzeczy znalazłoby się jeszcze. Cóż wy macie na równinie? Nic, równinę i tyle. Ale tu, koło Kislej Wody, jest tyle żelaza, że i woda jest rdzawa od niego. Pod Tatarką jest jakiś kamień błyszczący, czarny jak smoła. Mawiają kobiety, że w górach są skarby. Przewąchać te szczyty, aż za Durny, za Czorny wierch, za Tatyńską, za Tupą — któż wie, co dałoby się znaleźć. A, bratku, dzisiaj szuka się i pod ziemią. W domu nic, ani słowa. A potem którego dnia: jutro, Polano, jadę do Pragi, z panami o czymś pogadać — i dość. A tu raptem zjeżdżają panowie i prosto do Hordubalów. Dzień dobry i czy pan Hordubal w domu? I od razu, panie Hordubal, tak i, panie Hordubal, owak. Znalazł pan taki minerał, jakiego już od lat pięćdziesięciu szukamy. — No, czemu by nie mogło być i tak? Mówisz, że pole jest pełne kamieni, a czy wiesz, z czego ten kamień jest? Nie wiesz, to nie gadaj!

Hordubal zawstydzil się troszkę. Może to jest głupie, no tak, ale kamień pod Menczulem to nie żadne głupstwo. Na to trzeba by mieć woły, parę, dwie pary wołów, przypuścmy takich podolskich, szarych, z rogami jak rozwarte ramiona. Hej, co by to były za zwierzęta! I dalejże z ładunkiem kamienia na równinę! Heta, wołki, wje! Ruszaj, stary, od się! A ty, ze swoimi konikami, na bok przed wołami, aż za rów! A czyje to woły? Hordubala. Nikt w całej okolicy nie ma takich zwierząt.

Z zanadruza wyjmuje Hordubal woreczek i przelicza pieniądze. Siedemset dolarów, to przeszło dwadzieścia tysięcy. Ładne pieniądze, Polano! Z takimi pieniędzmi można rozpocząć nowe życie. No, sama jeszcze zobaczysz, co za chłop z tego Juraja. Rozum to także siła. Dobrze płacą za konia, co łeb zadziera do góry, ale spojrzaj na takiego wołka: kiwa łbem, nosi jarzmo na karku, ale roboty robi więcej.

Juraj kiwa głową i wlecze się na podwórko Na podwórku Polana łuszczy groszek. Tylko brwi podnosi do góry, zgarnia z fartucha puste strączyny i wchodzi do izby.

XIII

Hordubal siedzi w karczmie i cieszy się. Chwała Bogu, dzisiaj jest tu huczno. Michalczuk jest i Warwaryn, Podejczuk Michajłów, Herpak zwany Kobyłą, Fedelesz Michał i Fedelesz Gejza, Fediuk Hryc, Aleksa Hryhoryj i Dordja, gajowy. Sami sąsiedzi, a wszyscy radzą, jak wystrzelać dzikie świnię, które robią szkody po polach. Hryhoryj jest właścicielem skały pod Menczulem, byłoby dobrze pogadać z nim zrzęcznie i okolicznie, że trzeba naprawić drogę na pole i że potrzeba na to kamienia. Ba, zasepił się Hordubal, przecie już nie mam pola! Spochmurniał od tej myśli. Nie mam gruntu, więc mnie te wasze dzikie świnię nic nie obchodzą! Niech sobie sami z nimi wojują. A ja — nawet już między nich nie należę — boczy się Hordubal. Kłopotcie się sami, ja mam własne kłopoty.

Chłopi naradzają się tymczasem, kiedy, jak i skąd wyruszyć. Juraj popija pomału i myśli o swoim. Tylko brwi podniosła i do domu! Dobrze, Polano. Kiedyś może ty będziesz chciała zacząć, że tak albo owak, Juraju. A ja podniosę brwi do góry i pójdę do karczmy. Żebyś i ty wiedziała, jak to smakuje. Cóż to, ja mam pysk parszywy i kaprawe oczy, albo taką straszną gębę jak żebrak Lasło? No tak, jestem stary i wszędzie powzerał mi się węgiel. Gnaciasty jestem i prócz gnatów niczego już we mnie nie ma. Zgięty mam grzbiet, bo w majnie trzeba było lazić na czworakach. Twarde łapy, twarde kolana — gdybyś ty wiedziała, w jakich dziurach trzeba było wykuwać węgiel! Jeszcze dzisiaj spluwam przy kaszlu czarny pył węglowy, Polano. Juścić niewiele ze mnie zostało, co mogłoby ci się podobać. Ale potrafię, duszko, dobrze pracować. Zobaczysz sama — — —

— Hej, ty, Amerykanin — śmieje się kpiarsko Fedelesz Gejza — czemu się wcale nie pokazujesz? Cóż, przyszedłeś poczęstować sąsiadów?

Hordubal kiwa głową. — Przyszedłem, przyszedłem, ale częstować będę po amerykańsku. Podajcie Gejzie szklanke wody! A jeśli ci mało, Gejzo, każ sobie dać całe wiadro. Przynajmniej twarz sobie obmyjesz.

— A tobie co do mojej twarzy? — śmieje się Gejza. — Byle się podobala mojej żonie.

Juraj się boczy. Co mnie obchodzi twoja żona! Patrzcie go, poczęstunku mu się zachciewał! Cóż? Poczęstowałbym. Bóg świadkiem, sąsiedzi, rad bym z wami pić, trzymać się z wami za szyję i śpiewać tak, ażby się z uciechy oczy zamykały. Ale mam dolary na inne rzeczy. Taką dobrą mam myśl, sąsiedzi moi, myśl amerykańską. No, zaczekajcie, zobaczycie, gdy zacznę łamać kamień. Patrzcie go, Hordubala, zwariował, czy co? Małoż tu rośnie kamienia? A potem sami powiedzą: widzicie, Amerykanin i ze skały potrafi nadoić śmietany.

Fedelesz Michał zaczyna śpiewać, inni wtórują. Hej, dobrze jest człowiekowi posiedzieć między chłopami! Jak dawno już nie słyszałem takiego śpiewania — ile to już czasu. — — — Juraj otwiera oczy i półgłosem wtóruje: dana, dadana, oj dana... I nagle, diabli wiedzą, jak to się stało, rozśpiewał się Hordubal na cały głos i pieje, kiwając się w takt całym ciałem.

— Hej, ty tam! — krzyczy Fedelesz Gejza. — Kto z nami nie pije, niech z nami nie śpiewa! Śpiewaj sobie w domu, Hordubalu!

— Albo tu pošlij Szczepana — wtrącił swoje trzy grosze Jura Fediuk. — Śpiewa podobno lepiej od ciebie.

Hordubal dźwiga się, wysoki, srogi, pod sam strop głową sięga. — No, śpiewaj sobie, Gejzo — powiada łagodnie. — Ja już i tak chciałem pójść do domu.

— Po co ci tak śpieszyć do domu — pokpiwa sobie Fedelesz Michał. — Masz tam przecie parobka.

— Wielki pan — cedzi Gejza przez zęby. — Parobka wziął do żony.

Hordubal odwrócił się gwałtownie. — O kim ty? — syknął. — O kim ty, Gejzo?

Gejza kołysze się wyzywająco na rozstawionych nogach. — O kim? Jest tu tylko jeden taki gazda.

Chłopi wstają. — Daj mu spokój, Gejzo! — przymawia Warwaryn. Ktoś ujmuje Juraja przyjaźnie za ramię i ciągnie go na dwór.

Wywał się Hordubal i do Fedelesza! Staje przed nim, nos przy nosie.

— O kim ty? — mówi głosem zachrypłym.

-- Taki fujara jest tylko jeden — powtarza Fedelesz Gejza i nagle, jakby świsnął biczem, dodaje: — ale kurew takich, jak Polana, jest więcej.

— Chodź ze mną — mówi zachrypły Hordubal i wśród tłoczonych chłopów toruje sobie drogę ku wyjściu. Gejza za nim, a w kieszeni otwiera nóż. Bacność, Hordubalu, pilnuj pleców! Ale Hordubal nic, pcha się ku drzwiom, a Gejza za nim, ściskając w garści nóż tak mocno, aż mu się dłoń poci.

Wszyscy tłoczą się w drzwiach. Juraj odwraca się do Fedelesza. — Ty — mruczy groźnie, — chodź no tutaj!

Gejza trzyma rękę z nożem za plecami i gotuje się do skoku, ale Hordubal, ramionami, jak drągi u żurawia, chwytą go wpół, nie oglądając się na jego ręce, podnosi go, wywija nim młynka i ciska go na ziemię. Gejza zrywa się na nogi i syczy z wściekłości. Znowu podnosi go Hordubal do góry i ciska nim o ziemię, jakby nim ubijał bruk. Nagle kolana Gejzy uginają się, chłop leci na ziemię i bęc! uderza głową o jakiś ceber. Leży teraz, nie rusza się i wygląda, jakby był kupą szmat.

Hordubal sapie i oczyma nabiegłymi krwią rozgląda się po ludziach. — Nie wiedziałem — tłumaczy się — że tu jest ceber.

Wtem dostał sztchetą w głowę, i jeszcze, i jeszcze. Dwóch, trzech, czterech ludzi w milczeniu tłucze Hordubala po głowie, aż dudni. — Precz ode mnie! — ryczy Hordubal i po ciemku wymachuje rękoma, uderza w czyjś nos, pada na ziemię i próbuje wstać. — Biją się! — wrzeszczy ktoś. Hordubal wstaje, ale wstać nie może, dźwiga się pod uderzeniami i stęka. Znowu się podnosi i próbuje stanąć na nogach.

— Co wy tutaj!? — słycać prędkie, zadyszany głos i chlast, chlast, bykowcem po łbach! Prosto w skotłowany tłum. Ktoś ryknął z wściekłości. Baczość, noże! Wasyl Gerycz Wasylów dyszy potężnie i potrząsa bykowcem nad ciałem Hordubala. Juraj próbuje wstać — I precz mi stąd! — krzyczy starosta, chlaszcząc bykowcem, Hej, żebyś ty nie był starostą! Ale co tam starosta! Wasyl Gerycz Wasylów to zabijaka przesławny. Już i baby odważają się wyjść na ulicę i z rękami założonymi spoglądają ku karczmie.

Juraj Hordubal chce wstać, ale głowa jego leży na kolanach Wasyla i ktoś obmywa mu twarz. A, to Pjosa. — To nie była uczciwa bitwa, Wasylu — mruczy Amerykanin. — Napadli od tyłu i dwaj przeciwko jednemu. —

Ech, ty Juraju, sześciu ich było łobuzów i wszyscy ze sztchetami z płotu. Twardy masz łeb, że ci nie pękł. — No, a Gejza? — Kłopotczy się Juraj.

— Gejza ma dość tymczasem. Zanieśli go do domu — rzecze starosta.

Juraj odetchnął z zadowoleniem. — Będzie trzymał język za zębami, pieski syn — mruczy i próbuje wstać. No, chwala Bogu, już jest dobrze. Już stoi, ale trzyma się za głowę. — Czego oni chcą ode mnie? — dziwi się. — Pójdź jeszcze pić, Wasylu. Nie dali mi śpiewać, gałgany!

— Idź do domu, Juro, — przygaduje mu starosta. — Odprowadzę cię, bo mogli się tu gdzie zacząć na ciebie.

— Ja się ich bać nie będę — stawia się Hordubal i zataczając się, idzie do domu. Nie, nie jestem pijany, Polano,

ale pobili mnie w karczmie. Za co mnie pobili? E, tak sobie, duszko, z uciechy, żartem mierzyliśmy się siłą z Fe-deleszem Gejzą.

— A wiesz ty, Wasylu — opowiada Juraj z jakimś wesołym ożywieniem — i w Ameryce miałem taką walkę. Rzucił się na mnie jeden majner z młotem. Niemiec był, zdaje się, ale ci inni odebrali mu młot i otoczyli nas kołem, a teraz bij się jeden z drugim gołymi rękoma. Ej, Wasylu, dostałem ja wtedy zdrowo po łbie, ale Niemca zmożłem. I nikt się nam w to nie mieszał.

— Ty, Juraju — z wielką powagą mówi Gerycz — nie chadzaj tu teraz do karczmy, bo znowu będzie bijatyka.

— Czemu? — dziwi się Hordubal. — Przecie ja im w drogę nie wchodzę.

— No tak — wymijająco mówi starosta — ale z kimś się muszą zawsze pobić. Idź spać, Juraju, a jutro — odpraw tego parobka.

Hordubal się zasępił. — Co ty mówisz, Geryczu? Co, i ty się wtrącasz do moich spraw?

— Na co ci parobek z cudzej wsi — zawraca Wasyl. — Idź już, idź, Juraju, do łóżka. Ech, Juraju, Polana nie warta tego, żebyś się o nią bił!

Hordubal stoi jak słup i mruga. — To i ty jesteś taki — podły jak oni! — zdobył się wreszcie na słowo. — Nie znasz Polany, ty — — — Ja tylko ją znam, a tobie zasie! Żebyś mi się nie ważył..

Wasyl kładzie mu rękę na ramieniu. — Juraju, osiem lat mamy ją na oczach.

Hordubal wyrwał mu się gwałtownie. — Idź, idź, Geryczu, bo — — — Póki życia mojego, jak Bóg nade mną, nie chcę cię znać, choć byłeś najlepszym moim przyjacielem!

I nie odwracając się już, idzie Hordubal niepewnym krokiem do domu. Gerycz odsapnął tylko i długo po cichu klął w pustkę nocy.

XIV

Rano zaprzęga Szczepan konia do wozu, bo pojedzie w dół na równinę. Z obory wychodził Hordubal, dziwny jakiś, spuchnięty, z oczyma nabiegłymi krwią. — Pojadę z tobą, Szczepanie — mówi krótko.

Wóz pędzi środkiem wioski, ale Juraj nie patrzy ani na ludzi, ani na konie. Niedaleko za wsią, mówi: — Stój i zejdz z wozu, coś ci powiem.

Szczepan zuchwałym płonącym okiem patrzy w obitą twarz gazdy, jakby mówił: no co?

— Słuchaj, Manya — zaczyna Hordubal z ociąganiem — słyhać takie brzydkie gadanie o — — — Polanie i o tobie. Ja wiem, że to plotki, ale trzeba z nimi skończyć. Rozumiesz?

Szczepan wzrusza ramionami. — Nie rozumiem.

— Musisz od nas odejść, Szczepanie. Trzeba to zrobić dla — — — Polany. Zatkąć ludziom gęby. Tak być musi, rozumiesz?

Szczepan zuchwale patrzy w zakłopotane oczy gazdy. — Rozumiem.

Juraj machnął ręką. — Tak więc, a teraz jedź sobie.

Manya stoi, zaciska kułaki i wygląda tak, jakby się chciał bić.

— Masz swoją robotę, Szczepanie — mruczy Hordubal.

— Też dobrze — syknął Szczepan, wskoczył na wóz, zakręcił biczem i chlast konie przez łby.

Konie szarpnęły się w tył, przysiadły na zadach i rzuciły się naprzód chyżym klusem. A wóz leci i turkocze rozgłośnie, jakby się miał rozlecieć na tysiące kawałków.

Hordubal stoi na szosie i lyka kurz. Potem powoli obraca się ku wsi i z głową pochyloną idzie do domu. Ech, Juraju, tak właśnie chodzą starzy.

Przez jeden tydzień Hordubal schudł tak, że byłby mógł grzechotać gnatami. Ba, jeszcze by też! Czyliż to drobnotka, rano posprzątać, konie poczyścić, krowy wyprowadzić na pastwisko, oczyścić oborę, dziecko wysłać do szkoły. Potem trzeba pojechać z końmi na równinę, bo czas zbierać kukurydzę. A w południe do domu, żeby dziecku ugotować coś na obiad, napić konie, sypnąć kurom ziarna. I znowu na równinę, zrobić kawalek roboty, a przed wieczorem szybko do domu, przygotować kolację, postarać się, żeby było miało swoje, a nawet Hafii wypadnie coś tam przyszyć zgrubiałymi palcami. Bawi się dziecko różnie, nie sztuka rozedrzeć sukienkę. Trudno być i tu i tam jednocześnie, nie można zapominać o niczym. Jak kłoda wali się wieczorem na słomę i nie może zasnąć, bo jeszcze się kłopotce, czy aby czego nie zapomniał. Ach, miły Boże, oczywiście, zapomniał podlać pelargonie na oknie. I postękując wstaje Hordubal, aby podlać kwiatki.

A Polana? Jakby jej wcale nie było. Zamknęła się w komorze i złości się. Cóż robić? — myśli Hordubal pełen zakłopotania. Gniewa się gospodyni, że nie naradziłem się z nią tak i tak, chcę odprawić parobka. Cóż ty na to, Polano? Miejże rozum, kobieto, czyliż mogłem ci powiedzieć, że ludzie mówią o tobie bardzo różnie? Co ja ci będę opowiadał? Odprawiłem parobka i tyle. Gniewaj się! Kijem cię do roboty napędzać nie będę. Ale juścić, brak tu rąk Polany! Ledwo tydzień upłynął, a jak wszystko zmarniało! Któż by to był pomyślał, że tyle roboty zrobi jedna kobieta. I połowy tego nie zdoła zrobić chłop. No, sama zobaczy, jak jest. Ominie ją złość, roześmieje się i powie: — Taki to z ciebie gospodarz, Juraju, że ani posprzątać, ani ugotować nie potrafisz! Juścić, czego chcieć od chłopca!

Raz ją dojrzał. Powrócił za czymś, a ona stała we drzwiach. Jak cień. Pod oczami podkowy, na czole kresa. Hordubal się odwrócił. Nic, nic, duszko, nie widziałem cię.

I zniknęła wnet jak cień. W nocy, gdy Hordubal zakopie się w słomie, słyszy, jak gdzieś cichutko otwierają się drzwi. To Polana. Wychodzi na podwórko i stoi, stoi. — — — A Juraj z rękoma pod głową, mruga w ciemnościach i drętwieje.

Krowy, konie, Hafia, kurki, świnię, pole, kwiatki na oknie — Boże miły, starczy tego. Ale najtrudniej zachować pozory, żeby gęby ludzkie nie miały co gadać, że u Hordubalów tego owego. Ma Hordubal zamężną siostrę, pomogłaby pewno, gotowałaby mu, ale nie, grzecznie dziękuję, nie trzeba. Sąsiadka kiwa głową przez płot; żeby do niej posyłać na dzień Hafię, dopilnuję dziecka. Dziękuję, sąsiadko, pięknie dziękuję, ale nie trudźcie się. Polana troszkę mi choruje i pokłada się, chętnie ją zastąpię. Ej, ty, ciekawska, dam ja ci przeszpiegi! Spotyka Gerycza, a ten patrzy na niego i ma na ustach pozdrowienie. Idź sobie, ja cię znać nie chcę. A Hafia się boi czegoś. Patrzy, nawet okiem nie mrugnie, brak jej juścić Szczepana. Cóż zrobić, drogie dziecko, ale takie było gadanie po ludziach. Ich to wina.

Krowy, konie, kukurydza, świnię — a, prawda, trzeba sprzątać w chlewie i nalać świniom wody. A tu znowuż wypadło oczyścić rynsztok, żeby gnojówka mogła odpływać swobodnie. Hordubal zabiera się do roboty, sapie z wielkiej gorliwości i w tej chwili nie widzi nic prócz chlewika. Poczekaj, Polano, dopieroż popatrzysz, gdy tu przyjdiesz — w chlewie jak w pokoju. Teraz jeszcze świeżej wody, i Hordubal idzie z cebrzykiem ku pompie.

Na podwórku na dyszlu wozu siedzi Manya, na kolanach kołysze Hafię i opowiada jej o czymś.

Juraj stawia cebrzyk na ziemi i z rękoma w kieszeniach idzie prosto do Szczepana.

Manya jedną ręką odsunął Hafię, a drugą sięga do kieszeni. Siedzi, oczy ma zwężone jak ziannka kminu, a z garści wystaje mu coś prosto przeciwko brzuchowi Juraja. Hordubal uśmiecha się drwiąco. Wiem ja, bratku, z Ame-

ryki, jak się strzela z rewolweru. Patrzaj! Wyjmuje z kieszeni zamknięty nóż i rzuca go na ziemię. Manya wtyka ręce do kieszeni i nie spuszcza oczu z gospodarza.

Ręką wsparł się Hordubal o drabinę wozu i z góry patrzy na Manyę. Co ja tu teraz, dobry Boże, co ja mam z nim począć?

Nawet Hafia nie wie, jak to się skończy, i wytrzeszcza oczy to na ojca, to na Szczepana.

— No, Hafio — mruczy Hordubal — rada jesteś, że przyszedł do ciebie Szczepan?

Dziewczynka nie odpowiada, tylko oczy zwraca ku Manyi.

Hordubal w zakłopotaniu głaszcze się po karku. — Czemu siedzisz? — mówi powoli. — Daj koniom wody.

XVI

Idzie prosto do komory i kołacze do drzwi: — Otwórz, Polano!

Drzwi się otwierają i na progu staje Polana — jak cień.

Hordubal siada na skrzyni z rękoma opartymi na kolanach i patrzy w ziemię. — Manya wrócił — powiada.

Polana nic, tylko szybko oddycha.

— Były jakieś plotki — mówi Juraj półgłosem — o tobie i... parobku. Dlatego go odprawił. — Hordubal zasapał z niezadowolenia. — A ten głupiec wraca. Tego tak zostawić nie można, Polano.

— Dlaczego? — wyrwała się z wielką skwapliwością Polana. — Z powodu tych głupich plotek?

Hordubal poważnie przyświadcza kiwnięciem głowy. — Z powodu tych głupich plotek, Polano. Nie mieszkamy na pustyni. Szczepan, to chłop, może się plotkarzom sam obronić. Ale ty, ech, Polano, jestem przecie bądź co bądź twoim mężem, przynajmniej przed ludźmi. Tak się trzeczy mają.

Polana opiera się o bramkę, nogi uginają się pod nią, lecz nic nie mówi, milczy.

— Zdaje się — mruczy Hordubal — zdaje się, że Hafia przywykła do Szczepana. On lubi to dziecko. A i koniom brak Manyi. Był dla nich twardy, ale i do tej jego twardości jako konięta przywykły. — Juraj podnosi oczy. — Co ty na to, Polano, żeby tak zaręczyć Hafię ze Szczepanem?

Polana drgnęła. — Ależ to niemożliwe! — krzyknęła wystraszona.

— Juścić, prawda. Hafia jest malutka — zadumał się Hordubal. — Ale zaręczyny to nie wesele. Za dawnych czasów, Polano, zaręczano nawet dzieci w kolebce.

— Ale przecie Szczepan — — — Hafia jest o piętnaście lat młodsza od niego — broni się Polana.

Juraj przyświadcza skinieniem głowy. — Tak, jak ty, duszko. To się zdarza. Ale tutaj Manya nie może pozostać jako człowiek obcy. Jako Hafii narzeczony, a — — — to już całkiem inna rzecz: należy do rodziny, wysługuje sobie żonkę.

Polana zaczyna rozumieć. — W takim razie pozostałby tutaj? — pyta napięta jak łuk.

— No tak. Dlaczego nie miałby zostać? Mieszkałby jak u rodziców. To już nie byłby obcy człowiek, ale zięć. A ludziom zatkałoby się gębę. Przynajmniej zobaczyliby, że... że wygadywali tylko świństwa. To dla ciebie, Polano. A poza tym, no, zdaje się, że Hafię lubi, a na koniach się zna. Niewielki z niego robotnik, prawda, ale czy to pracowici się bogacą?

Polana myśli tak usilnie, aż marszczy czoło. — Czy sądzisz, że Szczepan zgodzi się na to?

— Zgodzi się, duszko. Mam pieniądze. No, cóż, dostanie je. Proszę cię, na co mnie się zdały pieniądze? A Szczepan jest chciwy. Chciałby mieć łąki, konie, równinę aż po skraj świata. Gdy o tym mówi, to mu się oczy świecą. Zyska bardzo wiele, więc wahać się nie będzie.

Twarz Polany staje się znowu nieprzenikniona. — No, jak uważasz, Juraju. Ale ja mu o tym mówić nie będę.

Juraj wstaje. — Sam mu o tym powiem. Nie kłopot się; i do adwokata pójde się poradzić, jak i co trzeba zrobić. Myślę, że musi być jakaś umowa. Postaram się, juścić, i o to...

Hordubal czeka, myśli zapewne, że Polana powie jeszcze coś. Ale Polana zaczyna się nagle śpieszyć: — Muszę robić kolację.

I Juraj wychodzi z komory z niczym, jak zawsze.

XVII

Manya wiezie gospodarza do Rybar na rozmowę z rodzicami. Konie zadzierają łby do góry i pędzą, aż miło patrzeć.

— A więc ty, Szczepanie — mówi Hordubal w zadumie — masz jednego brata starszego, jednego młodszego i siostrę zamężną. Hm, sporo was jest. I u was tam równina, nieprawdaż?

— Równina — chętnie odpowiada Szczepan i zęby mu błyszczą. — U nas hoduje się głównie bawoły i — — — konie. Bawoły lubią moczary, gospodarzu.

— Moczary — rozmyśla Juraj. — A czy nie można by ich osuszyć? Widziałem już takie roboty w Ameryce.

— Po co osuszać? — śmieje się Szczepan. — Ziemia jest aż nadto, gospodarzu. A moczaru szkoda, bo na nim rośnie wiklina. U nas zimą pleciemy kosze. Zamiast desek mamy wiklinę. Wóz - półkoszyk; płoty, chlewy — wszystko plecionka. Sami zresztą widzicie! — pokazuje Szczepan.

Jurajowi nie podoba się równina, bo nie ma końca. Ale cóż zrobić? — A twój ojciec żyje, powiadasz?

— Żyje. Dopieroż się zadziwi, gdy się dowie, kogo mu przywożę — mówi Manya i jest dumny jak mały chłopczyk. — A tu oto już są Rybary. — Szczepan zsuwa kapelusz na tył głowy, strzela z biczka i wiezie Hordubala

przez wieś jak jakiego barona, a po chwili wjeżdża z nim do zagrody Manyów.

Z chałupy wychodzi niski i przysadzisty parobek.

— Słuchaj, Djula — woła Szczepan — zaprowadź konie w cień i daj im obroku i wody. Tędy, gospodarzu. — Hordubal dyskretnie rozgląda się po zagrodzie: stodoła rozwalona, po podwórku włóczy się maciora, a tam znowu puszą się indyki. W futrynie drzwi tkwi ostrze jakiegoś wielkiego szydła.

— To igła, gospodarzu, igła do plecenia koszów — objaśnia Szczepan. — Na wiosnę będziemy budowali nową stodołę.

Na progu stoi stary Manya z długimi wąsikami pod nosem.

— Prowadzę wam, ojcze, gospodarza z Krywej — melduje Szczepan i puszy się po trosze. — Chce z wami pogadać.

Stary Manya prowadzi gościa do izby i nieufnie czeka, co to będzie. Hordubal sadowi się z dostojnością i tylko na brzeżku stołka, żeby od razu było widać, że jeszcze nic nie przesądzone, i każe Szczepanowi: — No, powiedz, Szczepanie, co i jak.

Szczepan błyska zębami i wyładowuje od razu całą tę wielką nowinę. Że niby gospodarz chciałby mu dać córkę swoją, Hafię, gdy ta dorośnie. I że dlatego chce pomówić z ojcem i dogadać się z nim.

Hordubal kiwa głową na znak, że tak jest.

Stary Manya ożywa. — Hej, Djula, przynos gorzałki! Witam was, Hordubalu. A cóż droga? Dobra była?

— Dobra.

— Chwała Bogu. A urodzaj u was ładny?

— Ujdzie sobie.

— W domu wszyscy zdrowi?

— Dziękujemy pięknie, zdrowi.

Gdy więc zostało powiedziane, co należy, odzywa się stary Manya: — Cóż to, Hordubalu, macie jedynaczkę w domu?

— Ano jedna się tylko urodziła.

Stary chichocze po trosze, ale oczami bada. — Nie gadajcie, Hordubalu, jeszcze może być i syn. Wypoczęta rola dobrze rodzi.

Juraj tylko szarpnął ręką, jakby nią chciał machnąć.

— Może się jeszcze urodzić synek, dziedzic — uśmiecha się stary i śledzi oczkami. — I wyglądacie dobrze, Hordubalu. Jeszcze z pięćdziesiąt lat możecie gazdować.

Hordubal powolutku głaszcze sobie kark. — Jak Bóg da, Zresztą Hafia nie będzie musiała czekać na dziedzictwo. Chwała Bogu, posag miałbym dla niej.

Oczy starego Manyi błyszczą. — Tak to tak, ludzie dużo mówią o tej Ameryce, że tam pieniądze można zbierać na ulicy.

— No, tak łatwo nie jest z tymi pieniędzmi — odpowiada Hordubal zachmurzony. — A potem jeszcze kłopot z nimi: trzymasz je w domu, ukradną ci je, oddasz je do banku, ukradną tak samo. Już lepsze byłoby gospodarstwo.

— Święta prawda — przyświadcza stary Manya.

— Rozglądam się tutaj — mówi Hordubal z wielkim zastanowieniem. — Grunt tutejszy nie używi zbyt wielu ludzi. Same moczary i błota. Myślę, że tutaj gospodarz musiałby mieć parę dziesiątków morgów takiego stepu, gdyby miał się z ziemi utrzymać.

— Prawda, owszem — ostrożnie, półgębkiem przyświadcza stary. — U nas ciężko bywa dzielić gospodarstwo. Nasz najstarszy, niby Michał, ma odziedziczyć gazdostwo, a ci inni mają dostać spłaty.

— Ile? — zapytał Juraj prosto z mostu.

Stary Manya, zaskoczony pytaniem, zaczął mrugać pośpiesznie. Ej, ty, tak ci pilno, że nie dasz człowiekowi zastanowić się? — Trzy tysiączki — mruczał, zezując gniewnie na Szczepana.

Hordubal zliczył to sobie na poczekaniu. — Trzy razy

po trzy — więc dziewięć tysięcy, powiadacie, warte wasze gospodarstwo?

— Jakże to? Trzy razy trzy? — sierdzi się stary. — A splata córki?

— Prawda — zgodził się Hordubal. — No, to powiedzmy, trzymaście.

— E, nie, skądże znowu — kręci stary głową. — Żartujecie chyba, Hordubalu?

— Nie żartuję — obstaje Hordubal przy swoim. — Chciałbym wiedzieć, Manyo, ile też kosztuje takie gospodarstwo na równinie.

Stary Manya jest zakłopotany, Szczepan wytrzeszcza oczy. Czyżby pan Hordubal zamierzał kupić zagrodę Manyków?

— Takiego gospodarstwa nie dostalibyście nawet za dwadzieścia tysięcy — mówi stary wymijająco.

— Ze wszystkim, co tu jest?

Stary zachichotał. — Dobrzyście, Hordubalu. Miewamy w zagrodzie po cztery i po pięć koni.

— Ja pytam o cenę bez koni.

Stary Manya spowaźniał. — A o co wam właściwie chodzi, Hordubalu? Przyszliście kupować gospodarstwo, czy zaręczać córkę?

Hordubal zacerwienił się mocno. — Gospodarkę kupować — ja, i miałbym kupować gospodarkę na równinie? Błoto będę kupował, czy tak? Pręty na fujarki, co? Grzecznie dziękuję, Manyo, ale powiem od razu, o co mi chodzi. Jeśli się z sobą dogadamy i wasz Szczepan zaręczy się z Hafią, to gospodarstwo swoje przekazecie Szczepanowi. Po weselu wasz Michał dostanie ode mnie swoją splatę i Djula także.

— A Maria? — wyrwał się Szczepan.

— No i Maria. Więcej nie macie już nikogo? Niech sobie Szczepan gazduje tutaj, w Rybarach.

— A Michał? — pyta stary nie rozumiejąc.

— Dostanie swoją splotę i niech idzie z Panem Bogiem. Młody człowiek woli dostać pieniądze niż kawałek ziemi.

Stary Manya kręci głową. — Nie, nie — mruczy — to się nie da zrobić.

— A czemu nie dałoby się to zrobić? — wyrwał się Szczepan.

— Ty mi tu nic nie gadaj i wynoś się! — krzyknął stary. — Co ty mi się tu będziesz wtrącał!

Pomrukując wychodzi nadąsany Szczepan na podwórko. Djula — rzecz prosta — przy koniach.

— No co, Djulo? — klepnął go Szczepan po ramieniu.

— Ładny konik — mówi parobek tonem znawcy. — Mógłbym się na nim przejechać?

— Za dobry dla twego zadu — cedzi Szczepan przez zęby i wskazuje głową ku izbie. — Nasz stary...

— Co?

— E, już nic. Robi, co tylko może, żeby mi popsuć szczęście.

— Jakie szczęście?

— Żadne, bo i tak nie zrozumiesz.

Na podwórku cicho, tylko świnia pochrząkuje do samej siebie. Od moczaru słycać derkacze, a nawet żaby odzywają się już tu i ówdzie.

— Pozostaniesz w Krywej, Szczepanie?

— Może zostanę, jeszcze się nie namysliłem — puszy się Szczepan.

— A gaździna?

— Co tobie do tego? — zastrzega się Szczepan, udając dyskretnego. Jaka masa komarów! A jaskółki aż się ocierają brzuskami o ziemię. Szczepan ziewa tak mocno, że mało sobie szczęki nie wylamie. Co ci dwaj tak długo w izbie uradzają? Bodaj sobie nosy poodgryzali!

Z nudów i złości wyrywa Szczepan koszykarską igłę z futryny drzwi i wbija ją w drzewo z całej siły. — A teraz ją wyjmij! — mówi do Djuli.

Djula ją wyciąga. — Zobaczmy, kto wbije głębiej. — Przez chwilę bawi ich wbijanie igły we drzwi, aż z drzewa wióry lecą.

— E, co tam! — mówi Djula — pójdę do dziewczyn. Z tobą już nie ma interesu.

Powoli zapada zmierzch, horyzont nad całą równiną powleka się fioletową mgłą. Szczepan namyśla się, czy wejść do izby. Nie wejdzie! Właśnie, że nie! Wynoś się, powie stary, nie wtrącaj się do rozmowy! Czy Amerykanin Hordubal żeni ze swoją córką jego, czy mnie? Już ja bym umiał pokierować się należycie, a ten mi: wynoś się! — Co ty mi będziesz rozkazywał — wścieka się Szczepan. — Już do innej rodziny należę!

Wreszcie we drzwiach ukazuje się Hordubal, trochę podchmielony po wypitej gorzałce. Dogadali się starzy. Stary Manya odprowadza go i poklepuje po plecach. Szczepan stoi przy łbach koni i trzyma je za łańcuszek u wędzideł, jak jaki koniuszy. Nawet Hordubal zauważył to i z pochwałą skinął głową Szczepanowi.

— Więc w niedzielę w mieście! — woła stary Manya i natychmiast wóz rusza. — Szczęśliwej drogi!

Szczepan spogląda boczkiem na gospodarza, ale nie chce o nic pytać. Może sam mu powie.

— Tam oto nasza rzeka — pokazuje biczem.

— Mhm.

— A przy tamtym wozie z tatarakiem idzie niezawodnie nasz Michał. Na podściółkę używamy tu tataraku.

— Tak.

I ani słowa więcej. Szczepan wstrzymuje konie ze wszystkich sił i jedzie tak ładnie, jak tylko potrafi. Ale gospodarz siedzi z głową spuszczoną i kiwa się na wszystkie strony. Wreszcie Manya nie wytrzymał i pyta:

— Ile im daliście?

Hordubal podnosi głowę i marszczy brwi: — Co?

— Ileście im zapisali, panie gospodarzu?

Hordubal nie odpowiada i dopiero po chwili mówi: —
Po pięć tysięcy każdemu.

Szczepan medytuje przez chwilę, a potem cedzi przez
zęby:

— Obdarli was, gospodarzu. Po trzy tysiące byliby
mieli dość.

— Mhm — mruży Hordubal. — Twój ojciec twardy
jak dębowy pień.

Dobry sobie — myśli Szczepan. — Innym daje, a mnie
po prostu obdziera.

— I tobie także pięć tysięcy — dodaje Hordubal. —
Żebyś miał na zagospodarowanie.

Dobrze — myśli Szczepan — ale teraz, gdy jestem już
niemal jego synem, jakże to będzie z płaceniem? Nie wypa-
da mu przecie płacić mi jak parobkowi. Może dałby mi tego
żrebaka. Weź go sobie, Szczepanie, i sprzedaj. Przecie jesteś
już jakby nasz.

— I jedź porządnie! — rozkazuje Hordubal.

— Dobrze, panie gospodarzu.

XVIII

I niedługo potem wracają z miasta, gdzie wszystko
zostało przypieczętowane. Porządną umowę zrobili u Żyda,
adwokata, ale bo też kosztowała aż dwieście koron. I o tym
niech pan pamięta, wielmożny panie, i żeby tamto też było
wpisane — — — Wiadomo, chłop jest w sprawach mająt-
kowych ostrożny, nie da się, bratku, oszukać. I o tym
trzeba pamiętać, że Hafii zapisuje się połowę majątku
w Rybarach... Dobrze, powiada adwokat, zamieścimy taką
klauzulę. A więc, świetnie, bratku, i to także już jest.
A potem wszyscy się pod umowę podpisali: Juraj Hordu-
bal — trzy krzyżyki, w imię Ojca i Syna i Ducha świę-
tego. Stary Manya — trzy krzyżyki. A Michał Manya,
z kwiatkiem u kapelusza, pyszni się i ogromnie ważnie pod-
pisuje się pełnym nazwiskiem. Maria, z męża Janosz,
w jedwabnej chustce na głowie i Szczepan ubrany odświę-

tnie... Czy jeszcze kto podpisuje? E, chyba nie, bo Djula musi pilnować koni, a w dodatku jest jeszcze niepełnoletni. Więc gotowe, moi panowie, i życzymy wam dużo szczęścia. Dwie setki kosztowało. Ale robota porządna, bo i klauzu-la tam jest.

A potem wszyscy garną się do karczmy, żeby oblać interes. Bez wielkiego namysłu Hordubal zaczyna tykać starego Manyę, a nawet pokłócili się obaj, jak to już bywa między krewniakami. — A teraz jedź, Szczepanie! — Szczepan chciałby sobie pogadać z Hordubalem jak z ojcem, ale czy z nim można? Siedzi na wozie, obiema rękami trzyma się drabiny, oczy nakrył brwiami, a każde słowo trzeba z niego wyciągać. Ej, takie to i zaręczyny, myśli Szczepan. Ciężko jest gadać z gospodarzem.

Niedługo wyjeżdżają do Krywej, a konie pędzą cwałem, z miarowym postukiwaniem podkowami. Juraj Hordubal podnosi oczy i nagle z ręką nad głową zaczyna strzelać palcami, śpiewa i pokrzykuje wesoło jak w ostatki. Pijany chyba, oglądają się ludzie, że Hordubal Amerykanin tak się rozruszał. Na nawsiu pełno jest dziewcząt i parobków, więc trzeba jechać stępa. Juraj wstaje, obejmuje Szczepana za ramię i zwracając się z wysokości wozu do ludzi, woła: — Dopieroż wiozę sobie zięcia! Hej-hej!

Szczepan stara się strząsnąć z ramienia rękę Juraja i mówi:

— Cicho, gospodarzu!

Hordubal ścisnął go za ramię tak mocno, że Manya omal nie krzyknął z bólu. — Uważajcie! — wrzeszczy Juraj — mam zięcia dla Hafii, obchodzimy zaręczyny!

Szczepan wali konie biczem, złości się i w gniewie zagryza wargi aż do krwi. — Opamiętajcie się, gospodarzu, jesteście pijani!

Z turkotem i zgiełkiem wjeżdża wóz na podwórko zagrody Hordubala. Juraj wypuszcza z rąk ramię Szczepana i staje nagle cichy i poważny.

— Przeprowadź konie! — rozkazuje sucho. — Spocily się.

XIX

A Polana nie wie, co ma myśleć o Juraju. Szczepana wyciąga do karczmy, bo, powiada, już ty nie parobek, ale nasz syn. I zamiast łązić za stodołą, jak to czynił dawniej, chodzi po wsi, przystaje z kumami i gada, że zaręczył Hafię. Juścić, jeszcze ona dziecko, ale przywiązała się do Szczepana, gdy ojca w domu nie było. A Szczepan, sąsiadko, patrzy na Hafię jak na ten święty obrazek. Szczęście to, mieć takie dzieci. I wynosi Szczepana pochwałami aż do nieba, jaki on pracowity, jaki z niego będzie dobry gazda i że zagrodę w Rybarach odziedziczy po ojcu. Chodzi po wsi i dużo gada, ale w domu siedzi jak zarżnięty. Zrób, Szczepanie, to i to. I dość.

Juraj chodzi po wsi i wypatruje ludzi, którym jeszcze nie powiedział, co i jak jest. Nawet na Fedelesza Gejżę skinął ręką, tylko Geryczowi zeszedł z drogi. A Gerycz już wyciągnął rękę, ale Juraj się odwrócił. Póki życia mego znać cię nie chcę. Będiesz ty mi gadał takie rzeczy! Nie chcę wiedzieć, co sobie myślisz.

Kumy się śmieją: dziwne zaręczyny! Narzeczony chodzi zasępiony jak wszyscy diabli i gada półsłówkami. Coś go gryzie. Narzeczona bawi się z dziećmi nad potokiem, z sukienką podkasaną aż do pasa, nawet wstydzić się jeszcze nie umie. A Hordubal wymachuje rękami chodząc po wsi i chełpi się przyszłym swoim zięciem. Tylko Polana, dziwaczna kobieta wprawdzie, ale dostrzega, że dzieje się coś pociesznego, co ludzi śmieszy, i za nic w świecie nie wytknęłaby nosa przed furtkę. Tak to, tak, ludzie drodzy, i nie gadajcie, że wszystko tu jest w porządku.

Czy Hordubal nie widzi, że Szczepan chodzi zasępiony i zły? Może i widzi, ale omija Szczepana. Tylko przez ramię i półgębkiem powie mu, co ma robić, i na tym koniec. Zaraz też gdzieś odchodzi. Szczepan patrzy za nim tak, jakby mu chciał łeb urwać.

Ale Manya postanowił nie dać się. Czeką więc na go-

spodarza z zębami zaciętymi tak mocno, że skóra na twarzy drga mu jak żywa. Gazda idzie przez podwórko. — Należałoby, Szczepanie, pojechać na łąkę. — I natychmiast chce iść dalej, ale Manya zatrzymuje go i mówi: — Muszę z wami, gospodarzu, o czymś pomówić.

— Cóż tam znowu? — uchyla się Hordubal. — Rób swoje i dość!

Szczepan jest po prostu popielaty z wściekłości. Dziwne! Zawsze bywał żółty. — Cóż to wy rozgadujecie o mnie i o Hafii? — rzekł ostro.

Hordubal podnosi brwi. — Co rozgaduję? Że zaręczylem córkę z parobkiem.

Manya syczy ze złości. — I na co... na co wy... Teraz ludzie się śmieją ze mnie wszędzie, gdziekolwiek mnie spotkają. Czy rychło będą chrzciny? Albo: dalej, Szczepanie, leć na pomoc narzeczonej, bo ją goni gąsior...

Hordubal zaczyna pogłaskiwać się po potylicy. — Daj im spokój, niech się śmieją. Sprzykrzy im się.

— To mnie, mnie, gospodarzu, już się sprzykrzyło — cedzi Szczepan między zębami. — Nie chcę, żeby się ludzie ze mnie śmieli.

Hordubal oddycha jakby z trudem. — Ani ja nie chcę, żeby się ludzie ze mnie śmieli. Dlatego cię zaręczyłem. Więc co jeszcze?

— Ja nie chcę! — zgrzyta Szczepan zębami. — Ja... ja tu nie będę ludziom na wyśmiewisko jako narzeczony smarkatego dzieciaka!

Hordubal, z ręką wciąż jeszcze na potylicy, mierzy go z góry oczami.

— Powtórz, coś powiedział! Że nie będziesz?

Manya jest bliski płaczu z wściekłości. — Nie będę! Nie chcę! Róbcie sobie, co chcecie, ale ja...

— Nie będziesz?

— Nie będę!

Hordubal odsapnął nosem. — Poczekaj więc!

Manya zachłystuje się. Jest mu wstyd, że ma być pośmiewiskiem całej wsi. Wolałby uciec stąd, czy co...

Hordubal wychodzi z obory i ruchami gwałtownymi drze jakiś papier. Drze go na kawałki coraz mniejsze i mniejsze, spogląda na Manę i rzuca mu strzępki papieru w twarz. —

— Więc już nie jesteś narzeczonym. Możesz powiedzieć staremu, że umowę podarłem. — Ramię Hordubala w białej koszuli podnosi się w górę i wskazuje: — A tam oto jest furtka. Ruszaj!

Manya oddycha szybko, oczy zwężają mu się jak ziarna kminu. — Nie pójdę stąd, gospodarzu.

— Pójdziesz! A gdybyś jeszcze raz wrócił, mam strzelbę. Szczepan sinieje. — A jeśli jednak nie pójdę?

Hordubal mierzy pierś w niego. Manya ustępuje.

— Uważajcie no! — syczy.

— Nie pójdziesz?

— Dopóki nie każe mi gaździna — nie!

Hordubal warknął nagle i wali Manę kolanem w brzuch. Manya skręca się z bólu i wtedy twarda ręka chwyta go za kołnierz, druga za portki. Szczepan leci w górę, a potem przez płot opada w pokrzywy.

— Tak — dyszy Hordubal. — Skoro nie chciałeś wyjść przez furtkę, to przez płot! — I ciężkimi wolnymi krokami idzie precz, gładząc sobie potylicę. Takie dziwne gorąco w karku...

Za płotem sąsiada ktoś krótko zachichotał.

XX

Polana, juścić, zamknięta w komorze i siedzi tak cicho, jakby już nie żyła.

Hordubal zaraz z rana zaprzęga do wozu trzylatka i ciężkiego wałacha. Niedobrana para: ogierek zadziera łeb do góry, wałach kiwa głową jakoś poważnie. Dziwna para.

— Powiedz matce, Hafio, że jadę do miasta. Wrócę dopiero wieczorem, dali Bóg.

Niech krowy trzcą z głodu, niech konie tłuą kopytami, niech świny chrząkają, a prosięta kwiczą. Polana musi przestać dąsać się, jest przecie gospodynią. Pójdzie i opatrzy bydłatka. Bo czyż można gniewać się na twory boże?

Wałach kiwa głową, a ogierek zadziera łeb do góry. I Szczepan zadziera głowę tak samo. Trzylatka zaprzęgał z klaczką, że dobrze do siebie pasują. Heta, heta, czemu gryziesz wałacha, ty, złodzieju? E, wyjdzie Polana z komory, aby nakarmić zwierzęta, gdy mnie nie ma w domu, i uspokoi się. Miasto tuż. Widzisz, i powoli dojedziesz do niego.

Najpierw do adwokata, że tak i tak, panie wielmożny, chciałbym zrobić testament. Człek nie wie nigdy dnia i godziny. Więc taki testament. Mam żonę, Polana jej na imię. Wypada, żeby żona dziedziczyła po mężu.

— A cóż jej zapisujecie, panie Hordubalu? Zagrodę, pieniądze, papiery cenne?

Hordubal nieufnie spogląda na adwokata. — A ty na co chcesz wiedzieć takie rzeczy? Napisz tylko: wszystko, co mam.

— Więc napiszemy: wszelkie mienie, ruchome i nieruchome...

Hordubal przyświadcza skinieniem głowy. Tak, wielmożny panie, bardzo to dobrze powiedziane, że wszelkie mienie ruchome i nieruchome, za wszystką jej miłość i wierność małżeńską.

I podpis: w imię Ojca i Syna i Ducha świętego. Hordubal waha się jeszcze.

— I co, wielmożny panie, można znowu wyprowadzić się do Ameryki?

— Ale gdzie tam, panie Hordubalu, w Ameryce mają za dużo robotników, nikogo tam teraz nie wpuszczają. — — —

— Hm, więc tak. A czy nie ma tu w mieście jakiej factory?

— A, fabryki? Są tu i fabryki, ale stoją, nie pracują. Złe czasy, panie Hordubalu — wzdycha adwokat, jak gdyby sam dźwigał brzemień złych czasów.

Hordubal przyświadcza skinieniem głowy. Cóż robić? Już widać ludzi nie potrzebują. Nikomu niepotrzebny taki Hordubal. Szkoda tych pracowitych rąk. Ale może tu gdzie potrzebują koni, takich koni, co chodzą z głową zadartą?

Juraj Hordubal szuka pana komendanta, co rządzi żołnierzami. Tam oto, w koszarach. — Cóż, gospodarzu, szukacie tu syna? Nie, nie syna, ale sprzedałbym trzylatka, panie dragonie. — Tutaj koni nie kupują — mówi żołnierz, ale ręce same wyciągają się ku koniowi, obmacują nogi i kark. — — — Konik jak sarenka, gospodarzu.

I zaraz podchodzi jakiś oficer i kręci głowę. Sprzedać konia? Trudna sprawa, sąsiedzie, teraz nie ma poboru koni. Że konik wasz został przyjęty już na wiosnę? Ładne zwierzę, a czy już ujeżdżone? Jeszcze nie, powiadacie, nie chodziło jeszcze pod siodłem, tylko wasz parobek dosiadał go oklep? Oficerów stoi już z pięciu, i co, ojczulku, czy można spróbować konika? Czemu nie, panie oficerze, ale to dziki koń. Dziki? Zaraz zobaczymy. Dajcie no tu, chłopcy, uzdę i derkę. Co by to było, żeby miał zrzucić naszego Antosia.

I zanimbyś doliczył do pięciu, już na koniku siedzi pan oficer. Ogierek podskoczył, stanął na zadnich nogach, a pan oficer bęc na ziemię! Zręcznie zleciał, usiadł i zaraz się ze śmiechem podnosi, a teraz, chłopcy, gońcie konia po dziedzińcu koszar. Tłusty pan komendant chichocze, aż mu się brzuch trzęsie. — E, panie sąsiedzie, doskonały konik, ale zostawcie go sobie jeszcze w domu, my musimy naprzód napisać takie pismo, że kupujemy tego konia...

Hordubal zasępią się i zaprzęga konika do wozu. — Cóż robić, wielmożny panie. Sprzedam go więc Cyganowi albo rzeźnikowi.

Komendant drapie się po głowie. — Słuchajcie, ojcze, szkoda ogierka. Czy chcecie koniecznie się go pozbyć?

— Tak, pozbyć — mruczy Hordubal. — Niepotrzebny mi.

— No to go zostawcie u nas — postanowił pan komendant — my zaś damy wam taki papier, że macie u nas konia. A później napiszemy wam, ile za niego damy. Zgadzacie się na to?

— Zgadzam się, czemu się nie zgodzić? — mówi Juraj. — To ładny konik, wielmożny panie, głowę nosi wysoko. Mówią osiem tysięcy...
...tysięczków...

— To go sobie zaraz zabierajcie — mówi komendant śpiesznie.

— No, wziąłbym i pięć — waha się Hordubal. Jakiś inny wojskowy pan z lekka kiwa głową.

— To co innego — mówi komendant. — Jeszcze do was napiszemy. Gdybyście się nie zgodzili, będziecie mogli konia zabrać. Zgoda? A teraz damy wam taki papier.

Hordubal jedzie do domu, a na piersiach ma papier z pieczętkami i woreczek ze swoimi dolarami. Wałach idzie truchcikiem i kiwa głową. Nie ma już ogierka. Jakby Szczepan już po raz drugi odszedł, gdy trzylatek sprzedany. I klaczkę trzeba sprzedać i tę klacz ze źrebięciem. Hej, wałaszku, tylko cię lejcami po zadzie połączę i już pędzisz, I jak tu nie odzywać się do konia! Gdy człek się odzwie do konia, ten odwróci głowę i poruszy ogonem. To znaczy, że rozumie, co się mówi. I głową kiwa, bo rozmyśla. Daleko jeszcze do domu, mój stary, ale pod górkę do brze się jedzie. Noo, co ty, nie bój się! To tylko strumyk płynie przez drogę. Daj spokój bąkowi, sam go przepędzę. Wjo! I Juraj zaczyna z cicha i przeciągłe pośpiewywać.

Wałach zwraca wielkie oko ku gospodarzowi: co ty tam mruyczysz? A Hordubal kiwa głową i śpiewa:

Oj, Polana, Polana,

Oj Polana nieboga,

Niech cię Pan Bóg pocieszy,

Oj, Polana, Polana — — —

Hordubal miejsca zagrząć nie może. Wnetże z rana znika z domu i całe gospodarstwo zostawia Panu Bogu na opiece. I Bóg go raczy wiedzieć, gdzie się włóczy. Zaszedł pono aż do Tibawy i, co, Geleteju, nie potrzebowałbyś parobka do krów albo na pole? Na co mi parobka, Hordubalu, kiedy mam dwu synów. Dla kogoż to, bratanuku, miejsca szukasz? Albo w leśnym rewirze tatyńskim, gdzie jest leśnik Stoj, pyta, czy tu nie wycinają lasu? Nie wycinają, bracie, tysiące drzew gnije w lesie. No to z Bogiem. I czy nigdzie nie budują kolei albo szosy? Czy nigdzie nie łamią skał? E, gdzie tam, kumie! U nas nic się nie robi. O nas wszyscy pozapominali, bo i dla kogo tu co budować?

Więc cóż robić? Usiąść gdziekolwiek i czekać aż do zmierzchu. Z daleka dochodzi odgłos dzwoniącego stada, pastuch trzaska z bicza, jakby strzelał, gdzieś tam poszczekuje owczarkowe psisko. W polu ktoś pośpiewuje. Cóż robić? Człek siedzi i słucha, jak brzęczą muszki. Przymyka oczy i w ciągu całych godzin może się w coś wsłuchiwać. Nigdy nie ma ciszy, zawsze coś żyje, i wszędzie wznosi się ku niebu łagodne podzwanianie bożego bydełka.

A pod wieczór idzie się powoli ku domowi. Hafia podaje jedzenie. Takie tam zresztą jedzenie, że i pies by tego nie żarł, ale jeść się i tak nie chce. Juścić, Polana nie ma czasu na gotowanie kolacji. Już noc, wieś układła się do snu, a Hordubal chodzi po podwórku z latarnią i robi, co się da: sprząta w oborze, zgarnia nawóz, nosi wodę... Cichutko, żeby nikogo nie zbudzić, robi Juraj to, co jest robotą chłopską. Już bije godzina jedenasta, chwał Pana duszo chrześcijańska, i Juraj po cichu włazi do obory. No, krówki moje, będzie rano o kawał roboty mniej dla Polany.

I znowu aż do Wołowego Polja szukać roboty. Hej, Harciarzu, nie potrzebujecie wy robotnika? Co ty? Zglupiałeś, czy cię z kryminału wypuścili? Teraz, po żniwach, roboty szukasz? — A ty co pyskujesz? — myśli Hordubal.

Mam w woreczku tyle pieniędzy, że i pół twojej zagrody mógłbym kupić. Nie trzeba od razu pyskować na każdego. Powoli wlecze się Hordubal do domu. Ale co tam robić? Tylko tak, żeby przejść przez te góry, bo cóż robić na obczyźnie?

Juraj siedzi na skraju lasu koło gruntu Warwaryna. I tutaj słysząc dzwonienie stad. Chyba z Legockiego churtoru. Co też porabia Misio w górach na poloninie? W dolinie widać potok, a nad potokiem stoi kobietka. Juraj mruży oczy, żeby lepiej widzieć. Tak jakoś podobna do Polany... Ale skądże znowu! Gdzieby tu Polana! Z takiej dalekości każda baba mogłaby być podobna do Polany. A z lasu biegnie czarne chłopisko. — — —To nie Szczepan — miarkuje Juraj. Jakże mógłby Manya nadejść z tej strony? Czarny przystaje koło kobiety i rozmawia z nią. Że też mają sobie tyle do powiedzenia — dziwi się Hordubal. Widać jakaś dziewczyna i jej chłopak z innej wsi pewno, z Legoty albo z Wołowego Polja. Spotykają się potajemnie, żeby go wiejskie chłopaki nie sprąły. A ci stoją precz i gadają. No, gadajcie sobie, ja nie patrzę. Słońce jest już nad Menczulem, niedługo będzie wieczór. A tych dwoje tam wciąż jeszcze stoi i gada. Trzeba będzie jeszcze spróbować poszukać pracy w kopalni soli. Może tam będzie robota dla majnera? Prawda, że do tej kopalni daleko jakoś. Ale co to szkodzi, że daleko będzie robota? Tych dwoje stoi i gada. Nie znajdzie się chyba roboty i w kopalni.

Nie, już nie gadają z sobą tamci. Hej, jeden tam tylko stoi i zatacza się jakoś. Ale nie, jest ich dwoje i zataczają się, jakby z sobą walczyli. Bo tak mocno trzymają się siebie, że wyglądają, jak jeden człowiek, co się zatacza. W Hordubalu szarpnęło się serce: pobiegnę tam chyba. Nie, pójdę zobaczyć, czy Polana w domu. Musi być w domu. Gdzież miałyby być! Ej, dobry Boże, cóż te nogi, znowu jak z ołowiu! Hordubal wstaje i biegnie wzdłuż lasu, wpada na polną ścieżkę i pędzi do wsi. Hej, jak mocno

kłuje go w boku, jakby mu wbijali taką — igłę koszykar-
ską. Już Hordubalowi tchu nie staje, a on biegnie i biegnie,
dobywając reszty sił. Chwalaż ci, Boże, tu już wieś. Juraj
idzie ostrym krokiem. Co też tak kłuje, drogi Boże! Aby
tylko dojść! Jeszcze tylko kawałek, bo tam są już wrota.
Z całej siły przycisnąć rękę do żeber, żeby ten kolec nie
mógł tak strasznie kłuć, i wpaść do bramy. — — —

Hordubal spocony opiera się o słupek bramy, w głowie
mu się kręci, oddycha, jakby szlochał. Podwórko — puste.
Polana jest pewno w komorze albo gdzie indziej. Jurajowi
jest nagle śmiertelnie obojętne, gdzie ona jest. Nie do-
szedłby do komory, nie wydobyłby z siebie głosu. Dyszy
tylko i charczy, i musi się trzymać mocno, żeby się nogi
pod nim nie ugięły.

Furtka się uchyliła i na podwórko wśliznęła się Polana,
zadyszana, czerwona. Złękła się, gdy ujrzała Juraja, przy-
stanęła i nagle zaczęła mówić z jakimś wielkim pośpie-
chem. — Byłam tylko u sąsiadki, Juraju, u — Herpaczki —
żeby zobaczyć jej dziecko...

Juraj prostuje się cały, podnosi brwi:

— Nie pytałem się o to, Polano.

XXII

Chciałby pójść za stodołę, jak zwykle, ale nie może,
bo go kłuje koło serca. Więc zachowuje się tak, jakby mu
się zachciało siedzieć akurat tu, właśnie na tym kamieniu
koło wrót, i rozglądać się po podwórku. Polana ma nagle
pracy pełne ręce: karmi kury, zamiata zaproże i robi wiele
innych rzeczy.

— Herpakowej urodziła się dziewczynka — mówi, stając
się wielce rozmowną.

Ech, Polano, skąd ci się raptem bierze ta ochota do
gadania?

— Mhm — mruczy Juraj roztargniony.

Zapada zmierzch, Polana otwiera wrota, bo krówki zaraz wrócą z pastwiska.

— Mówiłeś, Juraju, że chciałbyś dokupić parę krów — zaczyna, wahając się.

— Nie trzeba — mruczy Hordubal.

Kiwając głowami, idą krowy do obory, bimbam, bimbam. Juraj wstaje. Chwała Bogu, już można wstać. — Dobranoc, Polano! — powiada.

— A cóż? Wieczery jeść nie będziesz?

— Nie.

Polana zagradza mu drogę. — Juraju, ja ci pościelę w izbie. Co na to powiedzą ludzie, że ty, gazda, śpisz w oborze!

— Niech sobie gadają — mówi Juraj wymijająco. — Jeszcze się nagadają o niejednym.

Zasepiona Polana spogląda za nim, gdy wchodzi do obory. Jakie stare plecy ma ten Juraj!

Hordubal układa się w słomie. W boku już nie kłuje, ale serce jest takie ciężkie i uciska. Zagroda zacicha jakoś nieśmiało, nawet Hafia szczebiocze tylko półgłosem, jakby jej ktoś nakazał, żeby była cicho i nie mówiła tak głośno! Jest tak, jakby w domu był ciężko chory.

A teraz już cicho. Zagroda śpi. Postępując, wygramolił się Hordubal ze słomy, zapala latarnię i idzie się rozejrzeć, czy nie ma gdzie jakiej roboty. Ale znowu kłuje to draństwo w piersi. Stajnię należałoby wyczyścić, a koniom dać świeżą podściółkę, ale Juraj tylko duma: zrobiłbym, juścić, zrobiłbym, ale jakoś mi się dzisiaj nie chce. Obchodzi kurnik, chlew, po drabinie wchodzi na stóg z sianem, czy się nie zagrzało. O, jak kłuje w boku! Obchodzi całe podwórko i wychodzi nawet na ogród. Po co? E, tak sobie tylko, może tam kto jest. Kto by tam miał być? Juścić nikt, ale czy to wiadomo? A strych? Polana nie sypia już na strychu, bo tam jest teraz kukurydza. Polana przeprowadziła się do komory. Hordubal wstrzymuje oddech, żeby nie stęknąć, i wchodzi na strych. Chce otworzyć drzwi, ale

mu się nie udaje, słyhać jakiś sypki szum, gdy porusza drzwiami. Kupa kukurydzy zsunęła się i zawałiła drzwi. A więc i tam nie ma nikogo. Zresztą, kto by się tam miał ukrywać? Jakie to głupie!

Hordubal stoi na podwórku jak czarny słup i zakłopotany głaszcze się po karku. Czego ja tu właściwie chcę? Po co tu lażę? Przez tyle lat mieszkał tu Manya i nie pilnowałem, nie biegałem z latarnią po podwórku. Na co to teraz? Hordubala opanowuje jakaś tępa obojętność. Gdybym teraz leżał w oborze i gdybym usłyszał jakie kroki, czy wstałbym? E, nie wstałbym. Zapytałbym najwyżej, kto tam? I nawet bym nie zawołał, tylko wstrzymałbym oddech. O Boże święty, czyż mam pilnować ludzi dorosłych? Ale i to prawda, że pilnowałbym, udając, że robię po ciemku to i owo. Ale czy można upilnować czyje serce? Ej, głupi, głupi!

No więc, niech Manya wróci! Co mi do tego! Przecież już wszystko jedno. Już wszystko jedno. Co bolało, przestało boleć. Gdy spłonął dom, nikt nie kłopotce się o dziurawą strzechę.

U Herpaków zakwiliło dziecko. No widzisz, może to i prawda, że Polana zachodziła do sąsiadki, by popatrzeć na jej dziecko. Czemu nie? Kobiety przecie głupieją za dziećmi. Teraz więc Herpaczka daje dziecku piersi. — — — Pamiętasz, Polano, jak karmiłaś Hafię? Tylko poruszyłaś ramieniem i pierś znikwała pod koszulą. Jedenaście lat temu. A ty — do Ameryki — — — Ej, głupi, głupi!

Hordubal mruga z gwiazdami w zawody. Mocny Boże, ile ich jest! Ile ich tu przybyło przez te lata! Dawniej nie bywało ich tyle, żeby się człowiek miał aż przerażać na ich widok. Ale już wszystko jedno. Jak gdyby wszystko z czleka opadało, jedno po drugim. Była Ameryka, był powrót do domu. Był Gerycz, Fedesz, Manya — ilu ich było! A teraz nie ma już nic. Wszystko jedno. No, chwala Bogu ulżyło czleкови.

Tuu-tuu-tuuu — — — trąbi stróż nocny gdzieś daleko.
A gwiazd tyle, że człowiek od nich oczu oderwać nie może.
Dobranoc, dobranoc, Polano, dobranoc!

XXIII

Wczesnym rankiem, gdy ludzie jeszcze spali, Hordubal był już daleko za wsią i zmierzał ku góróm. Do Misia. Po co? E, tak tylko, żeby pogadać z człowiekiem. Jest jeszcze mgła, gór nie widać. Jurajowi jest chłodno, ale w piersi już go nie kłuje. Tylko oddycha się jakoś ciężko. Pewno przez tę mgłę. Stąpa pod górę i przechodzi koło dawnego swego gruntu. Musiał przystanąć, żeby odzipnąć. Pole jest już zaorane. Niby sam kamień, ale i Pjosa uważa, że warto się potrudzić na polu. Hordubal ciężko oddycha i idzie dalej. Mgły dźwignęły się i przewaliły przez zalesione szczyty. Jeszcze tylko troszkę i będzie jesień. Hordubal idzie dalej i rękę przyciska do boku. Ano, kłuje go, ale teraz już wszystko jedno, czy się idzie pod górę, czy na dół. I nie ma tu mgły, lecz są chmury. Tutaj czuje się nosem, jakie są nalane wodą. Trzeba uważać, żeby o nie głową nie wyrznąć. A teraz przewaliło się wszystko przez kopiec i już tkwisz w tych chmurach. O trzy kroki od siebie nic nie widzisz i drepcąc przepychasz się przez gęstą mgłę. Sam nie wiesz, gdzie jesteś. Hordubal dyszy i charczy ciężko jakoś i powoli wznosi się ku obłokom.

Zaczął padać chłodny deszcz. Na górze, na połoninie, Misio okręcił głowę workiem i potrząskując biczem, skrzykuje bydło i spędza je do szałasu. Trudno poznać, co masz przed oczami: zwierzę, krzak czy skałę. Ale Czuwaj jest mądry pies, sam obiega stado i pędzi woły, gdzie trzeba. We mgle słyhać tylko podzwanianie stada.

Misio siedzi na progu koliby i patrzy we mgłę. Para rozprasza się na chwilę i widać, jak tulą się do siebie woły. Potem wszystko znika za ścianą mgły i słyhać tylko sze-

lest deszczu. Która też może być godzina? Już chyba po-
łudnie. Wyskakuje Czuwaj, wietrzy mgłę i cicho warczy.

Zza mgły wynurza się postać ludzka. — Jesteś tu,
Misiu? — woła zachrypły głos.

— Jestem.

— Chwalaż Bogu!

Nadchodzi Hordubal przemoczony do ostatniej nitki
i szczęka zębami. Z kapelusza leje się mu woda jak z okapu.

— Czegóż tu szukasz w deszczu? — sroży się Misiu.

— Z rana — nie padało — — — dyszy Juraj. — Noc
była taka jasna... Dobrze, że pada, ziemia jest spragniona.

Misiu mruga zamyślony. — Czekaj, rozpalę ogień.

Hordubal siedzi okutany sianem i przygląda się ogień-
kowi. Drzewo trzaska i płonie, Juraja oblewa fala ciepła,
a Misiu okrył mu plecy workiem. Uf, zaczyna być gorąco
człowiekowi, gorąco, jak tam, głęboko w majnie. Juraj
szczęka zębami i głaszcze mokrego Czuwaja, który siadł
z boku i śmierdzi. E, tam! Sam cuchnę jak zmokły pies! —
Misiu — pyta Juraj szczękając zębami — co to jest, ten
zrąb w lesie?

Misiu gotuje w kociołku wodę i rzuca w nią jakieś zio-
ła. — Ja wiem, że jesteś słaby — mruczy. — Ale czemu
latasz po deszczu, głupi!

— Był w majnie taki jeden chodnik — zagaduje skwa-
pliwie Juraj — i ciągle tam kapała woda. Ciągle: kap-
kap-kap — jak w zegarze. A czy wiesz, że Herpaczce
urodziło się dziecko? Polana zachodziła, żeby na nie po-
patrzeć. — — — A nigdzie nie ma roboty dla człowieka,
Misiu. Podobno już wcale nie potrzeba robotników.

— A jednak rodzą się nowi ludzie! — warczy Misiu.

— Muszą się rodzić! — cedzi Juraj przez zęby. —
Dlatego, że są na świecie kobiety. Tyś nie żonaty, to i nic
nie wiesz. Co ty możesz wiedzieć, skoro nie masz żony!
Tak, bratku, o wszystkim trzeba pomyśleć. Trzeba, żeby
w testamencie było, że za jej wierność i miłość małżeńską.
Bo inaczej, Bóg wie, czego by ludzie nie nagadali na nią.

A szkoda, że mnie okradli na trzy tysiące dolarów. Mogłaby żyć jak szlachcianka. No powiedz, Misiu, no powiedz!

— Prawda — przyświadcza półgębkiem Misiu i dmucha w ogień.

— No widzisz. Niejeden powie: głupiec! Zazdrości mi, że mam taką żonę, co nosi głowę wysoko jak koń najdroższy. Tacy już są ludzie: koniecznie chcą krzywdzić człowieka. A tymczasem ona była tylko u sąsiadki, żeby popatrzeć na dziecko. Takie paskudne gadanie, Misiu. Powiedz im, że sam widziałem, jak wychodziła od sąsiadki.

Misiu kiwa głową z wielką powagą. — Powiem wszystko, powiem.

Juraj odetchnął z ulgą. — Dlatego przyszedł do ciebie, rozumiesz? Ty nie masz żony, nie masz na kim się mścić. Tamci — nawet by nie wierzyli, ale ty zaświadczysz, Misiu. Każdy chyba zrozumie, że musiała wziąć parobka, gdy gospodarz wyjechał. Ale zamykała się na strychu, zasuwę tam miała jak wszyscy diabli. Sam widziałem. A taki Gerycz zacznie mi dogadywać! Że niby osiem lat i tego owego. Powiedźże sam, kto ją znał lepiej: Gerycz, czy ja? Tylko ramieniem poruszyła i pierś chowała się pod koszulą. A ten wtedy nad potokiem, to był chłopak z Legoty, sam widziałem, że przyszedł z Legoty. A ludzie zaraz zaczynają plotkować.

Misiu kiwa głową. — Masz, wypij! To zdrowe.

Juraj pije gorący odwar i spogląda na płonący ogień. — Ładnie tu u ciebie, Misiu. I powiedz im, bo tobie wierzą, jako że jesteś jasnowidzący. Że to była zacna i wierna żona. — — — Dym szczypie w oczy, Juraj łzawi. Nos mu się jakoś zaostrzył. — Tylko ja jeden wiem, jaka ona jest. Ech, Misiu, zaraz bym pojechał znów do Ameryki i porysowałbym jej pieniądze. — — —

— Wypij wszystko od razu — przymusza go Misiu. — Rozgrzejesz się.

Hordubalowi splywa z czoła obfity pot, jest mu słabo

i błogo. — O tej Ameryce mógłbym ci tyle naopowiadać, Misiu! — wywodzi. — Dużo już pozapominałem, ale czekaj, przypomnę sobie. — — —

Misio w milczeniu przykłada drzewek na ogień. Hordubal oddycha szybko i mruży coś zasypiając. Deszcz przestaje padać, tylko ze świerków za kolibą opadają ciężkie krople, ale mgły przewalają się dalej. Czasem zarzyczy wół i Czuwaj biegnie, żeby zobaczyć, czy stado jest w porządku.

Misio czuje coś na plecach; są to oczy Hordubala. Już dawno nie śpi i spogląda na niego zapadniętymi oczami.

— A jak myślisz, Misiu, czy człowiek może sobie sam życie odebrać? — pyta zachrypłym głosem Juraj.

— Co?

— Czy człowiek może odebrać sobie życie?

— Po co?

— Żeby się uwolnić od myśli. Są takie myśli, Misiu, które — — — być nie powinny. Myślisz, na przykład, że kłamała, że nie była u sąsiadki... — Usta Juraja wykrzywiły się dziwnie. — Misiu — zacharczał — jak się od tego uwolnić?

Misio дума i mruga oczami. — Ciężka sprawa. Myśl aż do ostatka.

— A jeśli na ostatku jest tylko koniec? Czy człowiek może zakończyć z sobą sam?

— Nie trzeba — prawi Misio wolno. — Po co ci? I tak — — — umrzesz.

— Rychłóż?

— Jeśli już chcesz wiedzieć — — — rychło.

Misio wstaje i wychodzi z koliby. — A teraz śpij! — odwraca się ku niemu we drzwiach i znika we mgle jak w obłokach.

Hordubal próbuje wstać. Chwała Bogu, już lepiej, tylko głowa jakoś się kręci i ciało jest takie sflaczałe, jakby ze szmat.

Zataczając się, Juraj wychodzi i znika we mgle. Stad

nie widać, ale słycać ich dzwonięnie. Tysięce wołów pasie się w obłokach i podzwania dzwoniękami: bimbam, bimbam. Juraj idzie i sam nie wie dokąd. Muszę wrócić do domu — myśli — i dlatego trzeba iść. Tylko że sam nie wie, czy idzie na dół, czy w górę. Pewno schodzi na dół, bo jest mu tak, jakby spadał. Ale może też idzie pod górę, bo strasznie ciężko się idzie i z trudem się oddycha. Wszystko już jedno, byle dostać się do domu. I Juraj Hordubał zanurza się w obłoku.

XXIV

Znalazła go Hafia w oborze. Krowy były niespokojne, więc Polana ją posłała, idź, zajrzyj do obory. Leżał na słomie i charczał.

I już się nie sprzeciwiał, gdy Polana prowadziła go do izby. Próbował tylko zmarszczyć brwi. Rozebrała go i ułożyła w łóżku.

— Chcesz czego?

— Nie chcę! — Dygotał i chciało mu się spać. Coś mu się śniło i wyrwało go ze snu. Cóż to było? Gerycz przecie nie był w Ameryce i wszystko poplątał, a teraz trzeba zaczynać od początku. Żeby tylko nie ciążyło tak strasznie na piersiach. Widać ten gałgan Czuwaj położył mi się akurat na piersi i śpi. Niespokojną ręką głaszcze się Juraj po włochatych piersiach. Leż sobie, kundlu, leż! O, jak ci serduszko bije! I jakiś ty ciężki, piesku!

Przez chwilę spał, a gdy otworzył oczy, Polana stała we drzwiach i badawczo nań patrzyła. — Jak się masz?

— Już lepiej, duszko. — Bał się przemówić do niej, żeby się wszystko nie rozwiało i nie przemieniło w jego komórkę w Johnstown. Przecież teraz jest — — — jakby w domu. Malowany kufer, dębowy stół, dębowe krzesła — — — Serce zakolała żywiej: przecie ja wreszcie wróciłem do domu. Ach, Boże, jakaż długa była droga, dwa tygodnie na lowerdecku i w pociągu, człowiek jest teraz jak połamany. Ale poruszyć się nie mogę, bo mi wszystko zniknie.

Lepiej już zamknąć oczy i wiedzieć tylko, że to wszystko jest tuż.

A potem znowu wszystko się płacze: majnerzy w Johnstown — Harciarz — biją Hordubala. Juraj ucieka chodnikiem, kluczy, łapie się drabiny szybowej i drapie się po niej w górę. Z góry leci winda, rozwali mu głowę, zabije go na amen. I Hordubala budzi jego własne stęknienie. Trzeba walczyć z sennością. Tu jest lepiej. Wytrzeszczonymi oczyma przygląda się Juraj spokojnym sprzętom. Tak, tu jest lepiej. Hordubal pokazuje coś palcem i opowiada Misiowi o Ameryce. Ja się, bratku, nie bałem nawet najcięższej pracy. Hallo, Hordubal! — wołają, a ja wnet idę. Pewnego razu osunął się chodnik. Nawet cieśle nie chcieli tam pójść. Dostałem wtedy dwadzieścia dolarów i sam inżynier ścisnął mi rękę, Misiu, tak mi ścisnął rękę. A teraz zjeżdża Hordubal windą na dół, niżej, coraz niżej. Siedzi tam jakaś tłusta Żydówka i suchy staruszek, i surowo spoglądają na Hordubala. Sto osiemdziesiąt jeden, osiemdziesiąt dwa, trzy, naliczył Juraj i krzyczy: Dość! Dość! Głębiej już nie można, bo to już samo dno szybu! Ale winda zjeżdża coraz niżej, jest coraz goręcej, nie ma czym oddychać! Cóż to, ci dranie zjeżdżają aż do piekła? Jutrajowi zdaje się, że się udusi i budzi się nagle.

Swita. We drzwiach stoi Polana i uporczywie patrzy.

— Już jest lepiej — miamle Hordubal, a w oczach mazar. — Nie gniewaj się, Polano, ja zaraz wstanę.

— Poleż sobie — mówi Polana i podchodzi ku niemu. — Boli cię co?

— Nie boli. W Ameryce też mi tak było. Powiedział doktor, że to flou, grypa. A po dwóch dniach byłem jak ryba. Jutro wstanę, duszko. Robię ci tu nieporządek, prawda?

— Chciałbyś czego?

Hordubal kręci głową. — Jest mi zupełnie dobrze. Tylko trochę zimnej wody. Sam bym zresztą mógł...

— Zaraz ci podam! — I Polana wychodzi.

Hordubal podłożył sobie poduszkę pod plecy i poprawił na piersiach koszulę. Żeby mnie Polana nie widziała takiego rozchętanego, myśli. Gdybyż tak można umyć się i ogolić? Zaraz przyjdzie Polana, zaraz tu będzie. Może usiądzie nawet na krawędzi, podczas gdy będę pił. Juraj odsuwa się, żeby miała gdzie usiąść, i czeka. Może zapomniała o mnie — pomyślał. Ma biedaczka tyle roboty! Gdybyż przynajmniej Szczepan wrócił! Powiem jej, gdy przyjdzie: Cóż, Polano, może by tak Szczepan mógł wrócić?

We drzwiach ukazuje się Hafia i niesie szklanekę wody, a niesie ją tak ostrożnie, aż z nadmiaru ostrożności wysuwa język.

— Dobraś dziewczynka, Hafia—odetchnął Hordubal.— A cóż wujaszek Szczepan, nie przyszedł?

— Nie przyszedł.

— A co robi matka?

— Stoi na podwórku.

Hordubal nie wie już, co by tak jeszcze powiedzieć. Nawet o picciu zapomniał. — No idź sobie, mała — mruczy i Hafia w mig jest za drzwiami.

Juraj leży cicho i wsłuchuje się. Konie w stajni tłuką kopytami. Czy też Polana dała im wody? Nie, teraz daje świniom, bo słychać zadowolone chrząkanie. Ile kroków musi zrobić taka kobieta! — dziwi się Hordubal. Powinien by wrócić Szczepan. Pojadę do Rybar i powiem mu, co ty się tu wálkonisz, próżniaku? Ruszaj do koni! Polana nie da rady wszystkim robocie. Może po obiedzie pojadę, myśli Juraj, ale na oczy padają mu jakieś zasłony i wszystko znika.

We drzwiach stoi Hafia i zagląda do izby. Chwilkę przestępuje z nogi na nogę i ucieka. — Śpi — szepcze matce, stojącej na dworze. Polana nic, tylko nad czymś bardzo usilnie rozmyśla.

Okolo południa Hafia na palcach wchodzi do izby. Hordubal leży z rękoma nad głową i mruga wpatrzony w sufit.

— Matka pyta, czy czego chcecie? — powtarza, co jej kazano.

— Ja myślę, Polano — wywodzi Juraj — że Szczepan mógłby wrócić.

Dziewczynka nic nie rozumie i w zdumieniu szetoko rozwiera gębule.

— I jak się macie? — mówi z głębokim wydechem.

— Dobrze. Grzecznie dziękuję.

Hafia wybiega na dwór. — Mówi, że dobrze — melduje Polanie.

— Całkiem dobrze?

— No tak — przyświadcza dziewczynka.

A potem nastala popołudniowa cisza. Hafia już nie wie, co ma robić? Matka jej nakazała, żeby była w domu, gdyby gazda czego potrzebował. Hafia bawi się na zaprożu lalką, którą wystrugał jej Szczepan. Nie wolno wychodzić, poucza lalkę, gospodarz się położył, musisz pilnować zagrody. I nie płacz, bo dostaniesz klapsa.

Na palcach idzie Hafia, aby zajrzeć do izby. Gospodarz siedzi na łóżku i kiwa głową.

— Co robi matka, Hafio?

— Gdzieś poszła.

Hordubal znowu kiwa głową. — Powiedz jej, żeby Szczepan wrócił. A tego ogierka może Szczepan otrzymać z powrotem. Czy chciałabyś mieć króliki?

— Chciałabym.

— Zrobię ci klatkę dla królików, taką samą, jaką miał majner Jensen. Ech, Polano, w Ameryce jest takich rzeczy bardzo dużo... Wszystko sam zrobię. — Hordubal kiwa głową. — Czekaj, zabiorę cię z sobą w góry, na połoninę, tam jest taki dziwny zrab, że nawet Misio nie wie, co by to być mogło. Idź, idź, powiedz matce, że Szczepan wróci.

Hordubal jest jakiś zadowolony, kładzie się i zamyka oczy. Robi się ciemno jak w chodniku kopalnianym. Buch

— buch! — wałą młoty w skale. A Szczepan się śmieje, że to same kamienie. No, dobrze, ale za to nie wiesz, ty głupi, co to jest robota. Po robocie poznaje się chłopca. A jakie drzewo, duszko, masz na dworze? Same proste szczapy? A ja rąbałem pniaki i karpinę. Rąbanie takich pniaków, to robota dla chłopca. Albo dobywanie kamieni z ziemi. Hordubal jest zadowolony. Dużo się napracowałem, Polano, Bóg mi świadkiem, że dużo. Ale dobrze jest i tak. Wszystko w porządku. I Juraj z rękoma skrzyżowanymi spokojnie zasypia.

Zbudził się o zmierzchu, bo zmrok cięży. — Hafio! — woła — gdzie jest Polana? Hafio! — Cicho, tylko z oddali słychać dzwonięcie. Stada wracają z pastwiska. Hordubal wyskoczył z łóżka i wdziewa spodnie: trzeba krowom wrota otworzyć. W głowie się człękowi kręci od tego leżenia. Juraj wlece się z izby na podwórko i na oścież otwiera wrota. Dzwonięcie zbliża się, wali się jak rzeka, jak gdyby się cały świat rozdzwonił krowimi dzwonekami i brzękaniem dzwoneczków cielőcych. Jurajowi chce się uklęknąć, bo jeszcze nigdy nie słyszał takiego uroczystego i wspaniałego dzwonięcia. Kiwając głowami, wchodzą na podwórko dwie krowki, ogromne jakieś, z jasnymi wymionami. Juraj opiera się o wrota, i jest mu tak dobrze, tak pojednawczo, jakby się modlił.

We wrota wpadła Polana, śpiesząc się, zdyszana. — Ty już wstałeś? — wyrwało jej się pytanie. — A gdzie Hafia?

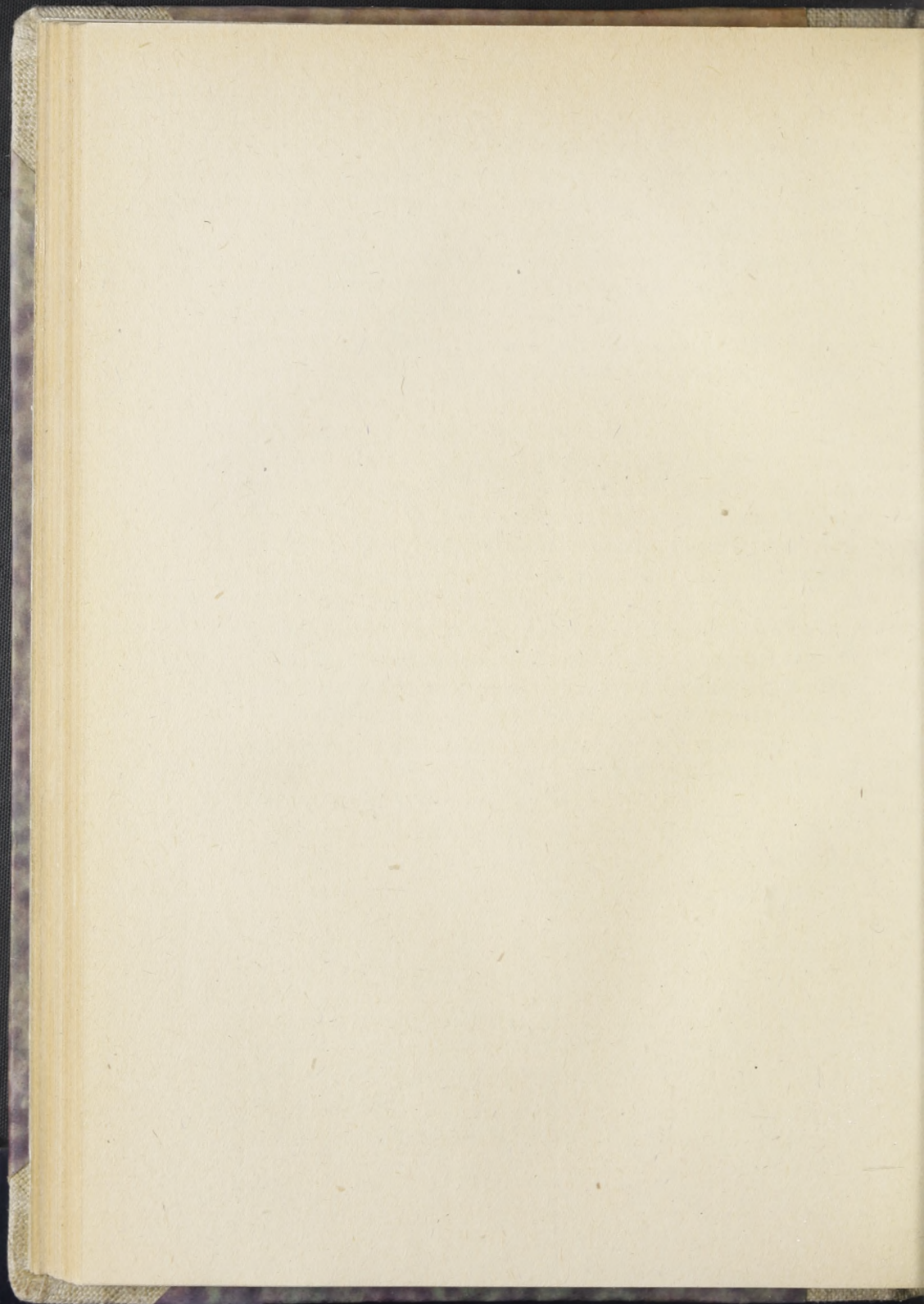
— Wstałem — mruczy Juraj, jakby się tłumaczył. — Już mi dobrze.

— Idź, idź, połóż się jeszcze — każe Polana. — Rano — — — będziesz zdrów zupełnie.

— Jak chcesz, duszko, jak chcesz — mówi Juraj posłusznie i uprzejmie. — Na próżno bym ci tu przeszkadzał. — Zamknął jeszcze wrota, zawiesił haki i powoli zawrócił ku izbie.

Gdy mu zaniesiono wieczerzę, spał.

KSIEGA DRUGA



— Juraja Hordubala zabili!

Starosta Gerycz pośpiesznie zarzuca gunię na plecy. —
Leć, chłopcze, po żandarmów! — rozkazuje szybko. —
Żeby przyszli do Hordubalów.

Po podwórku zagrody Hordubala biega Polana i załamuje ręce. — Ach mój Boże, mój Boże! — biada. — Kto to mógł zrobić! Zabili gazdę, zabili!

Przerażona Hafia siedzi w kącie, przy płotach stoją zdrętwiałe sąsiadki, gromadka mężczyzn tłoczy się koło furtki. Starosta idzie prosto do Polany i kładzie jej rękę na ramieniu. — Przestańcie, gaździno. A co mu się stało? Gdzie ma ranę?

Polana zadrżała: — Ja nie-nie-nie wiem, ja tam nie bylam, nie mogłam...

Starosta przygląda jej się uważnie. Była blada i twarda jakaś. Zmuszała się po prostu, żeby tak biegać po podwórku i biadać.

— Więc kto go widział?

Polana zaciska usta, ale w tej chwili nadchodzą żandarmi i zamykają furtkę ludziom przed nosem. Przybywa stary otyły Gelnaj z kołnierzem rozpiętym i bez karabinu, i Biegl, nowy żandarm, błyszczący nowizną i gorliwością.

— Gdzie jest? — pyta Gelnaj półgłosem. Polana wskazuje ku izbie i zawodzi.

Hordubal Amerykanin leży na łóżku, jakby spał. Gelnaj zdjął kask i ociera pot z czoła, żeby zatuszować wzruszenie. Gerycz sterczy zasępioły we drzwiach. Tylko Biegl

podchodzi ku leżącemu człowiekowi i pochyla się nad łóżkiem. — Patrzcie, panowie, tu na piersi. Wygląda to tak, jakby go byli czymś przebili.

— Robota domowa — mruczy starosta.

Gelnaj odwraca się z wolna ku niemu. — Co tymi słowy chcecie powiedzieć, panie Gerycz?

Starosta potrząsa głową. — Nic. — Biedny Juraj, myśli sobie.

Gelnaj drapie się po potylicy. — Patrzcie, Karolku, okno wybite. — Ale Karolek podnosi koszulę zamordowanego i zagląda pod nią. — Dziwne — cedzi przez zęby. — To nie nóż. I tak mało krwi. —

— To okno, panie Biegl — powtarza Gelnaj. — To coś dla pana.

Biegl zwraca się ku oknu. Jest zamknięte, tylko w jednej szybie wybity otwór. — Patrzajcież! — zawołał rozbarwiony. — Więc to miało być tędy. Tylko że tą dziurą nikt nie mógł przeleźć, panie Gelnaj. A tutaj w szybie są ślady diamentu, ale od wewnątrz. Pocięcha pierwszej klasy!

Gerycz na palcach podchodzi do łóżka. Ej, ty biedaku, jaki ostry masz nos! I oczy ma zamknięte, jakby spał — —

Biegl ostrożnie otwiera okno i wygląda na dwór. — Naturalnie! Tegom się spodziewał — melduje z zadowoleniem. — Szkło potłuczonej szyby leży na dworze, panie Gelnaj.

Gelnaj sapnął. — Więc wy, starosto, powiadacie, że to robota domowa? — rzekł z wielką powagą. — Szczepana Mani tu nie widzę.

— Będzie niezawodnie w domu, w Rybarach — odpowiada starosta niechętnie jakoś.

Biegl wtyka nos do każdego kąta. — Nigdzie nie ma niczego przewróconego, wylamanego...

— Mnie się to nie podoba, Karolku — powiada Gelnaj.

Biegl wyszczerzył zęby. — Zbyt głupio zrobione, prawda? Ale niech pan poczeka, to się da ładnie opracować. Ja, panie Gelnaj, bardzo lubię wypadki jasne.

Gelnaj wychodzi na podwórko, otyły i dostojny. —
Chodźcie no tu, gaździno Hordubalowa — kto był tej no-
cy w domu?

— Tylko ja — i Hafia, ta mała córeczka.

— Gdzie pani spała?

— W komorze. Z Hafią.

— Te drzwi, prowadzące na podwórko, były zamknięte,
prawda?

— Tak, proszę pana.

— A rano — były zamknięte? Kto je otwierał?

— Ja sama. O świcie.

— Kto pierwszy spostrzegł zabitego?

Polana zaciska usta i nie odpowiada.

— Gdzie wasz parobek? — ostro pyta Biegl.

— W domu, proszę pana, w Rybarach.

— Skąd pani o tym wie?

— No, ja tak przypuszczam — — —

— Nie pytam, co pani przypuszcza. Skąd pani wie, że
jest w Rybarach?

— ...Nie wiem.

— Kiedy był tu po raz ostatni?

— Dziesięć dni temu. Został odprawiony — — —

— Kiedy widziała go pani ostatnio?

— Dziesięć dni temu.

— Niech pani nie łże! — warknął Biegl prosto z mostu. —

Wczoraj się pani z nim widziała. Wiemy o tym.

— To nieprawda! — westchnęła Polana wystraszona.

— Przyznajcie się, Hordubalowo — dogaduje jej Gelnaj.

— Nie — tak. Wczoraj mnie spotkał...

— Gdzie? — natarł Biegl.

— Na dworze.

— Gdzie, na dworze?

Polana nie wie, gdzie spojrzeć. — Za wsią.

— Co pani robiła za wsią? Więc co? Prędzej!

Polana milczy.

— Pani miała z nim schadzkę, prawda? — zaczyna znowu Gelnaj.

— Nie! Bóg mi świadkiem! Spotkał mnie przypadkowo...

— Gdzie? — naciera znowu Biegl.

Polana zwraca zaszczone oczy ku Gelnajowi. — Spotkał mnie przypadkiem — — I pytał tylko, kiedy mógłby przyjść po swoje rzeczy. Ma tu jeszcze swoje ubranie, tam w stajni.

— Aha, gazda wyrzucił go od razu, bez wypowiedzania mu miejsca. Tak? I za cóż to, pani gospodyni?

— Pokłócili się z sobą.

— I kiedy miał przyjść po swoje rzeczy?

— Dziś — dziś rano.

— I przyszedł?

— Nie przyszedł.

— Dlatego, że był tu w nocy! — zawołał twardo Biegl.

— Nie! Nie było go tu! Był w domu!

— Skąd pani wie?

Polana zagryza usta. — Nie wiem.

— Chodźcie no, Hordubalowo — rzekł twardo Biegl. — Tam nad zwłokami tego zamordowanego powiecie nam więcej.

Polana zatacza się jak pijana.

— Dajcie jej, panowie, spokój — woła Wasyl Gerycz Wasylów — jest ciężarna.

II

Gelnaj siedzi na podwórku i pozwala Biegłowi przetrząsnąć całą zagrodę. Ten zaś węszy, węszy, a oczy płoną mu od nadmiaru gorliwości. Zbadał dokładnie stajnię i oborę, wszystko obejrzał, a teraz szuka czegoś nawet na strychu. Rozruszał się porządnie i jest w swoim żywiole. Takie to sprawy tego świata — myśli Gelnaj. — Mnie wystarczy Cyganie i pilnowanie porządku — — — No, niech i Karolek ma trochę swojej roboty.

Z izby wychodzi doktor i zbliża się do pompy, aby obmyć ręce. Podbiega do niego Biegl i wypytuje niecierpliwym: — Więc co? Więc co?

— To się pokaże przy sekcji — odpowiada doktor. — Ale powiedziałbym, że to był jakiś gwóźdź, czy coś takiego. Ledwo dwie — trzy krople krwi — — — Dziwne.

Polana niesie mu ręcznik.

— Dziękuję, pani gaździno. I słuchajcież no, czy mąż nie był czasem chory?

— Wczoraj leżał, miał widać gorączkę.

— Aha. A pani spodziewa się dziecka. Prawda?

Polana rumieni się gwałtownie. — Aż na wiosnę, wielmożny panie.

— Nie na wiosnę, matuchno, ale około Nowego Roku ja-
koś. Prawda?

Biegl mruga oczami, wielce zadowolony, i spogląda za oddalającą się Polaną. — Otóż byłby i motyw, Gelnaju. Hordubal wrócił z Ameryki dopiero w lipcu.

Gelnaj sapnął. — Hordubalowa uważa, że to był ktoś obcy. Przed jakimś tygodniem mąż jej miał się pobić w karczmie i podobno dobrze przetrzepał Fedelesza Gejzę. Rozwalili mu łeb. Gejza to wielki zabijaka. Więc może to zemsta. Macie tu, Karolku, także ładny motyw.

I doktor także spogląda za Polaną i mówi w roztargnieniu: — Szkoda! Wy mi ją zamkniecie, panowie, a ja lubię bywać przy porodach. U nas zresztą nigdy nie ma sposobności do akuszerowania, bo kobiety rodzą tu jak kotki. Ale ta będzie miała niezawodnie poród trudniejszy.

— Czemuż to?

— Stara i sucha. Ze czterdzieści będzie miała. Nie?

— Gdzie tam! — protestuje Gelnaj. — Najwyżej trzydzieści. Więc Hordubal chorował? Jak to można poznać po nieboszczyku?

— Lekarska tajemnica, panie Gelnaj, ale panu powiem. Pod łóżkiem stał pełny nocnik.

— Na to nawet nie zwróciłem uwagi — rzekł zawistnie Biegl.

— Więc do widzenia, panowie — rzekł doktor oddalając się na elastycznych nóżkach. — A o sekcji dacie mi znać. Prawda?

— Ja się jeszcze trozejrzę po domu — mówi Biegl — a potem moglibyśmy się wybrać do Rybar.

— I cóż wy, Karolku, wciąż jeszcze szukacie? Wciąż wam się chce motywów?

— Dowodów — odrzekł Biegl sucho. — I narzędzia.

— Aha. Więc szczęść wam Boże!

Gelnaj szwenda się po podwórku, podchodzi do płotu i wdaje się w rozmowę z sąsiadką. Drażnił ją tak długo, aż dostał od niej ścierką przez głowę i bukietik kwiatów. W kącie koło komory skuliła się wystraszona Hafia. Gelnaj uśmiecha się do niej i robi pocieszne miny. Hafia boi się zrazu, a potem i ona zaczyna się uśmiechać. Gdy Biegl po długiej chwili wylazł skądś, ze stodoły czy obory, Hafia siedziała na kolanach Gelnaja i opowiadała mu, że dostanie klatkę dla królików.

— Nic nie znalazłem — mruczy Biegl rozzłoszczony. — Ale ja tu jeszcze wrócę. Co by to było, żebym ja... Czy powiedział pan Geryczowi, żeby nam kazał przygotować wóz do Rybar?

— Już czeka — odpowiedział Gelnaj i klapsem w zadek rozstał się z Hafią.

— Więc co pan o tym sądzi, panie Gelnaj?

— Coś panu powiem, panie Biegl — wywodził bardzo poważnie Gelnaj — ja w ogóle nic o tym myśleć nie będę. Po dwudziestu pięciu latach służby ma się takich rzeczy po dziurki w nosie. Mnie się to nie podoba.

— No tak — powiada Biegl tonem znawcy — ale morderstwo to nie bułka za dwa grosze.

— Nie o to chodzi, Karolku — rzekł Gelnaj pojednawczo, kiwając głową. — Tylko, że morderstwo na wsi to rzecz, którą należy traktować jakoś inaczej. Pan jest czło-

wiekem miejskim, pan tego nie rozumie. Gdyby to było morderstwo rabunkowe, to weszylbym do stu tysięcy diabłów, tak samo jak pan. Ale morderstwo rodzinne — — I nawet panu powiem, że się wcale nie dziwię, iż tego Hor-dubala zabili.

— Dlaczego?

— Taki to już nieszczęśnik... Miał tę rzecz wypisaną na nosie.

Biegl uśmiecha się ironicznie. — Diabła tam miał wypisanego na nosie. Miał w łóżku młodego parobka i w tym sęk. Człowiecze boży, przecież to taki jasny wypadek!

— Co znowu! Takie wypadki rodzinne nie bywają nigdy jasne — mruzczał Gelnaj. — Sam pan jeszcze zobaczy, panie Karolku. Zamordować dla pieniędzy, to jasne. To się robi raz dwa. Ale niech pan pomyśli: w ciągu długich tygodni nosić w sobie taką rzecz, zastanawiać się nad nią we dnie i w nocy... To tak, panie Biegl, jakbyś pan wsadził nos w piekło. Dla pana ta rzecz jasna, bo pan nowy w tych stronach. Ale ja, Karolku, znałem całą tę trójkę — — — Zresztą co tu dużo gadać! Jedźmy do tych Rybar.

III

— Szczepan w domu?

— Nie ma go, poszedł do miasta.

Biegl odsunął na bok Michała Manę i wbiegł do izby. Gelnaj tymczasem wdaje się w rozmowę ze starym Maną i Michałem o pogodzie, o zajęcach, o gnojówce, która wy-cieka na drogę.

Biegl wraca, a za nim Szczepan, blady, zacięty w sobie; na ubraniu ma źdźbła siana.

— Czemuście mówili, że go nie ma w domu? — krzyknął Biegl na Michała.

— Mówił z rana, że pójdzie do miasta — mruzczał Michał. — Czyż ja go pilnuję?

— A tymczasem ukrywał się w sianie. Czemuście się tam schowali, he?

— Nie chowałem się — odpowiada Szczepan ponuro. —
Czemu miałbym się chować? Spałem po prostu.

— A dlaczego nie wyspaliście się w nocy, co?

— Wyspałem się. Czemu nie miałbym się wyspać, pro-
szę pana?

— Więc czemu spaliście teraz?

— Bo nie mam co robić. Dość napracowałem się
w służbie.

— Wczoraj pracował cały dzień, proszę pana. Orał po-
le — wspomaga syna stary Manya.

— Was nie pytam — odciął się Biegl. — Idźcie do izby,
zwawo, i Michał też.

— Ach, tak — tak — wzdycha Gelnaj. — A co wy,
Szczepanie, na to, co się stało z Hordubalem.

— Ja mu tego nie zrobiłem! — wyrwał się Szczepan.

— Więc już wiecie, że go zabili? — zwycięsko wtargnął
do rozmowy Biegl. — A któż to wam o tym powiedział?

— Nikt... — — — Ale gdy człek widzi żandarmów
— — — Pomyślałem, że to pewno coś z Hordubalem będzie.

— A dlaczego akurat z Hordubalem?

— Ponieważ... ponieważ się pokłóciliśmy. — Szczepan
zacina pięści i zęby. — Wyrzucił mnie, pies jeden!

Biegl jest trochę rozczarowany. — Uważajcie dobrze,
Manyo: przyznajecie się więc, że z Hordubalem rozeszliście
się w złości.

Szczepan gniewnie błyska zębami. — O tym wiedzą
wszyscy.

— I chcielibyście się zemścić na nim?

Szczepan sapnął. — Gdybym go spotkał, sam nie wiem,
co bym mu zrobił.

Biegl zastanawia się przez chwilę. Ze Szczepanem nie-
łatwa sprawa.

— Gdzie byliście nocy dzisiejszej? — rzucił prosto
z mostu.

— W domu byłem. Tutaj. Spałem.

— To się pokaże. Czy może kto o tym zaświadczyć?

— Może. Michał. Djula. Nasz stary. Niech pan zapyta.

— Mnie radzić nie potrzebujecie — warknął Biegl. — Wczoraj po południu rozmawialiście z Hordubalową. O czym?

— Nie rozmawiałem z nią — odpowiedział Szczepan skupiony i twardy. — W ogóle jej nie widziałem.

— Kłamiecie! Sama powiedziała, że miała z wami schadzki i że się jej pytaliście, kiedy macie przyjść po swoje rzeczy.

— Nie widziałem jej już od dziesięciu dni — upiera się Szczepan przy swoim. — Odkąd opuściłem służbę, nie byłem w Krywej i gaździny nie widziałem.

Biegl się wścieka. — Uważajcie no! Ja was nauczę gadać! Dalej naprzód i proszę mi pokazać, gdzieście w nocy spali.

Szczepan wzrusza ramionami i prowadzi Biegla do izby. Gelnaj puka w okienko. Hej, stary, chodźcie no tu!

Stary Manya wlecze się na dwór i nieufnie mruga.

— Grzecznie proszę, co się stało?

Gelnaj machnął ręką. — E, pobili tej nocy Hordubala, dostał kijem w łeb. Słuchajcie, stary, czy nie zrobił mu tego Szczepan?

Stary kręci głową. — Ej, chyba nie, proszę pana. Tego nie mógł zrobić Szczepan. Był w domu i spał. Hej, Michał, chodź no tu! Powiedz, gdzie był Szczepan tej nocy?

Michał myśli przez chwilę i mówi powoli: — Gdzie miał być? Spał na gorze, ze mną i z Djulą.

— Tak, tak, zaraz sobie to pomyślałem — przyświadcza Gelnaj. — A ten Hordubal ma we wsi ludzi nieżyczliwych. Wiadomo, bogaty Amerykanin, a sąsiadów nie poczęstował jak się należy.

Stary Manya podniósł ręce do góry. A bogaty taki! Na karku nosi worek z samymi dolarami...

— Widzieliście je?

— Widziałem. Przecie przyjeżdżał do nas kupować zagrodę i pokazywał pieniądze. Było więcej niż siedemset do-

larów, proszę pana. Niezycliwych miał we wsi dużo niezawodnie. Proszę grzecznie: pyszny człowiek nie miewa przyjaciół.

Gelnaj z powagą przyświadcza. — A od czego tu macie, Manyo, takie podziurawione drzwi?

— To od igły koszykarskiej, którą się tam wbija. Przez cały rok tam tkwi.

— Pokażcie mi, jak ona wygląda — interesuje się Gelnaj. — Nawet nie wiedziałem, że do plecienia koszy potrzebna jest igła.

— Bo się pręty wikliny przerzuca igłą, o, tak — pokazuje Manyo w powietrzu. — Wczoraj jeszcze ta igła tu była — gniewa się stary — nie wiesz, Michał, gdzie się podziała?

— E, dajcie spokój — mruczy Gelnaj obojętnie. — Pokażecie mi kiedy, jak będę tędy przechodził. Chciałbym widzieć, jak się to robi. Ale ta gnojówka, Manyo, nie powinna wyciekać na drogę. To nie wasza droga.

— Proszę grzecznie, jak tylko zaczniemy nawozić pola, gnojnik się wywiezie...

— Należałoby mieć porządny dół, cementowany. Przydałoby się trochę pieniędzy na poprawienie gospodarstwa. Prawda?

— Przydać by się przydało, proszę pana — grzecznie chichocze stary. — Zbudowałoby się nową stodołę. Ale mój Michał to głupiec. Co innego Szczepan. Ten ma daleko więcej rozumu do gospodarki. Szczepan to byłby dobry gazda!

Z pola wraca Djula, wiezie na wozie kupkę siana, ale gdzie jak wszyscy diabli.

— Chodź no tu, chłopcze — woła go z ojcowską życzliwością Gelnaj. — To tylko tak dla porządku. Gdzie był Szczepan dzisiejszej nocy?

Djula otwiera zdumione oczy i spogląda pytająco na starego i na Michała. Nikt nawet nie mrugnął. — Był tutaj

— mówi cicho Djula. — Spał na strychu ze mną i z Michałem.

— Dobrześ powiedział — pochwalił go Gelnaj. — No, do kawalerii się zapisujesz, czy nie?

Wyrostek szczerzy zęby. — Zapiszę się, proszę pana.

Z izby wychodzi Biegl i wścieka się milczkiem. — Niech pan idzie, panie Gelnaj. Dałem Szczepanowi po zębach. Teraz zamknąłem go w izbie.

— Tego niech pan nie robi — uważa Gelnaj. — Ograniczenie wolności osobistej i tam dalej...

Biegl śmieje się ironicznie. — Gwiżdżę panu na to. Gorsze to, że nic nie znalazłem. A pan?

— Alibi jak jasne pioruny, Karolku. Przez całą noc spał w sianie, jak najgrzeczniejszy chłopczyk.

— Kłamią! — zachnął się Biegl.

— Oczywiście. To już mają, kolego, we krwi.

— No, w sądzie będą gadali inaczej! — grozi Biegl.

— E, tam! Nie zna ich pan. Albo zrzekną się świadczenia, albo dopuszczą się krzywoprzysięstwa jakby nigdy nic. Na wsi, Karolku, takie rzeczy, to już jakby obyczaj ludowy.

— Więc co mam robić? — boczy się Biegl. — Jak pan sądzi, panie Gelnaj, czy mamy, czy mamy aresztować Szczepana już teraz? Że zrobił to tylko on, to murowane.

Gelnaj skinął głową na zgodę. — Ja wiem. Ale niech pan będzie ostrożny — zaczął i nie dokończył, bo w tej chwili ozwał się cichy brzęk i Biegl ryknął: — Stać! — W następnej chwili już był za rogiem domu. Gelnaj poszedł zwolna za nim. Na ziemi ujrzał dwóch ludzi, ale Biegl miał górę. — Ja go potrzymam, Karolku — proponuje Gelnaj.

Biegl wstaje i podnosi Szczepana z ziemi, ciągnąc go za wykrzywione ramię. — Uważaj no ty! — sapie zdyszany. — Ja cię nauczę uciekać!

Szczepan syczy przez zaciśnięte zęby, a jego twarz jest sina od bólu. — Puśćcie, panie, rękę — mówi sapliwie. —

Ja... ja nie chciałem uciekać. Chciałem tylko polecieć do Krywej po swoje rzeczy — — —

Djula pcha się między żandarmów. — Puście go! — krzyczy. — Puście go, bo...

Gelnaj ujmuje go za ramię. — Wolnego, chłopcze. A wy, Michale, nie mieszajcie się do nie swoich rzeczy. Szczepanie Manyo, aresztuję was w imieniu prawa. A teraz grzeźcie z nami, panie dobrodzieju!

Szczepana Manyo wiozą do miasta. Nie wiezie go ogierek, co nosi głowę wysoko, a jednak ludzie zatrzymują się i patrzą. Z jednej i drugiej strony Szczepana siedzi żandarm z karabinem między nogami. Szczepan pośrodku. Nie zsunął kapelusika na tył głowy i nie rozgląda się po równinie. Tam oto — rzeka, tutaj pasą się krowy, wśród tataraków błyszczą moczary... Ale Szczepan patrzy tylko na rdzawę plecy jakiegoś obcego woźnicy.

Gelnaj rozpina mundur i staje się rozmowny. Tyka Szczepana, ale ani słowem nie zawadzi o Hordubala. Mówi tylko o gazdowaniu, o zagrodzie w Rybarach, o koniach. Szczepan zrazu tylko półgębkiem odpowiada na jego słowa, ale potem i on staje się rozmowny. A tak, ten ogierek. Kiepsko go gazda sprzedał i nawet nie wiadomo komu i za ile. Osiem tysięcy można było dostać za niego, do stadniny go oddać należało, ale przedtem trzeba było dopuścić go do tej czarnej klaczki. Ej, panie, chciałbym być to widzieć! Oczy Many błyszczą. I takiego konia gazda sprzedał! Grzech po prostu! Wałacha powinien być sprzedać albo tę kobyłę ze źrebięciem, ale nie ogierka — wścieka się Szczepan, aż w kącikach ust ukazuje mu się piana. Biegl jest zgorszony i myśli w duchu, że z aresztantami wolno mówić tylko urzędowo.

— Hej, panie — mówi Szczepan jakby do samego siebie — gdyby nas wiozł ten ogierek — — — sam bym chwycił za lejce — — — dopieroż by się jechało!

IV

— Niechże pan uważa, panie Gelnaj — wyklada wieczorem Biegl. — Zrobił to ktoś z domowników. Okno wybił od wewnątrz, żeby cała rzecz wyglądała jako włamanie. Drzwiami dostać się do domu nie mógł, ponieważ były zamknięte na zasuwę. A więc musiał być w domu już wieczorem — — —

— Nie było go tam — odpowiada Gelnaj. — Hafia powiedziała mi, że wujek Szczepan wczoraj wieczorem u nich nie był.

— Dobrze. Albo też wpuszczono go w nocy do domu, a to mógł zrobić tylko ktoś z domowników. Obcy więc popełnić tego nie mógł. Szczepan był tam przez pięć lat parobkiem. Cała wieś wie o tym, że przez te pięć lat miał stosunki z Hordubalową...

— Zaraz, zaraz, tylko przez cztery lata. Po raz pierwszy mieli tam z sobą coś na słomie. Potem gaździna chodziła za nim co noc do stajni. Dowiedziałem się o tym, Karolku, od Hafii.

— Ta pańska Hafia wie jakoś bardzo wiele — uśmiechnął się Biegl.

— A tak — zgodził się Gelnaj — jak wszystkie wiejskie dzieci.

— Więc dalej. Hordubalowa jest ciężarna — rzecz prosta, że przyczynił się do tego Szczepan, bo Hordubal wrócił z Ameryki dopiero w lipcu. Hordubalowa wie, że to się musi wydać. Hordubal nie chciał się nią dzielić — — —

Gelnaj potrząsa głową. — E, chyba nie tak, panie Biegl. On sypiał w oborze, a ona na strychu czy w komorze. Mówiła mi o tym sąsiadka.

— Ale ona kręciła się dokoła parobka dalej.

— Tego właśnie nie wiem — rzekł w zamyśleniu Gelnaj. — Hafia uważa, że nie. Tylko że Polana bywała w ostatnich dniach gdzieś daleko za wsią. Sąsiadka widywała ją wychodzącą.

— Ależ, panie Gelnaj — dziwił się Biegl — pan ma wiadomości jak jaka starsza paniusia. Ja zaś próbuję zrobić sobie logiczny obraz.

— Aha. Ale czy nie możecie, Karolku, zatrzymać go dla siebie?

— Nie, bo ja to sobie chcę uporządkować w głowie przy głośnym mówieniu. Ten cymbał Hordubał ufał Szczepanowi tak dalece, że zaręczył z nim malutką Hafią. Niech no pan powie, przecie to istne średniowiecze, żeby zaręczać małe dziecko.

Gelnaj wzruszył ramionami.

— Ale potem wpadł jakoś na to, że mu się gaździna puszczą, i wyrzucił Szczepana z domu.

Gelnaj odsapnął niezadowolony. — Co też pan wygaduje, panie Biegl! Najpierw Szczepan odszedł od Hordubalów i dopiero potem zaręczył go Hordubał z Hafią. Rozpytaj się pan śród kum po wsi.

— Jakoś mi to nie pasuje — krzywił się Biegl. — Więc jak właściwie są te wszystkie sprawy z sobą powiązane?

— Nie wiem, Karolku, bo nie mam takiego, jak pan to nazywa, obrazu logicznego. To jest sprawa rodzinna a nie żaden jasny wypadek. Gdzież znowu! Nawet nie może być jasny! Pan nie jest żonaty, panie Biegl, więc o tych rzeczach nie ma pan pojęcia.

— Ależ drogi panie Gelnaj, ta sprawa jest przecie jasna jak tabliczka mnożenia. Polana chce się pozbyć gazdy, Szczepan chce się przez ożenek stać panem zagrody. Tych dwoje porozumiewa się z sobą i gotowe. Wczoraj poleciała Polana po Szczepana...

Gelnaj kręci głową. — Znowuż pudelko. Mnie powiedziała Hafia, że wczoraj sam gazda posyłał ją, idź, przyprowadź Szczepana, niech wraca. Ale co mnie to obchodzi! Uważajcie, Biegl, czy nieboszczyk nie miał na szyi woreczka z pieniędzmi?

Biegl wytrzeszczył oczy. — Jakiego znowu woreczka? Nie miał nic.

— No widzi pan — wywodził Gelnaj. — A miał w nim podobno więcej niż siedemset dolarów. Szukajcie tych dolarów, Karolku.

— Pan przypuszcza, że to jest morderstwo rabunkowe?

— Niczego nie przypuszczam, ale pieniędzy nie ma. Starzy Manya widział je kiedyś u Hordubala. Manyowie chcą budować nową stodołę...

Biegl gwizdął. — A, takie buty! A więc prawdziwym motywem były pieniądze!

— Mogłyby nim być — zgodził się Gelnaj. — Zazwyczaj bywają nim. Albo też na przykład zemsta, panie Biegl, to także rzetelny motyw. Hordubal wyrzucił Szczepana przez płot, w pokrzywy. Na to na wsi odpowiada się, Karolku, nożykiem. Może pan sobie wybrać motyw, który podoba się panu najbardziej.

— Czemu pan mi o tym mówi? — dąsał się Biegl.

— Żeby pan sobie mógł zrobić ten logiczny obraz — odpowiada Gelnaj z miną niewiniątka. — A zresztą mógł go Manya zabić i z powodu tego ogierka.

— Głupstwo!

— Dlatego właśnie ważne. W rodzinie mordują się ludzie tylko dla głupstwa, kochany panie Biegl.

Biegl pogniewał się i zamilkł.

— Nie gniewajcie się, Karolku — uspokajał go Gelnaj.

— Ja wam za to powiem, czym Hordubala zabito. Koszykarską igłą.

— Skąd pan o tym wie?

— U Manyów taka igła wczoraj zginęła. Szukajcie jej, panie Biegl.

— Jak ona wygląda?

— Nie wiem. Podobna pewno do jakiegoś szydła. Ale więcej już nie wiem — dodał Gelnaj i bardzo uważnie czyścił fajkę. — Chyba to jeszcze, że Manyowie będą wywozić nawóz z gnojnika.

Gelnaj i Biegl popijają wino i czekają na doktora, który ma wracać z sekcji.

— A gdzie się znalazł ten szklarski diament?

— U Hordubalów w komorze. Co pan na to?

— No, chłop to zawsze chłop — mówił Gelnaj zgorzogny. — Żal im wyrzucić cośkolwiek, choćby to miało być corpus delicti. Myślą, że to się może kiedy przydać — — — Gelnaj splunął po mistrzowsku. — Sknery paskudne!

— Hordubalowa dowodziła, że ten diament znajduje się tam od dawna, że był tam, zanim jeszcze Hordubal wyjechał do Ameryki. Ale szklarz, Farkasz, przypomniał sobie, że Szczepan kupił od niego ten diament przed jakimś miesiącem.

Gelnaj gwizdnął. — Już przed miesiącem? Widzi pan, panie Biegl, to dziwne: więc już przed miesiącem myśleli o tym. Zabić kogoś na poczekaniu, to i ja bym potrafił, ale tak, na daleką metę... A te dolary znalazł pan?

— Nie znalazłem. Tam, w tej komorze, wygrzebałem prócz tego lampkę elektryczną. Staram się dowiedzieć, gdzie i kiedy Szczepan ją kupił. Też dowód, co? W każdym razie dość już tego, żeby panowie sędownicy kazali aresztować i tę kobietę. Ale cóż? Kazą nam jeszcze szukać jakichś porządnych dowodów.

Gelnaj kręcił się na krześle. — Ponieważ to pan, a nie kto inny, Karolku, to ja panu też coś powiem. Otóż szwagier Szczepana, niejaki Janosz, wygadał się, że przed tygodniem mniej więcej przyszedł do niego na pole Szczepan i powiada, co ty Janosz tak się biedzisz? Mógłbyś porządnie zarobić, mógłbyś dostać parę wołów, jakie sam byś sobie wybrał, i to za drobnostkę: za sprzątnięcie Juraja Hordubala.

— To dobre — rzekł z uznaniem Biegl. — I cóż Janosz?

— Odczep ty się ode mnie! Skąd byś, Szczepanie, wziął pieniądze na to? — Ja nie mam, powiada Szczepan, ale gaź-

dzina ma. Przyrzekliśmy sobie pobrać się, gdy Hordubal będzie sprzątnięty.

— No to ich mamy — odetchnął Biegl z ulgą. — Wspólna robota.

Gelnaj zgodził się z Bieglem. Lecz oto doktor wraca z sekcji, biegnie na krótkich nóżkach i rozgląda się krótkowzrocznie.

— Panie doktorze — woła Gelnaj — czy nie zechciałby pan zatrzymać się u nas na minutkę?

— A — woła doktor krótko i ostro. — No dobrze. Dajcie mi kieliszek śliwowicy. — Już było biedaka trochę czuć. Nieładna robota. — Ach — aach — odetnął z głębi i odstawił pusty kieliszek. — A wiecie już, panowie, że zabito umarłego?

Biegl wytrzeszczył oczy. — Jakże to?

— Prawie umarłego. Ten człowiek konał, był w agonii. Zapalenie płuc w najwyższym stopniu, prawe płuco było już zropiałe, żółte jak wątroba — — — Nie byłby dożył rana.

— Wszystko więc było całkiem niepotrzebne — rzekł Gelnaj zwolna.

— Oczywiście. A na aorcie wypukłość jak pięść. Nawet gdyby nie było tego zapalenia płuc, dość byłoby jakiego wzburzenia i szlus. Biedak!

Obaj żandarmi milczeli przygnębieni. Wreszcie Biegl chrząknął i zapytał:—A przyczyna śmierci, panie doktorze?

— No, morderstwo. Lewa komora serca przebita. Ale ponieważ znajdował się już w agonii, więc wypłynęło krwi tylko troszkę.

— A jak pan sądzi, czym...?

— Nie wiem. Gwoździem, szydłem, igłą do szycia wotków, czyli krótko i węzłowato: cienkim, ostrym przedmiotem metalowym, około dziesięciu centymetrów długości o przekroju obłym. Wystarczy to panom?

Gelnaj w zakłopotaniu obracał szklanekę w grubych palcach. — Co chciałem powiedzieć, panie doktorze... Czy nie

można by napisać, że zmarł na zapalenie płuc? Niechże pan pomyśli: skoro już i tak i tak musiał umrzeć... Po co robić takie ceregiele?

— Nie można, panie Gelnaj! — wyrwał się Biegl. — Przecie to mord!

Doktor łysnął okularami. — Byłoby szkoda, panie Gelnaj. Wypadek ciekawy. Tylko z rzadka widuje się morderstwa igłą czy czymś takim. Ja włożę to serce w spirytus i pošlę je — doktor zaczął uśmiechać się ironicznie — pewnemu uczonemu specjalście. Żebyście, panowie, mieli tę rzecz murowaną. Trudna rada, mamy tu morderstwo rzetelne, jak się należy. Ale, Boże miły, jakie niepotrzebne!

— Cóż robić? — mruzczał Gelnaj. — A taki kiep powiada, że to jasny wypadek!

VI

Tylko że słój z serem Hordubala rozbił się w drodze i spirytus wyciekł, a serce Hordubala dostało się do pracowni uczonego pana w stanie bardzo oplakany.

— Cóż mi tu znowu posyłają? — srożył się uczony siwowłosy pan. — Co tam o tym piszą? Że stwierdzili ranę klutą? Ech, ci prowincjonalni doktorzy! — zachnął się wielki specjalista, spoglądając z oddalenia na serce Juraja Hordubala. — Proszę napisać: rana kluta wyłączona — otwór zbyt nikły. Przestrzał mięśnia sercowego z broni palnej małego kalibru — najniezawodniej z floweru. I proszę to zabrać!

*

*

*

— No więc już nam z Pragi ten kawałeczek nadesłano — witał Gelnaj Biegla, wracającego z Rybar. — Żebyście wiedzieli, Karolku, Hordubal nie został przeбит, ale zastrzelony z floweru. Tak.

Biegl opuścił ręce. — A cóż na to nasz doktor?

— Cóż miałby mówić? Wścieka się. Znamy go przecie, czy nie? I obstaje przy swoim zdaniu. A teraz raptem flower! Kuli wprawdzie nie znaleziono, ale cóż robić? Trzeba szukać kogoś, kto ma flowerek.

Biegl cisnął kask do kąta. — Ja tego tak nie zostawię, panie Gelnaj — odgrażał się — ja nie pozwolę dmuchać sobie w kaszę. Nikomu! Chryste Panie, przecie wszystko jest niemal gotowe, wszystko się zgadza, a teraz taka rzecz! Czyż można pójść do sądu z tym tutaj? Skąd tu raptem wziąć jakiś flower?

Gelnaj wzrusza ramionami. — To kara za to, Karolku, żeście nieborakowi Hordubalowi nie pozwolili zasnąć w Bogu na zapalenie płuc. Dobrze wam tak i doktorowi też.

Biegl z wściekłością rzucił się na krzesło. — To mi popsuło, panie Gelnaj, całą przyjemność. Największą uciechę, jaką miałem kiedykolwiek!

Jakąż znowu uciechę?

— Znalazłem dolary. Więcej niż siedemset, razem z wórczkiem. Były za belką na strychu w Rybarach.

Gelnaj był tym tak zaskoczony, że aż wyjął fajkę z ust. — No, Karolku, to nie byle co! — rzekł z uznaniem.

— Ale się też naszukałem — odsapnął nagle Biegl. — Wie pan aby, jak długo szukałem ich w tych Rybarach? Netto czterdzieści sześć godzin. Ani źdźbła nie ominąłem. Teraz Szczepan może się kazać wypchać razem ze swoim alibi. Jak pan sądzi, panie Gelnaj, wystarczy to przysięgłym? Pieniądze się znalazły, ten diament, co go Szczepan kupował, też nienajgorszy, do tego jeszcze sprzeczności w zeznaniach i motyw jak ten byk!

— A nawet cztery motywy — zauważył Gelnaj.

Biegl machał ręką. — Ale gdzie tam! Było to całkiem zwyczajne, ordynarne, paskudne morderstwo rabunkowe. Powiem panu, jak to było. Hordubal wiedział, że Manya jest kochankiem jego żony, i bał się go. Dlatego pieniądze

nosił na szyi, dlatego też zaręczył Manę z Hafią, dla tego samego powodu wygnał go i dlatego zamykał się w oborze. To całkiem jasny wypadek, panie Gelnaj.

— A ja myślę — Gelnaj mruga w zamyśleniu — ciągle o tych koniach. Szczepan lubił konie. O niczym innym podobno nie mówił, tylko o tym, żeby dokupić łąki i hodować konie. Teraz właśnie można kupić kawał równiny za łąkami Hordubala. Może Manya namawiał Hordubala, żeby ją kupił, a ten nie, tylko nosił pieniądze za pazuchą. Ja bym się, Karolku, nie dziwił, gdyby było właśnie tak.

— Wszystko jedno, kijem czy palką, zawsze dla pieniędzy. Z miłości dla Polany ta rzecz się nie stała.

— Któż to wie?

— Stanowczo nie. Pan jest stary żandarm, panie Gelnaj, i zna się pan na wsi. Ale ja jestem młody żandarm i znam się, psiakość, trochę na kobietach. Przyglądałem się Polanie: nieładna, gnaciasta kuma. I stara, panie Gelnaj. Prawda, że miała stosunek z parobkiem, ale sądzę, że ją to kosztowało dużo pieniędzy. Dla takiej kobiety, panie Gelnaj, Hordubal nie byłby się dał zabić. Dla niej Szczepan nie stałby się mordercą. Ale dla pieniędzy — — — owszem! To jasne. Hordubal był wiejskim sknerą. Polanie było śpieszno dziedziczyć po nim, żeby mogła trzymać sobie kochanka, Szczepan był łakomy na pieniądze. Oto jak się rzeczy mają! W tym wszystkim, panie Gelnaj, miłości nie było ani za grosz! — Biegl strzelił palcami. — Brudny wypadek, proszę pana, ale jasny.

— Dobrze pan to sobie wszystko skomponował — rzekł z uznaniem stary Gelnaj. — Jak sam prokurator. Takie to proste w pańskim rozumieniu.

Biegl zadowolony łysnął zębami.

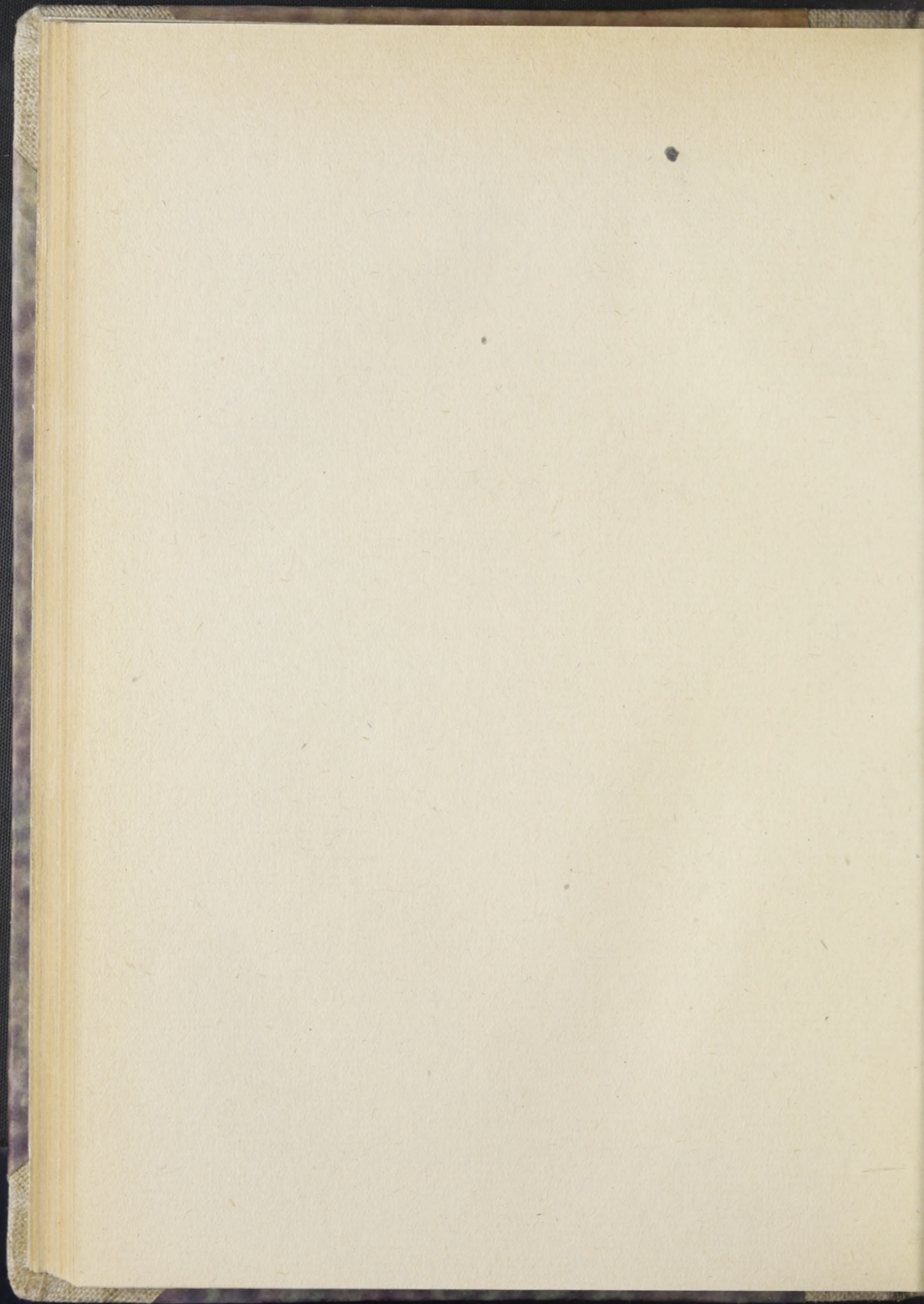
— Ale moim zdaniem, Karolku, byłoby jeszcze prościej, gdyby Juraja Hordubala był sobie zabrał Pan Bóg. Zapalenie płuc, amen. A wdowa po pewnym czasie byłaby uciążliwie wyszła za parobka... Urodziłoby się dzieciątko...

Ale panu, panie Biegl, nie podoba się wypadek aż tak prosty.

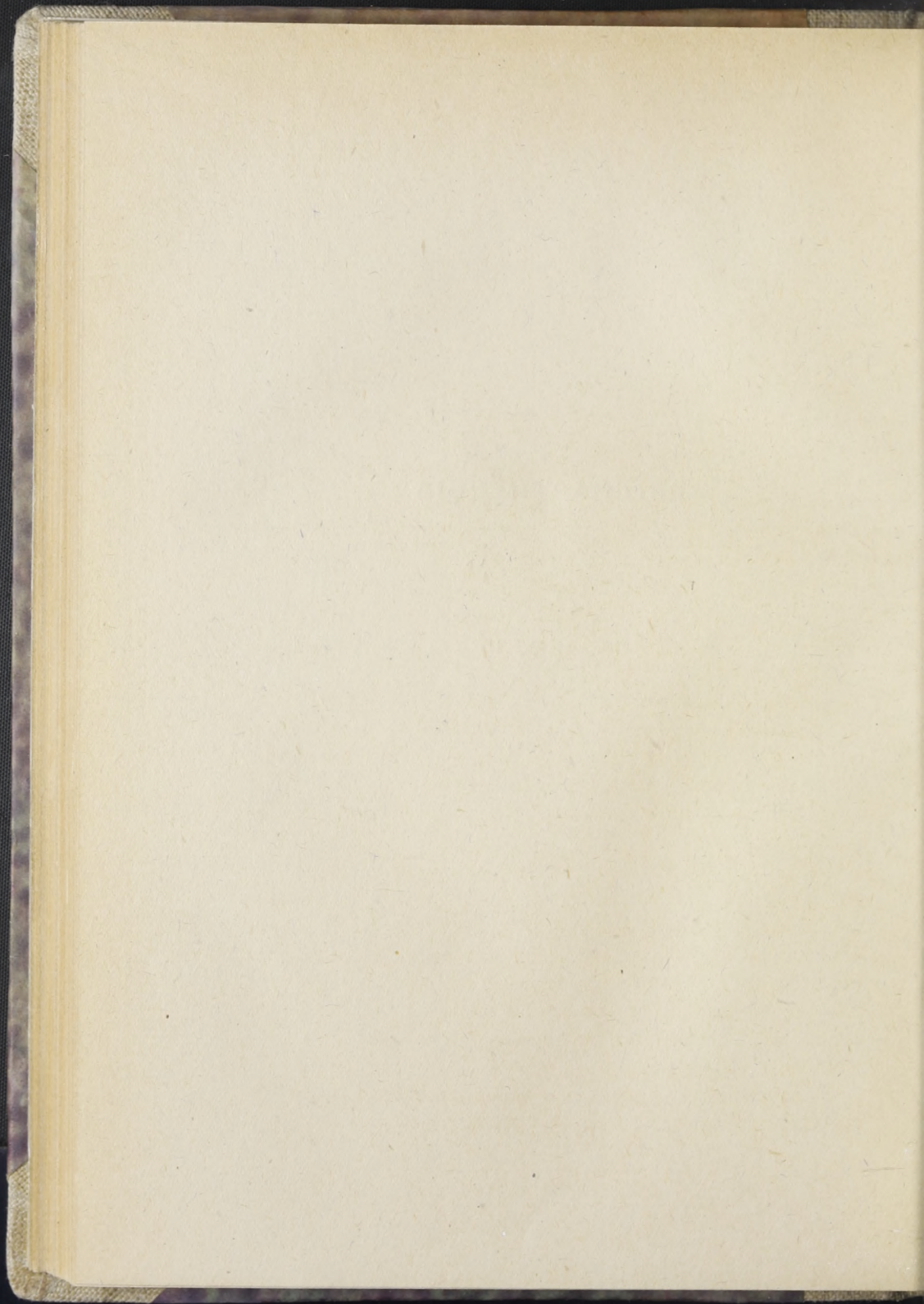
— Nie. Mnie się podoba ustalenie prawdy. To, panie Gelnaj, jest robota dla chłopca.

Gelnaj mruga w zadumie. — I ma pan, panie Karolku, uczucie, że już pan tę prawdę ustalif? Tę prawdziwą prawdę?

— Chciałbym znaleźć jeszcze tę igłę.



KSIEGA TRZECIA



Rozprawa sądowa przeciwko Szczepanowi Many, dwudziestosześcioletniemu parobkowi, niezonatemu, wyznania reformowanego, i przeciwko

Polanie z Durkotów Hordubalowej, trzydziestojednoletniej wdowie, wyznania greckokatolickiego,

oskarżonych o morderstwo premedytowane, popełnione na Juraju Hordubalu, gospodarzu w Krywej, względnie o współudział w zamordowaniu Juraja Hordubala.

— Niech oskarżony wstanie. Słyszeliście właśnie akt oskarżenia. Czy przyznajecie się do winy w sensie aktu oskarżenia?

Oskarżony nie przyznaje się. Nie zabił Juraja Hordubala, spał tej nocy w domu, w Rybarach. Te pieniądze za belkę — dostał od gazdy jako wiano, bo miał się ożenić z Hafią. Diamentu do cięcia szkła nie kupował. Z gaździną poufałych stosunków nie miał. Nic więcej nie miał do powiedzenia.

Oskarżona nie poczuwa się do winy. O morderstwie nic nie wiedziała, dowiedziała się dopiero rano. — Na pytanie, w jaki sposób dowiedziała się o śmierci Juraja Hordubala, odpowiada, że widziała tylko wybite okno. Z parobkiem stosunków nie miała. Ten diament do szkła kupił przed laty gazda sam. Morderca musiał wejść oknem, ponieważ drzwi wychodzące na podwórko były przez całą noc zamknięte na zasuwę.

Siada posiniała, brzydka, w ósmym miesiącu ciąży. Dla jej ciąży musiano śpieszyć się z tą rozprawą.

I proces toczy się dalej z nieubłaganą rutyną maszyny sądowniczej. Odczytuje się protokoły i orzeczenia ekspertów, słychać szelest papieru, przysięgli udają, że pobożnie i wnikliwie śledzą każde słowo, zapisywane w rejestrach sądowych. Oskarżona siedzi bez ruchu jak kukła, tylko jej oczy biegają niespokojnie. Szczepan Manya ociera czoło rękawem i wysila się, aby zrozumieć to, co się czyta. Kto wie, jakie w tym są kruczki, kto wie, co wielmożni panowie z tego wszystkiego zmajstrują. Głowę z szacunkiem przychyła na bok i słuchając porusza ustami, jakby każde słowo powtarzał za czytającym.

Sąd przystępuje do przesłuchiwania świadków.

Woła się Wasyla Gerycza Wasylów, starostę z Krywej. Wysoki, barczysty chłop powoli i z powagą powtarza słowa przysięgi. Był jednym z pierwszych, którzy ujrzeli trupa. Owszem, powiedział, że to jest robota domowa. Dlaczego tak sądzi? Prosty chłopski rozum, proszę pana sędziego. A czy wam, Geryczu, wiadomo, że Polana Hordubalowa miała stosunki ze Szczepanem Manya? Wiadomo. Sam jej czynił z tego powodu wyrzuty jeszcze przed powrotem Juraja. — No, a Hordubal był zły dla żony, czy dobry? — Powinien ją być sprać, wielmożny panie, oświadczył Wasyl Gerycz Wasylów, wygnąć z niej diabła. Nawet jeść Jurajowi nie dawała. — Czy Hordubal skarżył się może na swoją żonę? — Nie skarżył się, ale unikał ludzi. Z żalu gaś niby świeczka.

Żandarmski wachmistrz Gelnaj zeznaje w sensie oskarżenia. Poznaje materiały dołączone do sprawy. Tak, to jest okno z izby Hordubalów, tutaj na wewnętrznej stronie są rysy od diamentu. Tego dnia było błoto, pod oknem stała kałuża wody, ale w izbie nie było ani śladu błota, a na ramie okiennej pozostał kurz nietknięty. Czy człowiek dorosły może przeleźć przez taki otwór? Nie może, powinna by przejść przynajmniej głowa, ale nie przejdzie.

Sąd przesłuchuje żandarmskiego aspiranta Biegła. Stoi jak przy raporcie i bije od niego glanc gorliwości. Zeznaje

ściśle w sensie oskarżenia. Diament znalazł w zamkniętej skrzyni. Hordubalowa nie chciała mu dać klucza do niej, mówiąc, że go zgubiła. Wyłamał zamek od skrzyni, a klucz znalazł się później na dnie wiadra, w ówście. Znalazł także, w Rybarach, dolary Hordubala. — I jeszcze to pozwoliłem sobie przynieść, panie przewodniczący — melduje Biegl głosem podniesionym i wyjmując coś zawiniętego w chusteczkę do nosa. Znalazł to dopiero wczoraj, gdy Manyowie wywozili gnój na pole. Znajdowało się to w nawozie.

Biegl kładzie na stole przed panem przewodniczącym cienki ostry przedmiot, około piętnastu centymetrów długości, o przekroju obłym. — Co to jest? — To jest, proszę wysokiego sądu, koszykarska igła, która znajdowała się u Manyów i zginęła w dniu morderstwa. — Biegl ani drgnie, ale przeżywa triumf i rozkoszuje się wielkim zainteresowaniem ogółu. Przez pięć tygodni szukał tej marnej igły, ale ją ma.

— Oskarżony, czy znacie tę igłę?

Nie zna jej. I Manya siada, ponury i zacięty w sobie.

Sąd przesłuchuje doktora. Doktor obstaje przy swoim, że morderstwa dokonano cienkim, obłym i ostrym przedmiotem. Gdyby Hordubal był został zastrzelony, kula musiałaby pozostać w ciele, a nie było jej tam. I doktor obszernie objaśnia różnicę między raną kłutą a postrzałem. Prócz tego przy tak małym kalibrze morderca byłby musiał strzelać z bezpośredniej bliskości, tak że byłaby przepalona koszula, względnie i skóra na piersi.

— Czy rana mogła być zadana tym przedmiotem?

— Mogła. Z zupełną pewnością twierdzić tego nie może, ale przedmiot ten jest dostatecznie ostry i cienki, by można było zadać nim ranę podobną. Bardzo dobrze nadawałby się do zadania takiej rany — wywodzi doktor. — Tak. A śmierć nastąpiła bezpośrednio. — I popędliwy doktor ucieka, jakby się urwał z łańcucha.

Zeznaje lekarz więzienny. Polana Hordubalowa jest według wszystkich oznak w ósmym miesiącu ciąży. —

Oskarżona — mówi przewodniczący — nie potrzebuje wstawać. Kto jest ojcem dziecka, które nosicie pod sercem?

— Juraj — szepce Polana z oczyma wbitymi w ziemię.

— Hordubal powrócił przed pięcioma miesiącami. Z kim więc macie to dziecko?

Polana milczy.

Stary Manya nie chce zeznawać. Szczepan ukrywa twarz w dłoniach, stary ojciec wysmarkuje łzy w czerwoną chustkę do nosa. Mimochodem, czy Manya nie zna tego przedmiotu.

Stary Manya kiwa głową. — To jest nasza igła do plecienia koszów. — I z dużym zadowoleniem sięga po nią, żeby ją wetknąć do kieszeni. — Nie, nie, ojcze, to musi zostać tutaj.

I Michał i Djula zrzekają się świadczenia. Sąd wzywa Marię Janosz. Czy chce świadczyć? Chce. — Czy to prawda, że brat wasz Szczepan namawiał waszego męża, żeby zabił Juraja Hordubala? — A prawda, proszę pokornie wysokiego sądu. Ale mój powiada, że nawet za sto parwołów tego nie zrobi. — Czy Szczepan miał stosunki z gardzią? — Juścić, że miał, bo sam się tym w domu chwalił. Zły człowiek z tego Szczepana, wysoki sądzie. Nie-dobrze było zaręczać z nim dziecko. No, chwała Bogu, że to się rozwiło. — A cóż? Czy bardzo gniewał się wasz brat, gdy go Hordubal wygnał? — Maria żegna się krzyżem świętym. — Ach ty mój Boże, jak ten czort! Nie jadł, nie pił, nawet nie palił.

Maria Janosz odchodzi, ale w drzwiach zaczyna płakać. — Żal mi jest, panie wielmożny. Proszę pokornie, czy mogę te grosze zostawić Szczepanowi, żeby sobie mógł kupić, co mu tam potrzeba? — Nie mateczko, pieniędzy nie zostawiajcie. Idźcie z Panem Bogiem.

Wołają Janosza. Czy chce świadczyć? — Jak wielmożni panowie każą. — Czy to prawda, że Szczepan namawiał was, abyście zabili Hordubala? — Świadek mruga oczami.

zakłopotany. — Prawda, że coś tam mówił. Dziad z ciebie, powiada, Janoszu, mógłbyś dostać pieniędzy. — Za cóż te pieniądze? — Czy ja wiem, wysoki sędzie, takie tam gadanie! — Czy namawiał was, żebyście zabili Hordubala? — Ej chyba nie, wielmożny panie. Dawno już temu. Mówiło się tylko o pieniądzach. Szczepan zawsze tylko pieniądze i pieniądze. Alboż ja chcę pamiętać o takich rzeczach! Powiada mi: głupiś! Może i nawet głupi, ale pod szubienicę mnie ta głupota nie zaprowadzi. — Czy świadek nie jest czasem pijany? — Jestem, wielmożny panie. Wypiłem szklaneczkę, żeby mieć odwagę. Ciężko się gada z panami.

Rozprawa została odroczonej do jutra. Szczepan szuka oczami Polanę, ale wdowa Hordubalowa patrzy przed siebie, jakby była wyciosana z kamienia, jakby nikogo nie widziała. Jest gnaciasta, brzydka, drętwa. Nikt nie patrzy na Szczepana, tylko wszyscy na nią. Cóż on? Chłopisko czarne! Małoż to się zdarzy, że chłop zabije chłopą? Ale taka — własna żona, kochani ludzie! Co się dzieje, Boże wszechmocny, żeby człek i własnej żonie nie mógł wierzyć! Żeby człek we własnym domu i w swoim łóżku nie był pewny życia! Zakłują cię jak to bydłę! Wdowa Hordubalowa idzie, jakby szła przez korytarz nienawiści, który zamyka się za nią niby woda. Ech, siekierą powinien był zatłuc ją nieboszczyk, jak wilka, gdy się go złapie w żelaza. Powiesić ją, mówią kumy. Nie ma na świecie sprawiedliwości, jeśli nie zostanie powieszona. Na bok, baby, mruczą chłopcy, kobiet — wiadomo — nie wieszają. Zamknąć ją do końca życia. — Gdyby kobiety sądziły, powiesiłyby takie ścierwo. Uważajcie, ja sama zarzuciłabym jej postronek na szyję. — Nie gadaj, Maryka, taka robota nie dla baby. Ale Szczepkę na pewno powiodą na szubienicę.

Tak, tak, tego Szczepkę, za to, że zabił tylko obcego człowieka. Jeśli nie powiesicie Polanę, to czyż kobiety nie wezmą się do zabijania swoich mężów? Niejednej mogłoby

się to podobać. W rodzinie, ludzie drodzy, w stanie małżeńskim, trafi się przyczyna niejedna. Nie i nie, powiesić koniecznie! A jak ją powiesić, kiedy z dzieckiem chodzi? Co to za dziecko takie! Diabła samego urodził!

Wezwany jest Szymon Fazekasz, zwany Leca. Widział Polaną ze Szczepanem w dniu morderstwa. Nad potokiem z sobą stali.

— Szczepanie Manyo, czy i teraz przeczycie, że onego dnia byliście w Krywej i rozmawialiście z Polaną Hordubalową? — Nie byłem tam, wysoki sędzie. — Oskarżona, czy Manya rozmawiał z wami za potokiem? — Nie rozmawiał. — Ale żandarmom przyznała się pani, że tak. — Żandarmi mnie zmuszali.

Zeznaje Juliana Warwarynowa, sąsiadka Hordubalów. Tak, widywała Hordubalą, gdy chodził jak bez duszy. Polana nie dawała mu jeść, gdy przepędził tego Szczepana, ale parobkowi piekła kurczęta i prosięta. Co dzień sypiała z Manyą, Boże odpuść! — i sąsiadka spluwa. — Ale gdy wrócił Hordubal, nie wiadomo gdzie się spotykała z parobkiem, bo do stajni już nie wchodziła. Ostatnimi czasy Hordubal i w nocy obchodził podwórko i świecił, jakby pilnował.

— I jeszcze jedno: świadek widziała, jak Hordubal przerzucił Szczepana przez płot. Czy Szczepan miał wtedy na sobie kapotę? — Nie, kapoty nie miał na sobie. Był tylko w portkach i w koszuli. — I odszedł bez kapoty? — Tak, wysoki sędzie. — No, więc ta kapota, co ją ma na sobie, musiała być zostać razem z jego rzeczami u Hordubalów. Szczepanie Manyo, kiedy wróciliście do Krywej po tę kapotę?

Szczepan wstaje i mruga oczami nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Zabraliście ją sobie owej nocy, gdy został zamordowany Juraj Hordubal. Możecie usiąść. — I pan prokurator coś sobie triumfalnie zapisuje.

— Proszę wyprowadzić oboje oskarżonych! — rozkazuje przewodniczący sądu.

Jako świadek zeznaje wezwana Hafia Hordubalówna.

Prowadzą niebieskooką, ładną dziewczynkę. Jest tak cicho, że nawet oddechu niczyjego nie słyhać.

— Nie bój się, mała, i podejdź bliżej! — mówi głosem ojcowskim przewodniczący sądu. — Jeśli nie chcesz, to możesz nie świadczyć. Więc co, chcesz mówić?

Dziewczynka wytrzeszczonymi oczkami rozgląda się po wielmożnych panach ubranych w togi.

— Chcesz świadczyć? — Hafia grzecznie kiwa głową.

— Tak.

— Czy twoja matka chodziła do stajni, gdy był tam Szczepan? — Tak, co noc. — Czy widziałaś ich kiedy razem? — Widziałam. Wuj Szczepan ścisnął ją jednego dnia i przewrócił ją na słomę. — A cóż gazda, twój tatko, bywał czasem razem z matką? — Nie, tatko nie, tylko wujek Szczepan. — A gdy gazda wrócił z Ameryki, czy i wtedy matka spotykała się z wujkiem? — Hafia kręci głową. — Skąd wiesz o tym? — Przecież gazda był w domu — odpowiedziało dziecko, jakby mówiło o czymś bardzo prostym i jasnym. — Toteż wujek Szczepan mówił, że u nas nie będzie, że teraz wszystko jest inaczej..

— Czy gazda był dobry? — Hafia w zakłopotaniu wzrusza ramionami. — A Szczepan? — Ach, Szczepan był taki dobry! — Czy matka była dobra dla gazdy? — Nie! — A dla ciebie? Czy cię kochała? — Kochała tylko wujka Szczepana. — Czy gotowała dla niego dobre jedzenie? — Tak, ale on i mnie dawał. — A kogo najbardziej ze wszystkich lubiałaś? — Wujka Szczepkę.

— A jakże to było, Hafio, w tę ostatnią noc, kiedy tatko umarł? Gdzieś ty spała? — Z mamą w komorze. — Czy nie zbudziło cię coś? — Zbudziło. Ktoś pukał do okna i matka usiadła na łóżku. — A dalej? — Dalej nic. Matka powiedziała, że mam spać, bo dostanę w skórę. — I spałaś? — Juścić spałam. — I już nic nie słyszałaś? —

Już nic. Tylko ktoś szedł przez podwórko, a matki nie było. — A kto to szedł? Czy nie wiesz? — Dziewczynka otwiera buzię z wielkiego zdziwienia. — No Szczepan! Z kim by matka wyszła na dwór?

Panuje straszliwa cisza w całej sali, aż ciężko oddychać.

— Zarządzam przerwę! — mówi przewodniczący z wielkim pośpiechem i sam odprowadza Hafię za rączkę. — Jesteś miła dziewczynka — mruczy — grzeczna i mądra. Ale ciesz się, że nie rozumiesz, o co tu chodzi. Przysięgli szukają po kieszeniach, co by tak dać tej milej Hafii. Tłoczą się koło niej, żeby ją przynajmniej pogłaskać po główce.

— A gdzie Szczepan? — pyta Hafia srebrnym głosikiem. Otyły, solidny Gelnaj przepycha się przez tłum, sapie i przeciska się ku Hafii. — Pójdź, mała, sam odprowadzę cię do domu.

Ale na korytarzach jest pełno ludzi i wszyscy podsuwają dziewczynce, co kto ma: ten jabłko, ten jajko gotowane, ów kawałek placka. Wszyscy ze wzruszenia pociągają nosami, kobiety ją całują i obficie wylewają łzy. Hafia kurczowo ściska gruby palec Gelnaja i sama bliska jest płaczu, ale Gelnaj powiada: — Nie płacz, kupię ci cukierków. — I dziewczątko podskakuje z uciechy.

Rozprawa toczy się dalej, ale czasem zadzierzga się coś w węzeł, który musi rozplątywać kilkoro rąk. Zeznaje Pjosa, zwany Huzarem, potem Aleksa Worobec Metrów i żona jego, Anna, a także żona Kobyły Henpaka. Wszyscy mówią o obecnej tu kobiecie, Polanie Hordubalowej. Ach Boże wszechmocny, ileż ludzie wiedzą o ludziach! Co za sromota! Nie potrzebuje Bóg sądzić, bo ludzie sądzą. Jako świadek zgłasza się niejaki Misio, pasterz. — Podejźcie, świadku, przysięgać nie potrzebujecie.

— Co?

— Przysięgi nie trzeba, Ile lat macie?

— Co?

— Ile macie lat, Misiu?

— Nie wiem. Co tam lata! W imię Ojca, Syna i Ducha. Pośyła mnie do was Juraj Hordubai, żeby wam powiedział, że żona jego była dobra i wierna.

— Słuchajcie, Misiu, co to znaczy, że was pośyła? Kiedy was posłał?

— Co?

— Kiedy wam to powiedział?

— Ba, kiedy! Nie wiem. Padał wtedy deszcz. Kazał mi: powiesz im to, Misiu, tobie uwierzą.

— Bóg z wami, ojczulku! I z tym przyjechaliście aż z Krywej?

— Co?

— Możecie już iść, Misiu, już was nie potrzebujemy.

— No to dziękuję grzecznie. Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

Zeznaje Farkasz, szklarz. — Ten diament do cięcia szkła kupił u mnie Manya Szczepan. — A znacie go? — Jakżeby miał nie znać? To ten, co tu siedzi, ten żółty. — Wstańcie Manyo. Czy przyznajecie się że kupowaliście ten diament u szklarza, Farkasza? — Nie przyznaję się. — Możecie usiąść, Manyo, ale w taki sposób niedaleko zajdziecie.

Zeznaje żona Barana, żona Hrycia, Fedora Bobala żona. Ech, Polano, co za sromota! Palcem na ciebie wskazują, oskarżają twoje cudzołóstwo, kobiety kamienują kobietę cudzołożną! Nikt już nie patrzy na Szczepana Manyę, próżnie skrzyżowanymi rękoma osłaniasz brzuch, nie zakryjesz swego grzechu. Szczepan zabił, ale tyś grzeszyła. Patrzcie na bezwstydnicę, nawet głowy nie schyli, nie zapłacze, nie bije czołem o ziemię. Patrzy tak, jakby chciała powiedzieć: gadajcie sobie, gadajcie, co mnie to obchodzi!

— Czy oskarżona ma jakie uwagi do zeznań Marty Bobalowej?

— Nie mam. — I nie pochyli głowy, nie zarumieni się ze wstydu, nie zapadnie się w pohańbieniu swoim. Jak posąg.

— Świadków już nie ma? Dobrze, rozprawę przerywa się do jutra.

Ale ta mała Hafia ładnie zeznawała, co? Takie dziecko, panie kolego, i tyle już widziało. Straszne, straszne! A jednak te jej zeznania — jakby płynął czyściutki strumyczek. Taka prostota we wszystkim, jak gdyby w tym, co opowiadała, nie było nic złego. Ale za to cała wieś przeciwko Polanie. Kiepsko stoi jej sprawa. I Szczepana sprawa też nielepsza, ale co tam Szczepan — figura podrzędna. Tak, tak, wieś rozumiała, że tu chodzi o sprawę moralności, panie kolego. Można by powiedzieć, że wieś Krywa mści się za naruszenie ładu moralnego. Dziwne to, bo lud na ogół nie przejmuje się nadmiernie takimi rzeczami, które dzieją się w rodzinie, prawda? Zdaje się, że Polana dopuściła się nie tylko cudzołóstwa, lecz czegoś daleko cięższego. Czego mianowicie? Zgorszenia publicznego. Tym sięgnęła na siebie klątwę całej wsi.

Bądźże złorzeczona, Polano! Widzieliście wszyscy, jak zadzierała łeb do góry? Że się też nie wstydzi? Jeszcze się uśmiechała, gdy Fedora Bobala żona mówiła, że kobiety okna jej chciały wybić za jej cudzołóstwo. Ba, zadzierała głowę jeszcze wyżej, jakby się miała czym chwalić.

Czy aby ładna? Dajcie spokój, wujaszku! Sam chciałbym ją zobaczyć. Panie odpuść, ładna! Musiała widać oczarować Szczepana i zaślepić go całkiem. Chuda, powiadam wam, a oczy jak te szpilki. Musi być zła jak żmija. Ale to dziecko, zważcie, jak obrazek święty. Wszyscyśmy płakali, bo co tu gadać — sierota! I widziacie, nawet przed dzieckiem ta kobieta wstydu nie miała, cudzołożyła na oczach własnej córki. Istny diabeł, nie kobieta. Ejże, wujku, to i ja pójde chyba popatrzeć.

Puście nas, puście nas do środka! Chcemy ją zobaczyć, tę bezwstydnicę! Nic — nic! Ściśniemy się i będziemy stać cichutko, jak w kościele! Ludzie drodzy, nie pchajcie się tak przecie! Zasmrodzicie kozuchami cały prześwietny sąd! Ruszaj jeden z drugim od tych drzwi!

Patrzajcie, to ta chuda, co tak prosto siedzi. To ona. Doprawdy, kto by to pomyślał, że taka oto... Wygląda jak każda inna kuma. A gdzie ten Szczepan? Widać tylko jego ramiona. A ten, co wstaje teraz, w tym czarnym, to sam pan prokurator. Cicho, cicho, teraz coś usłyszycie!

— Sędziowie przysięgli! Streściłem wam okoliczności, jakie zostały ustalone dzięki wzorowej pracy organów bezpieczeństwa (Biegl, wśród publiczności, szturcha w bok Gel-naja) i jakie ujawniły zeznania świadków. Pragnę z tego miejsca podziękować jednym i drugim. W ciągu swej wieloletniej pracy w sądownictwie nie widziałem jeszcze sprawy, w której zeznania świadków byłyby przeniknięte taką głęboką i namiętną wolą wspomnienia sprawiedliwości, jak w tym wypadku. Cała wieś, cała ludność Krywej, mężczyźni, kobiety i dzieci stawali tu przed nami nie tylko, aby złożyć świadectwo, ale aby oskarżyć przed Bogiem i ludźmi kobietę cudzołożną. Nie ja w imieniu prawa, ale lud sam staje się oskarżycielem. Według litery prawa sądzić będziecie zbrodnię. Według sumienia tego oto ludu sądzić będziecie grzech.

Prokurator pewien jest swojej sprawy, ale w tej chwili waha się nieco. (Co ja tu gadam o grzechu? Czy sądzimy duszę człowieka, czy tylko jego czyny? Oczywiście, tylko czyny, ale czyż nie z duszy wywodzą się czyny? Ej, baczność, baczność, żeby się nie zabłąkać w ślepią uliczkę! Sprawa jest przecie taka jasna!) Panowie przysięgli! Sprawa, którą będziecie sądzili, jest przecie taka jasna, aż prze-różliwie jasna w swej prostocie. Macie przed sobą tylko trzy osoby. Pierwszą z nich jest gazda, Juraj Hordubal, człowiek prościutki, poczciwiec, może nawet nieco ograni-czony. Pracuje ciężko w Ameryce, zarabia od pięciu do sze-ściu dolarów dziennie, z czego cztery posyła swej rodzinie, to jest swojej żonie, żeby się jej lepiej żyło. (Głos prokura-tora staje się dziwnie szorstki, gardłowy). I za te krwawo zapracowane pieniądze ta kobieta utrzymuje sobie młodego parobka, który nie wstydzi się być płatnym kochankiem

starzejącej się gaździny. Czegóż nie byłby zrobił Szczepan Manya dla pieniędzy! Zniszczył ognisko domowe emigranta, oderwał matkę od dziecka, a gdy go kochanka do tego namówi, zamorduje gazdę dla zdobycia woreczka z dolarami. Co za zbrodnia, co za grzech chciwości! (Prokurator urwał nagle. Zbrodnia, nie grzech. To nie sąd boży!)

Następnie mamy tu — tę kobietą. Jak widzicie, zimna, wyrachowana, twarda. Między nią a młodym parobkiem nie może być miłości, nawet miłości grzesznej. Tylko cudzołóstwo, tylko grzech, tylko grzech. — Utrzymuje sobie narzędzie zaspokajania swych chuci, psuje go i nawet o własnej córeczce zapomina. Bóg dotyka ją swym palcem: w grzechach wiarołomstwa zaszła w ciążę. I wtedy właśnie wraca gazda z Ameryki. Sam Bóg go posyła, aby ukarał cudzołóstwo w swym domu. Ale Juraj jest człowiekiem słabym. Nikt spośród nas, żaden mężczyzna nie ścierpiałby tego, co w milczeniu znosił ten cierpliwy i słaby mąż, któremu zależało zapewne już tylko na tym, aby mieć spokój w domu. Tylko, że razem z jego powrotem skończył się dopływ dolarów, gaździna nie ma już czym podtrzymywać przyjaźni młodego darmozjada. Szczepan Manya opuszcza służbę grzechu. I wówczas niepojęty słabeusz, Hordubal, prawdopodobnie pod naciskiem swej żony, sam proponuje mu rękę swej córki, proponuje mu pieniądze i zagrodę, byle tylko wrócił...

Prokurator czuje w gardle jakieś dławienie, ogarnia go uczucie wstrętu.

— I nie dość na tym. Zdaje się, że Szczepan dopuszcza się na nim wymuszeń i wyzyskuje go. Wreszcie i ten cierpliwy biedak ma tego wszystkiego dość i wyrzuca z domu zuchwałego pasożyta. Ale od owej chwili zaczyna drzeć o swoje życie, szuka pracy gdziekolwiek, za górami, w nocy obchodzi zagrodę z latarnią i pilnuje. Morderczy plan dojrzewa wreszcie. Stary gazda zbyt wielką jest przeszkodą dla wyuzdanej żony i drapieżnego parobka. Rozpusta i chciwość sprzysięgły się przeciwko niemu. Starzec zapa-

da na zdrowiu i nie może pilnować zagrody, nie może się bronić, a nazajutrz rano zostaje znaleziony z sercem przebitym. Zabito go we śnie!

I to już koniec? Prokurator sam się zadziwił, że tak właśnie zakończył swoje przemówienie. Miał przygotowane świetne zakończenie mowy, ale jakoś odechciało mu się retoryki i nagle kropka i koniec. Usiadł i sam nawet nie wie, jak to się stało. Pytająco spogląda na przewodniczącego sądu, zdaje mu się, że ten skinął nań potakująco. Przysięgli coś przelykają, pociągają nosem, a dwaj z nich wyraźnie płaczą. Prokurator odetchnął z ulgą.

Wstaje adwokat Manyi, człowiek wielkiego wzrostu i prawnik o głośnym imieniu.

— Pan prokurator przy końcu swej mowy odwoływał się do serca Juraja Hordubala. Pozwólcie mi, panowie przysięgli, abym od tego serca zaczął obronę swego klienta... — I jedzie dalej, jakby z bicia strzelał, że samóż oskarżenie ustala niezgodność w ocenie rzeczoznawców. Byłóż serce Hordubala przebite, czy przestrelone? Czy bronią morderczą była tamta mizerna igła, należąca do Manyów, czy też broń palna nieznanego złoczyńcy? O ile o mnie chodzi, byłbym skłonny przechylić się na stronę znakomitego uczonego rzeczoznawcy, który z całą stanowczością mówi o broni palnej najmniejszego kalibru. Otóż, panowie sędziowie, jeśli Juraj Hordubal został zastrzelony, to sprawcą tej zbrodni nie jest Szczepan Manya itd., itd., krok za krokiem rozskubuje znakomity prawnik akt oskarżenia, wybijając takt dla swoich słów pulchną dłońią. — Nie ma ani jedyne go dowodu przeciwko memu klientowi, są jedynie poszlaki. Nie odwołuję się do waszych uczuć, panowie sędziowie, bo jestem przekonany, że na podstawie materiału oskarżycielskiego i przewodowego sąd przysięgłych Szczepana Manyę za winnego uznać nie może.... — I sławny prawnik sadowi się wspaniale i zwycięsko.

Jak za naciśnięciem niewidzialnej sprężynki zrywa się nowa czarna figurka, adwokat Polany Hordubalowej, mło-

dy i elegancki człowiek. Nie ma ani jedyne go bezpośredniego dowodu przeciwko jego klientce, jakoby miała udział w zamordowaniu Juraja Hordubala. Istnieją jedynie dowody wysnute z poszlak, z okoliczności, z hipotetycznych związków rozpatrywanego przypadku.

— Panowie sędziowie, te związki oparte są na domniemaniu, że Polana Hordubalowa była zainteresowana w śmierci swego męża, gdyż miała mu być niewierna. Panowie sędziowie, mógłbym powiedzieć: gdyby niewierność małżeńska była dostatecznym motywem morderstwa — iluż mężów, ileż żon tutaj, w mieście, we wsi, w samejże Krywej, żyłoby jeszcze? Tę sprawę wszakże zostawmy raczej na uboczu. Lecz zadajmy sobie pytanie: cóż my wiemy o cudzołóstwie Polany Hordubalowej? Prawda, cała wieś tu przedefilowała i zeznawała przeciwko tej oskarżonej kobiecie. Panowie sędziowie, zastanówmy się: kto z nas jest zabezpieczony przed złośliwością swych bliźnich i sąsiadów? Czy wie może pan albo pan, co o was mówi wasze otoczenie? Może ludzie powtarzają o nas jeszcze gorsze rzeczy, niż mówili o tej nieszczęsnej kobiecie. Żadna ni-naganność i zacność nie jest dla zohydzającego plotkarza puklerzem dość mocnym. Oskarżenie nie ominęło ani jednego świadka, który miał ochotę potępić bezbronną kobietę.

— Zastrzegam się przeciwko temu, aby tutaj byli obrażani świadkowie! — woła prokurator.

— Tak, to niewłaściwe — mówi przewodniczący sądu.
— Proszę, by się to nie powtórzyło.

Ujmujący pan kłania się żwawo i uprzejmie. — Słucham pana... Byli tu przesłuchani wszyscy świadkowie, którzy mieli coś do powiedzenia przeciwko Polanie Hordubalowej, ale sąd zapomniał wezwać jednego świadka, znającego tę kobietę, powiedziałbym, koronnego świadka w tej sprawie. Świadkiem tym jest zamordowany Juraj Hordubal.

Elegancki pan wymachuje kartą papieru.

— Panowie sędziowie przysięgli, na dziesięć dni przed śmiercią swoją Juraj Hordubal, gazda z Krywej, polecił

spisać swój testament. A w tym testamencie, jakby przeczuł, że jego głos stanie się potrzebny, kazał napisać (młody adwokat odczytuje tekst podniesionym i wzruszonym głosem) co następuje: — Wszelkie mienie swoje, ruchome i nieruchome, przekazuję żonie swojej, Polanie, z domu Durkotównie, za jej wierność i miłość małżeńską! — Taki jest testament Juraja Hordubala, takie jest jego świadectwo. Słyszeliśmy tu zeznania pasterza Misia, że gazda Hordubal kazał wam powiedzieć, iż Polana była dobrą i wierną żoną. Byłem — przyznam się, zaskoczony zeznaniem Misia. Brzmiało mi ono w uszach jak głos zza grobu. A tu oto macie świadectwo pisane, świadectwo jedynego człowieka, który Polanę naprawdę znał. Parobek Manya miał się chwalić swej siostrze, że utrzymywał stosunki poufale z gaździną. Tak wygląda słowo parobka, a tak znowu (ręką uderza w dokument) słowo małżonka zaślubionego przed Bogiem. Panowie sędziowie, od was tylko zależy, któremu z tych dwóch dacie wiarę.

Młody adwokat w zamyśleniu pochyla głowę.

— Jeśli tym samym rozwiewa się oskarżenie mej klientki o cudzołóstwo, to znikają również przypisywane jej bodźce i motywy pozbycia się męża. Powiecie mi, że znajduje się w ósmym miesiącu ciąży, ale ja mógłbym wam przytoczyć niezliczone przykłady z dzieł najznakomitszych lekarzy, jak dalece mylne bywa zdanie przy określaniu stopnia ciąży. — I bystry mecenasik szybko wylicza imiona i poglądy znakomitości lekarskich. Doświadczony adwokat Manyi potrząsa głową: niepotrzebnie zepsuł efekt, bo przysięgli sędziowie nie lubią argumentów naukowych, ale to z tym testamentem było bardzo zgrabne. — Wyobraźcie sobie, panowie sędziowie, że skażecie Polanę Hordubalową i że dziecię Juraja Hordubala urodzi się w więziennej celi, napiętnowane od pierwszej chwili życia jako dziecko cudzołożnicy. Na wszystko, co nam jest święte, przestrzegam was, panowie sędziowie: nie dopuście się omyłki sądowej na dziecku nie narodzonym jeszcze!

Zgrabny mecenasik siada i pachnącą chusteczką ociera czoło.

— Winszuję, panie kolego — szepcze mu do ucha stary palestrant — świetnie, świetnie!

Ale w tej chwili powstaje prokurator, aby zareplikować. Jest czerwony i ręce mu się trzęsą.

— Jak dziecko, to dziecko! — zaczyna bezpośrednio, głosem zachrypłym. — Pan obrońca słyszał, jak tu zeznało dziecko Juraja Hordubala, Hafia. Jej zeznań, mam nadzieję! — uderza pięścią w stół — nie nazwie pan oszczerstwem. (Elegancki mecenas pochyla głowę w ukłonie i wzrusza ramionami). Zresztą dziękuję panu, że przyniósł pan tu testament Juraja Hordubala. Jego jedyne nam tu tylko brakło. (Prokurator prostuje się, jakby rósł aż po sufit). Brakło nam tylko jego dla dopełnienia rysów charakterystycznych tej kobiety wprost demonicznej, która — która mając już przygotowany plan, jak zamordować dobrodusznego i pocziwego męża-słabeusza, potrafi jeszcze wymyślić taki ostatni, wyrafinowany punkt swego zamachu: zmusić biedaka, żeby tylko jej i tylko jej wszystko zapisał, a prócz tego, aby jej wydał coś w rodzaju moralnego alibi za jej — — — wierność i miłość małżeńską! I pocziwiec idzie i czyni, co mu każą, aby jeden grosz nie przypadł małej Hafii, lecz wszystko jej, tej Jezabeli, iżby mogła sobie opłacać kochanków i tarzać się w grzechu swoim — — — Prokurator dusi się wprost od namiętnego rozgoryczenia. To już nie jest proces, ale naprawdę sąd boży, sąd nad grzechami świata. Słysząc, jak ciężko, z trudem oddycha prosty lud zebrany w sądzie. — I nagle na sprawę Juraja Hordubala pada snop ostrego światła. Ta sama cyniczna, wyrachowana, zimna wola, która potrafiła opanować rękę niepiśmiennego Juraja, iżby ręka ta skreśliła trzy krzyżyki pod tym strasliwym i oskarżycielskim testamentem, ta sama strasliwa wola, panowie, kierowała ręką Szczepana Manyi — mordercy. Ten mały gigolo wiejski był nie tylko

narzędziem zaspokajania jej chuci cudzołożnych, lecz stał się też narzędziem mordu. Ta kobieta wszystkiemu winna — krzyczy prokurator i wskazuje na nią gestem potężnym. Ten testament oskarża ją, bo tylko szatan mógł wymyślić drwinę tak piekielną: za jej wierność i miłość małżeńską! Jezabelo Hordubalowa, przyznajecie się wreszcie, żeście zamordowała Juraja Hordubala?

Polana wstaje, blada i sina, zniekształcona ciążą, i bezgłośnie porusza ustami.

— Nic im nie mówcie, gaździno! — ozwały się słowa szorstkie i śpieszne! — Powiem im sam!

Szczepan Manya stoi z grymasem uśmiechu na ustach, świadczącym o wielkim wysiłku duszy. Wys — — — wysoki sędzie — jąka się i nagle wybucha niepowstrzymanym łkaniem.

Prokurator, zaskoczony, pochyla się w ukłonie w stronę Manyi:

— Proszę się uspokoić, Szczepanie Manyo! Sął chętnie was wysłucha.

— To ja — — — to ja! — szlocha Szczepan. — Ja — ja chciałem się na nim tylko zemścić — — — za to — za to — — — że mnie wyrzucił przez płot — i ludzie się śmieli! Nie mogłem spać — — — musiałem to zrobić — musiałem — — — zemścić się — — — Dlatego poszedłem — — —

— Gaździna otworzyła wam dom?

— Nie — gaździna — — — nie wiedziała — — — o mi-
czym. — Ja wieczorem — — — nikt nie widział — — —
gazda leżał w izbie — — — a ja na strych — — — schowa-
łem się — — —

Biegl siedzący wśród słuchaczy denerwuje się i daje Gelnajowi sujki w bok. — Przecie to nieprawda — sapie szep-
tem — na strych dostać się nie mógł, bo drzwi były zawa-
lone kukurydzą! Ja tam byłem natychmiast z rana, panie
Gelnaj! Zaraz im powiem — — —

— Siedzieć! — syczy Gelnaj i trzyma Biegła. — Ani mi
się waż, ty wołku!

— A w nocy — jaka się Szczepan ocierając nos i oczy — w nocy zeszedłem na dół — do izby — — — gazda spał — a ja — — — tą igłą — — — nie chciała — — — nie — nie chciała wejść w niego — — — a on nie poruszył się — — — nie poruszył — — —

Szczepan się chwieje, dozorca podaje mu szklanekę wody ze stołu przewodniczącego. Szczepan z wdzięcznością przyjmuje wodę, pije z głośnym glukaniem i ociera pot z czoła. — A potem — wyciąłem tę szybę — — — wziąłem gaździce pieniądze — — — żeby wyglądało tak — — — jakby to złodzieje — i nazad na strych — a okienkiem na dół. — — — Szczepan odetchnął. — A potem zapukałem w okno — do gaździny — — — że idę po kapotę — — —

— Polano Hordubalowa, czy to prawda?

Polana wstaje, usta ma zaciśnięte. — Nieprawda. Nie zapukał.

— Gaździna o niczym nie wiedziała — między Szczepan słowa. — I nieprawda, że się ze mną wdawała. Pewnego razu — tak, pewnego razu, chciałem ją przewrócić na słomę, ale się bronila i — nadeszła Hafia. A potem już nic — — — nic!

— Bardzo to ładnie, Szczepanie — mówi prokurator i pochyła się naprzód. — Ale jedno pytanie pozostawiałem dotychczas tylko dla siebie, gdyż nie było potrzebne. Polano Hordubalowa, czy to prawda, że przed tym oto Szczepanem miała pani kochanka, parobka Pawła Drewotę?

Polana westchnęła głośno, jakby stęknęła, podnosi rękę ku czołu, a dozorca wyprowadza ją, półomdłą z sali.

— Przerывam posiedzenie sądu — oświadcza przewodniczący. — Wobec ujawnienia nowych okoliczności zawartych w przyznaniu się Szczepana Mani, sąd uda się jutro na miejsce zbrodni.

*

*

*

Biegl czeka na podwórku zagrody Hordubalów i spogląda na drogę, czy wysoki sąd jeszcze nie jedzie. Jadą już,

jadą, wielmożni panowie. Biegl przybiera postawę żołnierską i salutuje, ludzie stoją za płotem na szosie i gapią się na zagrodę Hordubalów, jakby się miało objawić Bóg wie co. Wielki to dzień dla żandarma.

Biegl prowadzi wysoki sąd ku strychowi. Strych jest, wysoki sędzie, w takim samym stanie, w jakim znajdował się w dniu morderstwa. Nikt tam odtąd nie wchodził. Już wtedy były drzwi strychu zasypane kukurydzą, więc gdyby ktoś spróbował odepchnąć je, kukurydza wysypałaby się na schody. Biegl opiera się o drzwi, które poddają się nieco, a spod nich strumieniem spływają ziarna kukurydzy. — Proszę aby wysoki sąd zechciał pofatygować się na górę — grzecznie zaprasza Biegl. Na strychu jest wielka masa płonów zebranych na równinie, całe kupy kukurydzy. Chciałoby się leżeć w niej i tarzać się na niej. — To jest jedyne okienko. Więc tędy miał się Manya wydostać na dwór...

— Ależ to okienko zamknięte jest od wewnątrz — — ustala jeden z przysięgłych i rozgląda się z wielką powagą. — Jeśli od dnia morderstwa nikt tu nie był, to Manya nie mógł tędy wyskoczyć.

Oczywiście nie mógł. Oto na parapecie okienka od wielu lat stoją jakieś buteleczki i pudełka blaszane — czegoż ci chłopci nie przechowują! Gdyby Manya tędy przelazł, musiałby cały ten kram najprzód usunąć, nieprawdaż? Naturalnie, że musiałby to zrobić. A co znajduje się na dole, pod tym okienkiem?

— Na dole jest izba, w której Hordubal został zabity, a przed oknem jest ogródek. Proszę wysoki sąd, aby raczył udać się i tam. — Wysoki sąd z powagą przechodzi przez ogródek. Jedno z parterowych okien wyjęto; rama jest pusta. Tutaj, wysoki sędzie, był ów otwór wycięty w szybie. A tuż nad nami jest okienko, przez które miał Manya wyskoczyć. Badałem to miejsce bezpośrednio po morderstwie — mówi Biegl skromnie — ale tu, pod oknem,

nie było ani jednego śladu. Widziałem tu tylko ten skopany zagonek, a było wtedy po deszczu.

Przewodniczący sądu kiwa głową z uznaniem. Jest jasne, że Szczepan kłamie. — Ale może jednak powinien pan był zajrzeć na strych?

Biegl prostuje się i uderza obcasem o obcas.

— Nie chciałem, panie prezesie, poruszyć tej zsypanej kukurydzy. Ale dla pewności zabiłem drzwi, prowadzące na strych, gwoździami, żeby się tam nikt nie mógł dostać. Dopiero dzisiaj rano te gwoździe wyjąłem. Do drzwi przy-mocowałem kawałek nitki.

— Doskonale, doskonale — pochwała zadowolony przewodniczący. — O wszystkim pan pomyślał, panie — — — panie — — —

Biegl wysuwa pierś naprzód. — Żandarmski aspirant Biegl.

Jeszcze jedno uprzejme skinienie. — Między nami mówiąc, nie ma wątpliwości, panowie, że Szczepan Manya kłamał. Ale skoro już tu jesteśmy, może interesowałoby panów zajrzeć także do izby.

Znad stołu dźwiga się wielki, barczysty, ociężały chłop. Jest właśnie pora obiadowa. — To jest, proszę państwa, Mechajł Hordubał, brat nieboszczyka. Gazduje tu tymczasowo.

Mechajł Hordubał kłania się wielmożnym panom bardzo nisko. — Oksenio, Hafio, zwawiej, podawajcie wielmożnym panom krzesła!

— Nie trzeba, gospodarzu, nie trzeba. A czemuż to nie kazaliście sobie wstawić nowego okna? Przecież jest chłodno.

— Na co nowe okno, wielmożni panowie? W sądzie jest stare, szkoda pieniędzy na nowe.

— No tak, hm. A tu widzę, że opiekujecie się Hafią. To mądre dziecko. Doglądajcież dobrze sieroty. A tu żona wasza, prawda?

— Prawda, wielmożny panie. Demetra Wariwodjuka Iwanów córka z Magurycy.

— Widzę, że wam się niedługo powiększy rodzina.

— Ano, jak Pan Bóg da, niech imię jego będzie pochwalone.

— A podoba się wam tu w Krywej?

— Podoba — prawi Mechajł i macha ręką. — Proszę pokornie, gdybym tak mógł wyjechać na robotę do Ameryki, wielmożni panowie.

— Jak Juraj?

— Tak, jak Jurka, Panie świeć nad jego duszą!

I gazda Mechajł odprowadza wielmożnych panów ku wrotom zagrody.

*

*

*

Wysoki sąd wraca do miasta. Wio, koniki, wio, wieście wielkie zdarzenie! Cała wieś wygląda jak jasełka, całym jak jasełka.

Przewodniczący pochyla się ku prokuratorowi.

— Jeszcze nie tak późno, panie kolego. Moglibyśmy do wieczora zakończyć tę sprawę. Może nie będzie dzisiaj tyle przemówień, jak wczoraj — — —

Prokurator rumieni się z lekka. — Sam nie wiem, co się wczoraj ze mną stało. Przemawiałem, jakbym był w transie, nie jak urzędnik, ale jak mściciel. Po prostu chciało mi się kazać i grzmieć.

— Było tak, jakbyśmy siedzieli w kościele — mówi przewodniczący z powagą. — Wie pan, ci ludzie na sali wstrzymywali oddech. Dziwny naród. I ja to odczuwałem, że sędzimy coś cięższego od zbrodni, że sędzimy grzech... Chwała Bogu, dzisiaj będzie sala pusta. Nie ma już sensacji, wszystko pójdzie gładko.

*

*

*

Poszło istotnie gładko. Na pytanie, czy Szczepan Manya winien jest zbrodni morderstwa z premedytacją, popelnio-

nej na Juraju Hordubalu, przysięgli odpowiedzieli ośmioma głosami: tak, czterema: nie.

A na pytanie, czy Polana Hordubalowa winna jest zbrodni współdziału w morderstwie, odpowiedzieli wszystkimi dwunastu głosami: tak.

Na podstawie tego werdyktu przysięgłych sąd skazuje Szczepana Manę na karę dożywotniego ciężkiego więzienia,

a Polanę z Durkotów Hordubalową na karę ciężkiego więzienia na przeciąg lat dwunastu.

Polana stoi jak bez ducha z głową podniesioną do góry. Szczepan Manya głośno szlocha.

— Wyprowadzić skazanych!

*

*

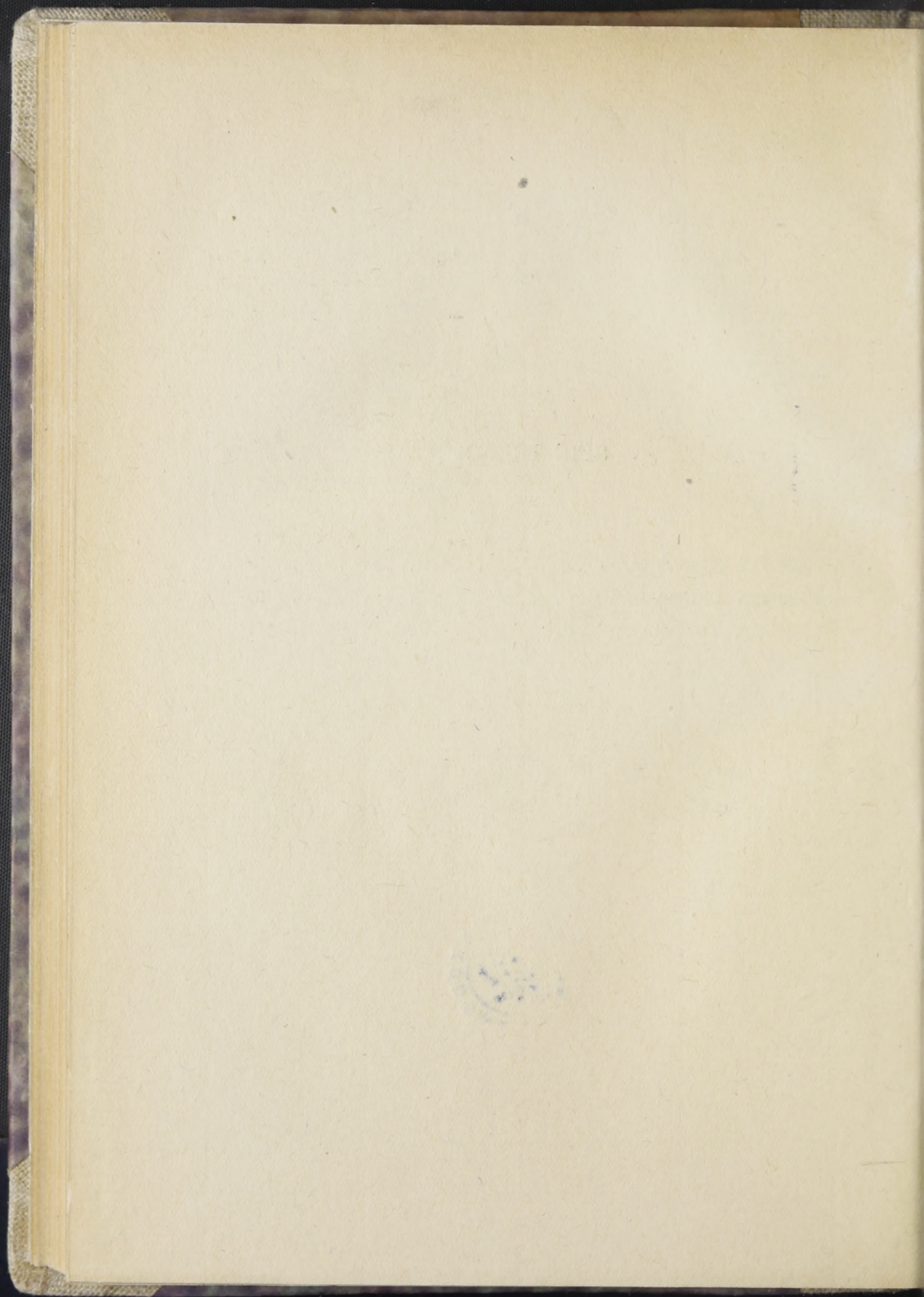
*

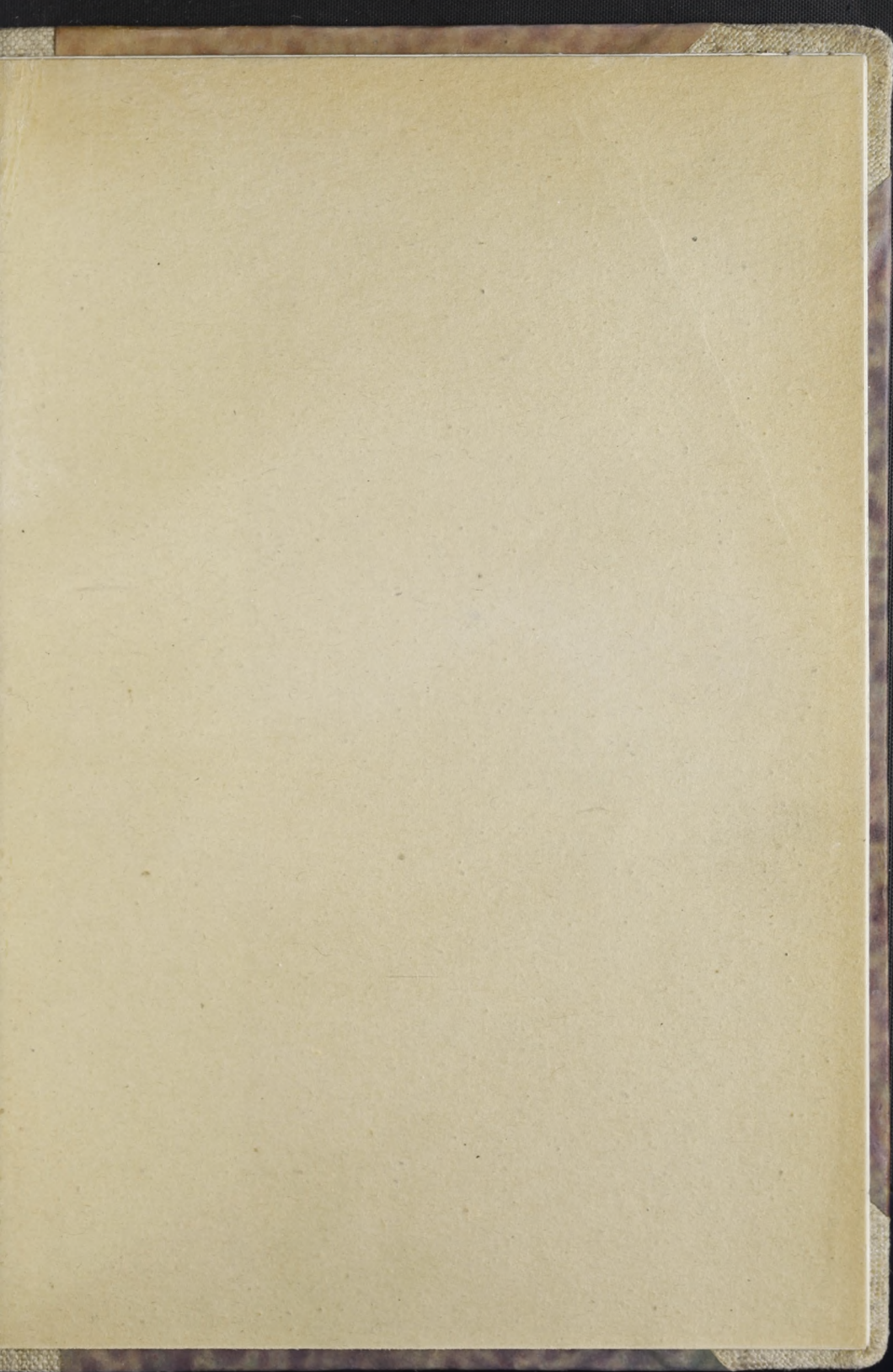
Serce Juraja Hordubala gdzieś przepadło i nigdy nie zostało pochowane.

SPIS TREŚCI

	str.
KSIĘGA PIERWSZA	7
KSIĘGA DRUGA	99
KSIĘGA TRZECIA	122



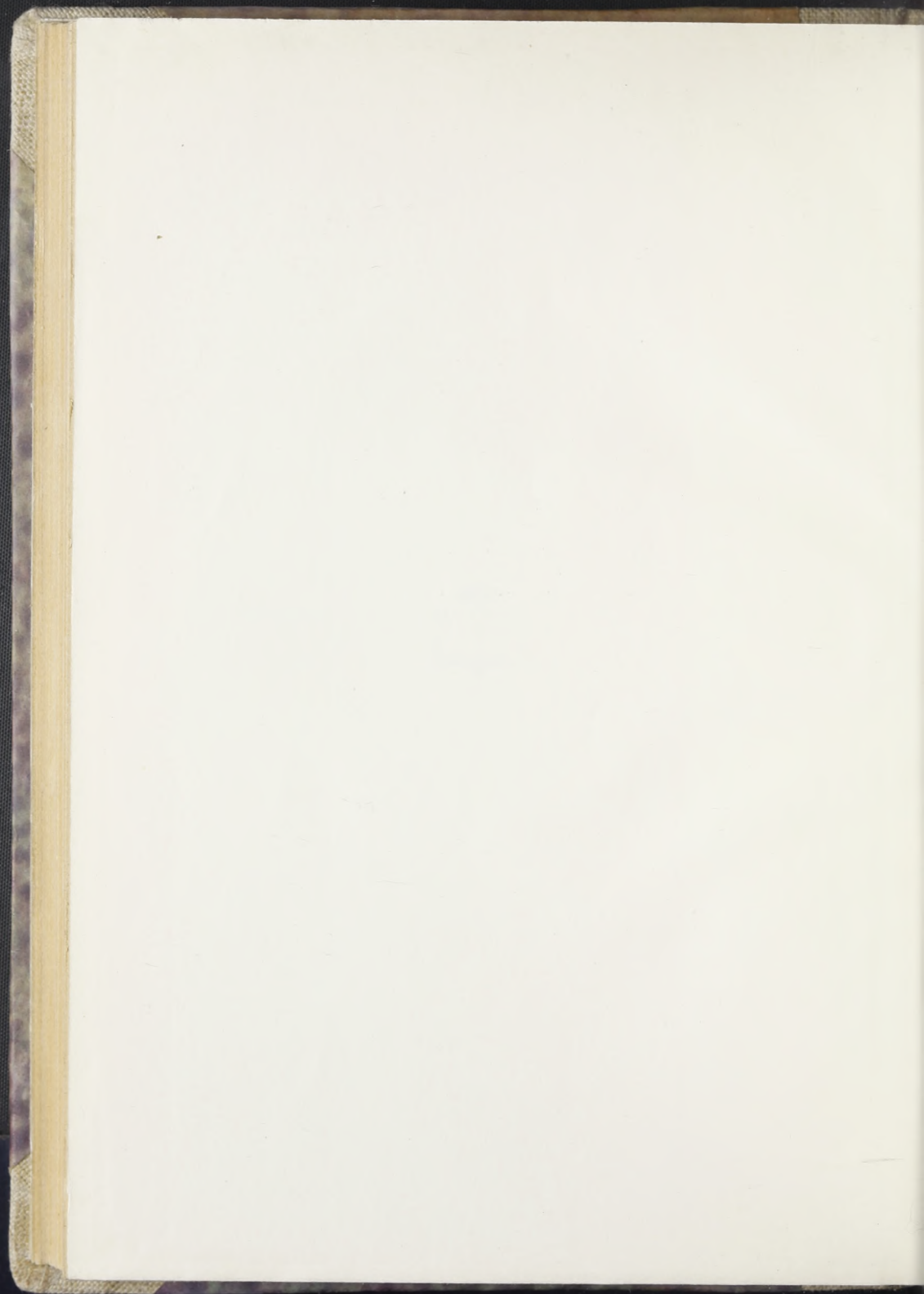




13 X 48







Biblioteka Narodowa
Warszawa



30001024392820



534571

A